

**NORA ROBERTS**

**SCHWYTANA GWIAZDA**

## ROZDZIAŁ 1

Gotów był niemal zabić za jedno piwo. Za wielki oszroniony kufel napełniony ciemnym importowanym piwem, W tej chwili smakowałoby mu dużo bardziej niż pocałunek pociągającej kobiety. Piwo w jakimś mrocznym, chłodnym pubie, w towarzystwie paru innych siedzących na stołkach bywalców, śledzących przebieg meczu baseballowego na ekranie telewizora.

Nie spuszczając z oka mieszkania, które obserwował, Jack Dakota dla zabicia czasu puszczał wodze fantazji.

Piana na kuflu, zapach drożdży, pierwszy łakomy haust dla ochłody i ugaszenia pragnienia. A potem powolne smakowanie, łyk za łykiem, aż w końcu doszedłby do przekonania, że na świecie wszystko byłoby w porządku, gdyby politycy i prawnicy debatowali nad rozwiązaniami nieuniknionych konfliktów przy kuflu zimnego piwa w miejscowym pubie, a tymczasem pałkarz szykowałby się do decydującego odbicia.

Było tuż po pierwszej po południu, ciut za wcześniej na drinka, ale upał tak dawał się we znaki, że cała lodówka pełna puszek z zimnymi napojami nie sprawiłaby takiej frajdy jak jedno , zimne piwo z pianką.

Jego stareńki oldsmobile nie miał takich luksusów jak klimatyzacja. Prawdę mówiąc, jedynym luksusem była kosztowna, rozdzierająca uszy wieża, zainstalowana w obłazącej desce rozdzielczej pokrytej imitacją skóry. Zestaw stereo był wart dwa razy tyle co samochód, ale Jack nie potrafił żyć bez muzyki. Podczas jazdy lubił nastawiać sprzęt na pełną moc i śpiewać na całe gardło z Beatlesami czy Stonesami.

Solidny, ośmiocylindrowy silnik pod powyginaną brudnoszarą maską, wyregulowany jak szwajcarski zegarek, zawoził Jacka wszędzie, gdzie ten chciał, i to szybko. Teraz silnik odpoczywał, a Jack, dostosowując się do atmosfery spokojnej dzielnicy w północno - zachodniej części Waszyngtonu, nastawił cicho odtwarzacz CD i mruczał do wtóru Bonnie Raitt.

Była jedną z nielicznych uznawanych przez niego współczesnych wykonawczyń muzyki rozrywkowej.

Jack często myślał, że urodził się w niewłaściwej epoce. Może nawet byłby z niego niezły rycerz Okrągłego Stołu. Oczywiście na czarnym koniu. Odpowiadała mu prosta filozofia prawa pięści. Wspierałby króla Artura, dumał, bębniąc palcami o kierownicę, jednak

w Camelot rządziłby na swój własny sposób. Trzymanie się ustalonych reguł powoduje niepotrzebne komplikacje.

Mógłby też żyć na Dzikim Zachodzie i na przykład pokiwać na bandytów. Żadnej nonsensownej papierkowej roboty. Po prostu chwytaliby ich i dostarczał, dokąd trzeba.

Żywych lub umarłych.

W dzisiejszych czasach bandyci wynajmowali adwokata albo zapewniało im go państwo, a rozprawy sądowe sprowadzały się do przeproszania ich za kłopoty.

„Bardzo nam przykro, sir. To, że pan gwałcił, rabował i mordował, nie usprawiedliwia zabierania pańskiego cennego czasu i naruszania pańskich praw”.

Tak przedstawiała się smutna rzeczywistość.

Był to jeden z powodów, dla których Jack Dakota nie został policjantem, choć jako nieopierzony dwudziestolatek przez jakiś czas się nad tym zastanawiał. Sprawiedliwość nigdy nie była dla niego pustym słowem. Ale sprawiedliwość to jedno, a regulaminy i przepisy to drugie.

Właśnie dlatego w wieku trzydziestu lat Jack Dakota trudnił się chwytaniem zbiegłych przestępców.

Tropił złych facetów, ale sam określał swój czas pracy, płacono mu za wykonanie zadania i nie musiał zajmować się upiorną papierkową robotą.

Tu też obowiązywały jakieś przepisy, ale bystry facet wie, jak je obchodzić. A Jack zawsze był bystry.

W kieszeni miał dokumenty dotyczące tropionego właśnie obiektu. Tego ranka o ósmej zadzwonił do niego Ralph Finkleman z nowym zadaniem. Dziwny facet z tego Ralpha, zamyślił się Jack. Wiecznie się czymś martwi, a z drugiej strony jest optymistą. Ciekawa kombinacja, ale pewnie typowa dla poręczyciela. On osobiście nie był w stanie zrozumieć idei pożyczania pieniędzy nieznanemu - skoro potrzebowali poręczenia, tym samym ujawniali swoją niewiarygodność.

Ale w grę wchodziły nieźle pieniądze, a pieniądze to wystarczająca motywacja większości działań.

Jack dopiero co wrócił ze zbiegiem, którego tropił aż do Karoliny Północnej. Kiedy przyholował głupiego jak but wiejskiego chłopaka, który próbował wzbogacić się, okradając całodobowe sklepy na stacjach benzynowych, Ralph Finkleman wprost nie wiedział, jak mu dziękować. Wyłożył za niego kaucję, uznawszy, że chłopakowi do głowy nie przyjdzie, żeby uciekać.

Jack mógłby mu powiedzieć, prosto z mostu, że dzieciak jest na tyle nierozgarnięty, że nie rozumie, czym grozi ucieczka.

Ale nie płacono mu za udzielanie rad.

Zamierzał przez kilka dni odpoczywać, może obejrzeć parę meczów na Camden Yards, zadzwonić do którejś ze swych przyjaciółek, by pomogła mu przepuścić zarobione pieniądze. Właściwie chciał odesłać Ralpa z kwitkiem, ale chłopisko tak skamlało, tak się usprawiedliwiało, że nie miał serca odmówić.

No więc wpadł do jego firmy i wziął papiery na niejaką O'Leary, która najwyraźniej postanowiła nie stawiać się w sądzie z wyjaśnieniami, dlaczego postrzeliła swego żonatego kochanka.

Doszedł do wniosku, że ona również jest głupia jak but. Niebrzydka kobieta - a sądząc z fotografii i opisu, można było tak o niej powiedzieć - z paroma szarymi komórkami na swoim miejscu, mogła z łatwością przekonać sędziego i ławę przysięgłych, że taki drobiazg jak postrzelenie niewiernego księgowego nie powinien podlegać zbyt surowej karze.

Robota wydawała się jak kaszka z mlekiem, ale Ralph był okropnie nerwowy. Jąkał się bardziej niż zwykle, a oczy latały mu jak błędne.

Jack nie miał jednak ochoty analizować zachowania Ralpa. Chciał szybko zakończyć pracę, napić się piwa i zacząć się cieszyć zarobioną forszą.

Pieniądze z tej ekstra roboty oznaczały, że może pozwolić sobie na pierwsze wydanie „Don Kichota”. Zależało mu na nim od dawna. Dla czegoś takiego można znieść splotanie potem w samochodzie przez parę godzin.

Nie wyglądał na mężczyznę, który poluje na białe kruki czy rozsmakowuje się w filozoficznych rozprawach o naturze ludzkiej. Brązowe włosy z jaśniejszymi od słońca pasemkami nosił związane w krótki kucyk - co wynikało raczej z jego nieufności do fryzjerów niż chęci hołdowania modzie. Gładka fryzura uwydatniała jego pociągłą, wąską twarz o ostro zarysowanych szczękach i zapadniętych policzkach. Nad płytkim rowkiem w brodzie rysowały się pełne, stanowcze wargi sprawiające wrażenie rozmarzonych, gdy nie wykrzywiał ich szydery uśmiech.

Jego stalowoszare oczy przybierały odcień dymu na widok poślizgniętych stron pierwszego wydania Dantego bądź ciemniały z zachwytu na widok ładnej kobiety w cienkiej letniej sukience. Lekko demoniczne wygięcie brwi uwydatniała biała blizna idąca po skosie lewej, skutek zetknięcia ze scyzorykiem zabójcy, który nie zamierzał pozwolić, by Jack odebrał swoje pieniądze.

Jack odebrał pieniądze, a zbieg zarobił złamaną rękę i pokiereszowany nos, który już nigdy nie będzie taki jak przedtem, chyba że państwo zafunduje mu operację plastyczną.

Co wcale by Jacka nie zaskoczyło.

Były też inne bliźny. Jego smukłe, mocne ciało nosiło ślady licznych walk. Kobiety to uwielbiały.

Jack nie miał nic przeciwko temu.

Wyciągnął przed siebie długie nogi, rozluźnił ramiona i medytował, czy nie otworzyć kolejnej puszki napoju i czy znowu nie udawać, że to piwo.

Kiedy obok przeleciał ze świstem MG z opuszczonym dachem i włączonym na cały regulator radiem, pokręcił głową. Głupia jak but, powtórzył w myśli, choć w pełni aprobował jej muzyczny gust. Pęd samochodu poruszył papierami, a szybkie zerknięcie na kobietę siedzącą za kierownicą potwierdziło jego przypuszczenia. Krótkie rude włosy rozwiewające się na wietrze zdradzały ją bez pudła.

Zaparkowała tuż przed nim. Obserwując, jak wydostaje się z małego samochodu, pomyślał, że to ironia losu, iż kobieta z takim wyglądem może być tak żałośnie głupia.

Nie, nie nazwałby jej milutką. Wyglądało na to, że nie ma w niej nic łagodnego, ale on miał słabość do długonogich, niebezpiecznych kobiet. Była wysoka. Wąskie chłopiące biodra oblepiały spłowiałe dzinsy starte na szwach do białości i rozdarte na kolanie. Podkoszulek wciśnięty w dzinsy był zwyczajny, z białej bawełny, a jej małe, nie skrepowane stanikiem piersi odznaczały się wyraźnie pod miękką tkaniną.

Wyciągnęła torbę z samochodu i przed Jackiem odsłonił się miły dla oka widok jędrnego damskiego tyłeczka. Uśmiechnął się szeroko do siebie i poklepał po sercu. Nic dziwnego, że jakiś kretyn zdradził z nią swoją żonę.

Miała buźkę tak kanciastą jak ciało. Choć delikatna, mlecznobiała cera harmonizowała z płomiennymi włosami, nie było w niej nic z niewinnego dziewczątka. Ostro zarysowany podbródek i wyraźne kości policzkowe tworzyły upartą, zmysłową twarz, którą dopełniały pełne, wrażliwe usta.

Nosiła ciemne, przylegające do twarzy okulary, ale z dokumentów wiedział, że ma zielone oczy. Ciekawe, czy przypominają mech czy szmaragdy.

Z olbrzymią torbą zarzuconą na jedno ramię i torbą ze sklepu spożywczego opartą o biodro ruszyła w stronę domu. Pozwolił sobie na jedno westchnienie na widok tego sprężystego, zamaszystego kroku.

Stanowczo lubił długonogie kobiety.

Wysiadł z samochodu i poszedł za nią. Uznał, że nie sprawi mu kłopotu. Najwyżej trochę podrapie i pogryzie. Nie wyglądała na kogoś, kto rozpuści się w błagalnych łzach.

Naprawdę nie lubił, kiedy do tego dochodziło.

Jego plan był prosty. Mógł dopaść ją na ulicy, ale nie znosił publicznych pokazów, jeśli sprawę można było załatwić inaczej. Postanowił, że wedrze się za nią do mieszkania, wyjaśni sytuację i dopiero wówczas ją zwinie.

Nie wyglądała na zaniepokojoną, skonstatował, wchodząc za nią do budynku. Czy naprawdę sądziła, że policja nie będzie jej szukać u krewnych i znajomych? W dodatku pojechała na zakupy własnym samochodem. Dziwne, że do tej pory jej nie złapano.

Jednak z drugiej strony gliny miały wystarczająco dużo roboty bez uganiania się za kobietą, która posprzeczała się z kochankiem.

Miał nadzieję, że jej kumpelki, do której należy mieszkanie, nie ma w domu. Obserwował okna blisko godzinę i nie zauważył, żeby coś się za mmi działo. Nie usłyszał żadnego dźwięku, kiedy przeszedł niedbale pod otwartymi oknami drugiego piętra ani kiedy wszedł do budynku, chcąc podsłuchać, co się dzieje za drzwiami.

Ale nigdy nie można być zbyt pewnym.

Kiedy minęła windę i skierowała się na schody, zrobił to samo. Nie odwróciła głowy, co sugerowało, że albo jest wyjątkowo pewna siebie, albo bez reszty pochłonięta własnymi myślami.

Pokonał dzielącą ich przestrzeń i błysnął zębami w uśmiechu.

- Może pomóc?

Zwróciła głowę w jego kierunku i popatrzyła badawczo przez ciemne szkła okularów. Po wargach nie przemknął nawet cień uśmiechu.

- Nie trzeba, poradzę sobie.

- Wierzę, ale i tak idę na górę. W odwiedziny do ciotki. Nie widziałem jej od... do licha... od dwóch lat. Właśnie dziś rano wpadłem do Waszyngtonu. Zapomniałem, jak tu bywa gorąco.

- To nie gorąco - powiedziała oschle. - To wilgoć. Zaśmiał się cicho, słysząc w jej głosie niechęć i zniecierpliwienie.

- Tak, tak mówią. Dorastałem tutaj, ale ostatnie parę lat mieszkałem w Wisconsin... Zdażyłem zapomnieć... Proszę pozwolić sobie pomóc.

Kiedy przesunęła torbę, by wsunąć klucz do zamka w drzwiach, jednym gładkim ruchem próbował ją przechwycić. Równie gładko zablokowała ciężar ramieniem i pchnięciem otworzyła drzwi.

- Poradzę sobie - powtórzyła i zaczęła zamykać mu drzwi przed nosem.

Wśliznął się do środka jak wąż i chwycił mocno jej przedramię.

- Pani O'Leary...

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, bo uderzyła go łokciem w podbródek. Zaklął, zamrugał i w samą porę uchylił się przed kopnięciem w krocze. Cios był jednak na tyle blisko celu, że Jack natychmiast zmienił taktykę.

Na wyjaśnienia przyjdzie czas.

Kiedy ją chwycił, odwróciła się w jego uścisku, przydeptała mu stopę tak, że zobaczył wszystkie gwiazdy. A potem uderzyła go na odlew pięścią w twarz.

Torba z zakupami poszybowała w powietrze, a dziewczyna waliła go raz za razem, oddychając przy tym szybko i rytmicznie. Początkowo blokował jej ciosy. Nie można powiedzieć, że było to łatwe. Najwidoczniej przeszła szkolenie w walce wręcz - nieistotny szczegół, o którym Ralph nie wspomniał.

Kiedy stanęła na ugiętych nogach, gotowa do ataku, zrobił to samo.

- Nie stawiaj się. - Nie uśmiechała mu się myśl, że będzie musiał jej przyłożyć... może w ten seksowny spiczasty podbródek? - I tak cię dopadnę, a nie chciałbym robić ci krzywdy.

W odpowiedzi błyskawicznie kopnęła go w żołądek. Wolałby podziwiać ten manewr z pewnej odległości, ale był zbyt zajęty zderzaniem się ze stołem.

Do diabła, naprawdę była niezła.

Oczekiwał, że rzuci się do drzwi, więc szybko zerwał się na równe nogi, by przeciąć jej drogę ucieczki. Tymczasem ona go tylko okrążyła, wciąż ukrywając oczy za ciemnymi okularami i wykrzywiając wargi.

- No, dalej - prowokowała. - Jeszcze nikomu, kto próbował obrobić mnie na moim terenie, nie udało się uciec.

- Nie jestem złodziejem. - Kopnął trzy jędrne, dojrzałe brzoskwinie, które wysypały się z torby. - Jestem łowcą nagród. Poluję na zbiegów, a ty jesteś aresztowana. - Podniósł dłonie, dając jej do zrozumienia, że ma pokojowe zamiary, po czym z nadzieją, że jej spojrzenie powędrowało w tamtym kierunku, ruszył szybko do przodu, zaczepił stopą o jej nogę i podciął ją tak, że wylądowała na podłodze.

Zwarł się z nią i może doceniłby długie czyste linie kobiecego ciała przyciśniętego do jego ciała, gdyby nie to, że teraz jej kolano trafiło lepiej niż za pierwszym razem. Zabrakło mu tchu, a ból, który tylko mężczyzna jest w stanie pojąć, rozchodził się falami po całym ciele. Mimo to nie puścił jej.

Miał teraz przewagę i ona zdawała sobie z tego sprawę. Na stojąco była szybka, jej pole manewru było niemal tak duże jak jego, a siły bardziej wyrównane. Ale w zapasach górował nad nią wagą i muskulaturą. Rozwścieczyło ją to na tyle, że uciekła się do nieczystych chwytów. Wbiła mu zęby w ramię i kiedy krzyknął z bólu, uśmiechnęła się z widoczną satysfakcją, a adrenalina wprost w niej buzowała.

Sczepieni z sobą potoczyli się po podłodze i zderzyli ze stolikiem do kawy. Wielka błękitna czarka napełniona czekoladowymi pastylkami spadła na podłogę i rozleciała się na kawałki. Odłamek szkła wbił mu się w ramię. Znow zaklął. Dziewczyna zadała mu cios w głowę i drugi w nerki.

Właśnie zaczynała myśleć, że w końcu go pokona, kiedy błyskawicznie przewrócił ją na brzuch. Wylądowała na podłodze z głośnym plaśnięciem, a zanim zdołała zaczerpnąć tchu, przesunął jej ręce na plecy i usiadł na niej.

To, że gwałtownie dyszał, nie sprawiało jej wielkiej satysfakcji. I po raz pierwszy w życiu naprawdę się bała.

- Nie rozumiem, dlaczego, u diabła, postrzeleliś tego faceta, skoro mogłaś go po prostu sprać na kwaśne jabłko - mruknął Jack.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni po kajdanki i zaklął ponownie, kiedy ich tam nie znalazł. Wypadły mu z kieszeni podczas walki. Nie zmienił więc pozycji i przeczekał chwilę, kiedy próbowała go z siebie zrzucić.

Z trudem zaczerpnął powietrza. Nie toczył takiej walki z kobietą od czasu polowania na Dużą Betsy. A było to dziewięćdziesiąt kilo samych mięśni.

- Słuchaj, w ten sposób narobisz sobie jeszcze więcej kłopotów. Dlaczego spokojnie się nie poddasz, zanim do reszty rozwalimy mieszkanie twojej przyjaciółki?

- Zgniatasz mnie, kretynie - wysyczała. - A poza tym to moje mieszkanie. Spróbuj mnie zgwałcić, to urwę ci ten twój powód do dumy i wcisnę do ręki. Załatwię cię tak, że gliny nie będą miały czego zeskrobywać z butów.

- Nie napastuję kobiet, kotku. To, że jakiś księgowy nie potrafił trzymać łap z dala od ciebie, nie oznacza, że i ja nie potrafię. A gliny nie interesują się mną. Chcą ciebie.

Wypuściła gwałtownie powietrze, próbowała zaczerpnąć tchu, ale Jack zgniatał jej płuca.

- Nie wiem, o czym, u diabła, mówisz? Wyjął papiery z kieszeni i podsunął jej pod nos.



- Niejaka O'Leary, oskarżona o zranienie z zamiarem zabicia i tak dalej. Ralph naprawdę zawiódł się na tobie, kotku. To ufnny gość i nie spodziewał się, że taka miła kobieta będzie próbowała zwiać. W końcu wpłacił za ciebie dziesięć kawałków kaucji.

- To jakaś bzdura. - Wpatrywała się z niedowierzaniem w swoje nazwisko i jakiś adres na czymś, co wyglądało jak nakaz aresztowania. - Pomyliłeś mnie z kimś. Nikt nie wyznaczył za mnie kaucji. Nie zostałam aresztowana, a to jest moje mieszkanie. Kretyńscy gliniarze - mruknęła i znów spróbowała go z siebie zrzucić. - Zadzwoń do swojego sierżanta, czy gdzie tam chcesz. Wyjaśnij to. A jak już będzie po wszystkim, pozwę was do sądu.

- Niezłe przedstawienie. Jak sądzę, nigdy nie słyszałaś o niejakim George'u MacDonaldzie?

- Nie, nie słyszałam.

- A więc to naprawdę nieuprzejmie z twojej strony, że go postrześliłaś. - Popuścił na tyle, że szarpnął jej głowę do góry, a potem chwycił za nadgarstki. Zauważył, że zgubiła okulary, a jej oczy nie przypominały ani mchu, ani szmaragdów, były zielone zielenią mrocznej rzeki. I pełne wściekłości. - Posłuchaj, siostrzo, chcesz mieć romans ze swoim księgowym, nic mnie to nie obchodzi. Chcesz go zastrzelić, nie dbam o to. Ale jeśli zamierzasz zwiać po uzyskaniu poręczenia, to mnie wkurzasz.

Teraz oddychało jej się nieco łatwiej, ale dłonie na jej nadgarstkach były niczym stalowe obręcze.

- Mój księgowy nazywa się Holly Bergman i nie mamy romansu. Nikogo nie zastrzeliłam i nie uciekam, bo nie wyznaczono za mnie żadnej kaucji. Chcę zobaczyć twoje dokumenty, bystrzaku.

Pomyślał, że stawianie żądań w jej sytuacji dowodzi sporej odwagi.

- Nazywam się Dakota, Jack Dakota. Jestem łowcą nagród. Przyjrzała mu się kątem oka. Pomyślała, że wygląda jak bohater westernu. Zimny rewolwerowiec albo groźny hazardzista, albo...

- Łowca nagród. Cóż, nie ma tu nagrody, głupcze. - To nie był gwałt ani napad rabunkowy, uspokoiła się w duchu i odetchnęła z ulgą. Poczowała przypływ energii. - Ty sukinsynu. Wdarłeś się tu, podarłeś mi ubranie, zniszczyłeś zakupy warte dwadzieścia dolców, a wszystko dlatego, że nie potrafisz iść właściwym tropem? Bądź pewien, że dobiore się do ciebie. Kiedy z tobą skończę, nie będziesz w stanie napisać swego własnego imienia przez szablon. Nie będziesz... - Zaniemówiła, kiedy podsunął jej zdjęcie.

- Masz siostrę bliźniaczkę, O'Leary? Siostrę, która jeździ MG 68, ma na tabliczce SIAINTE i kochanka o nazwisku Bailey James?

- Bailey to kobieta - szepnęła, wpatrując się w swoją własną podobiznę.

Głowę zaprzątęły jej nowe zmartwienia. Czy w tym wszystkim chodziło o Bailey, o to, co Bailey jej przysłała? W jakie kłopoty wplątała się jej przyjaciółka?

- W dodatku to nie jej mieszkanie, tylko moje. Nie mam bliźniaczki. - Ponownie popatrzyła mu w oczy. - Co się dzieje? Czy z Bailey wszystko w porządku? Gdzie jest Bailey?

Pod jego zaciśniętymi dłońmi puls jej przyspieszył. Znów próbowała się wyrwać, z nową, pełną nienawiści energią, która, jak się domyślał, wynikała ze strachu. I był absolutnie pewien, że nie boi się o siebie.

- Nie wiem nic o tym gościu, poza tym, że ten adres widnieje pod jego nazwiskiem w dokumentach.

Zaczynał jednak coś podejrzewać. I nie podobało mu się to. Już nie uważał, że O'Leary jest głupia jak but. Kobieta z odrobiną rozumu nie zostawiłaby za sobą tylu śladów, gdyby naprawdę zamierzała uciec.

Ralph, przypomniał sobie Jack, wpatrując się ze zmarszczonym czołem w twarz kobiety, był dziś rano wyjątkowo zdenerwowany. Dlaczego?

- Jeśli będziesz ze mną szczerą, możemy to szybko sprawdzić. Może to jakaś urzędnicza pomyłka - powiedział, ale nie wierzył, że tak istotnie jest. Naprawdę nie. Czuł to swoje swędzenie u nasady kręgosłupa. - Posłuchaj... - zaczął.

Drzwi mieszkania gwałtownie się otworzyły i do środka wpadł z rykiem istny olbrzym.

- Miałeś ją wyprowadzić - warknął, wymachując robiącym wrażenie magnum .357. - Za dużo gadasz. On czeka.

Jack nie miał wiele czasu na decyzję, jak to rozegrać. Nie znał tego dużego gościa, ale znał ten typ. Same mięśnie i zero rozumu, wielka kulista głowa z małymi oczkami i atletyczne plecy. Pistolet był wielki jak armata, ale w dłoniach wielkości szynek sprawiał wrażenie zabawki.

- Przepraszam. - Lekko ścisnął nadgarstek O'Leary z nadzieją, że dziewczyna domyśli się, iż on w ten sposób chce dodać jej otuchy, i powstrzyma się od niepotrzebnych ruchów.

- Zaistniały drobne kłopoty.

- To tylko kobieta. Miałeś po prostu wyprowadzić ją na zewnątrz.

- Tak, pracuję nad tym. - Jack uśmiechnął się przyjacielsko.

- Ralph przysłał cię, żebyś mi pomógł?

- No już, wstawaj. Ruszaj się. Wychodzimy.

- Jasne. Nie ma problemu. Nie będziesz potrzebował broni. Mam ją pod kontrolą - zapewnił, ale pistolet z lufą wielką jak armata był wycelowany prosto w jego głowę.

- Ona nam wystarczy. - Kiedy olbrzym uśmiechnął się, obwisłe wargi odsłoniły wielkie zęby. - Już cię nie potrzebujemy.

- W porządku. Domyślam się, że chcesz wziąć papiery.

- Jack, wstając, złapał puszkę z sosem pomidorowym i w braku czegoś lepszego cisnął nią w olbrzyma, trafiając go w nos. Coś chrupnęło. Jack pochylił się i rzucił do przodu jak taran. Przypominało to walenie głową o ceglana ścianę, a siła uderzenia odrzuciła ich obu na krzesło z drewnianym oparciem.

Broń wystrzeliła, wybijając w suficie dziurę wielkości pięści, po czym przeleciała przez pokój.

MJ pomyślała o ucieczce. Zanim zdołałaby się rozplatać, zdążyłaby dobiec do drzwi i uciec. Ale przypomniała sobie o Bailey i o tym, co ma w torbie. O kłopotach, w które się nieoczekiwanie wpakowała. A poza tym była zbyt wściekła, by uciekać.

Pobiegła po broń i upadła do tyłu, gdy Jack upadł na nią. Złagodziła jego upadek, więc szybko wstał, wyskoczył jak sprężyna w powietrze i obiema nogami kopnął olbrzyma w żołądek.

Niezła forma, oceniła MJ, gramoląc się na nogi. Złapała torbę, rozkręciła ją nad głową i uderzyła mocno w gładki, kulisty łeb.

Olbrzym padł na sofę, łamiąc sprężyny.

- Dewastujesz moje mieszkanie! - krzyknęła i uderzyła Jacka w bok, po prostu dlatego, że był pod ręką.

- Pozwij mnie do sądu.

Uchylił się przed ciosem pięści i zaatakował olbrzyma w podbrzusze. Ból przeniknął mu wszystkie kości, kiedy przeciwnik walnął nim o ścianę. Obrazy pospadały, szkło rozprysnęło się na podłodze. Przez mgłę zobaczył, że rudowłosa skoczyła naprzód i rzuciła się niczym rój os na atletyczne plecy mężczyzny. Kiedy ten odwrócił się z wściekłością i usiłował ją chwycić, zaczęła walić go pięściami po policzkach.

- Trzymaj go! - krzyknął Jack. - Do diabła, przytrzymaj go przez minutę!

Szukając czegoś odpowiedniego, chwycił to, co zostało z nogi od stołu, i ruszył do ataku. Powstrzymał pierwszy cios. Tych dwoje kręciło się jak szalony, dwugłowy smok. Gdyby teraz zaatakował, mógłby rozplatać dziewczynie głowę.

- Powiedziałem, przytrzymaj go!

- Chcesz, żebym wymalowała tarczę strzelniczą na jego twarzy, skoro przy tym jesteśmy? - Z płynącym z trzewi warknięciem zacisnęła ramiona na gardle mężczyzny, udami ścisnęła jak imadłem jego szeroki, potężny tors i krzyknęła: - Uderz go, na litość boską! Przestań się czaić i uderz go!

Jack uniósł nogę od stołu jak pałkarz z dwoma uderzeniami na koncie i zamachnął się z całej siły. Noga od stołu rozleciała się jak zapalka, krew trysnęła niczym woda z fontanny. Mężczyzna runął jak podcięta sekwoja. MJ miała akurat tyle czasu, by odskoczyć.

Upadła na czworaki, z trudem chwytając powietrze.

- Co tu się dzieje? Co tu, u diabła, się dzieje?

- Nie mamy teraz czasu zastanawiać się nad tym. - Wiedziony instynktem samozachowawczym, złapał ją za rękę i pomógł wstać. - Takie typy zazwyczaj miewają towarzystwo. Chodźmy.

- Jak to chodźmy? - W drodze do drzwi złapała torbę. - Dokąd?

- Byle dalej stąd. Jak odzyska przytomność, będzie w kiepskim nastroju, a jeśli ma przyjaciela, następnym razem możemy nie mieć tyle szczęścia.

- Szczęścia, dobre sobie - mruknęła ze złością, ale biegła wraz z nim, kierując się czystym instynktem, podobnie jak on. - Ty skurczybyku! Wdarłeś się do mojego mieszkania, rozkazujesz mi, rządysz się jak szara gęś, zrujnowałeś mi dom, a w dodatku przez ciebie omal mnie nie zastrzelono.

- Uratowałem twój tyłek.

- To ja uratowałam twój! - wrzasnęła, obrzucając go przekleństwami, gdy zbiegali z hałasem po schodach. - Jak tylko uda mi się złapać oddech, rozerwę cię na sztuki, kawałek po kawałku.

Przeskoczyli półpiętro i omal nie stratowali jednej z sąsiadek. Kobieta w rannych pantoflach ozdobionych puszkami i z fryzurą w kształcie hełmu skuliła się, przylgnęła plecami do ściany i przycisnęła dłonie do mocno uróżowanych policzków.

- MJ, co u licha... ? Co znaczyły te strzały?

- Pani Weathers...

- Nie mamy czasu. - Jack niemal uniósł MJ w powietrze i runął na następną kondygnację.

- Nie wrzeszcz na mnie, kretynie. Zapłacisz za każde zgniecione winogrono, za każdą lampę, każdą...

- Tak, tak, rozumiem. Gdzie jest wyjście ewakuacyjne? MJ wskazała w głąb korytarza, Jack skinął głową i obydwójce wyslizgnęli się na zewnątrz, a potem za róg budynku.

Jack błyskawicznie zerknął zza osłony krzaków najpierw w górę, potem w dół ulicy. W odległości mniejszej niż pół parceli stała furgonetka bez okien, a koło niej kręcił się człowieczek o twarzy kurczęcia odziany w tandetny garnitur.

- Pochyl się - polecił Jack, zadowolony, że zaparkował oldsmobile'a przed frontem budynku. Kiedy przebiegł chodnik, prawie wrzucił MJ na przednie siedzenie samochodu.

- O Boże, co to, u diabła, jest? - Zrzuciła puszkę, na której usiadła, odkopała opakowania zaśmiecające podłogę i niespodziewanie znalazła się wśród nich, gdy Jack położył jej dłoń na karku i popchnął.

- Pochyl się! - warknął i dodał gazu. Usłyszawszy słaby świst, domyślił się, że mężczyzna o twarzy kurczęcia posłużył się karabinem maszynowym z tłumikiem.

Samochód Jacka ruszył z piskiem opon z krawężnika, na dwóch kołach skręcił za róg i wystrzelił w dół ulicy niczym rakietą. Rzucana jak piłka pingpongowa, MJ walnęła głową w deskę rozdzielczą zakłęła i próbowała złapać równowagę, podczas gdy on manewrował swoim krążownikiem po bocznych uliczkach.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz?!

- Znów ratuję twój tyłek, kotku. - Zerknął w lusterko wsteczne i gwałtownie skręcił w prawo. Para dzieciaków, jadąca chodnikiem na rowerach, uniosła ręce i pochwaliła ten manewr. Jack w odpowiedzi błysnął zębami w uśmiechu.

- Zwolnij tę górę śmieci. - MJ znów wczołgała się na siedzenie i dla utrzymania równowagi złapała się ręcznej dźwigni zmiany biegów. - I wypuść mnie stąd, zanim przejedziesz jakiegoś dzieciaka wyprowadzającego psa na spacer.

- Nie zamierzam nikogo przejeżdżać, a ty zostajesz. - Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. - Jeśli nie zauważyłaś, facet z furgonetki strzelał do nas. Jak tylko się upewnię, że go zgubiliśmy i znajdę jakieś spokojne miejsce, by się ukryć, powiesz mi, o co w tym wszystkim, u diabła, chodzi.

- Nie wiem. Spojrzał na nią groźnie.

- Kłamiesz.

Ponieważ był tego pewny, zaryzykował. Znów podjechał do krawężnika, sięgnął pod siedzenie i wyjął zapasowe kajdanki. Zanim zdążyła mrugnąć, przykuł ją do klamki. Nie wypuścił jej, dopóki się nie dowie, dlaczego rzucał nim stutrydziestokilogramowy goryl.

Żeby nie słyszeć jej wrzasków i coraz barwniejszych gróźb i przekleństw, puścił stereo na pełny regulator.

## ROZDZIAŁ 2

Zdecydowała, że dokopie mu przy pierwszej nadarzającej się okazji. Z całym okrucieństwem. Bez litości. Zaledwie przed dwiema godzinami była szczęśliwa, wolna, krążyła po sklepie spożywczym i jak każdy normalny człowiek robiła zakupy. To prawda, umierała z ciekawości na myśl o przedmiocie, który spoczywał na dnie jej torby, ale była przekonana, że Bailey nie bez powodu jej go przysłała i potrafi to racjonalnie wytłumaczyć.

Bailey James przytaczała ważne argumenty i udzielała racjonalnych wyjaśnień w każdej sytuacji. Była to tylko jedna z cech, które MJ tak w niej podziwiała.

Ale teraz naprawdę miała się czym martwić. Wiele wskazywało na to, że paczka, którą Bailey przesała jej poprzedniego dnia przez kuriera, była odpowiedzialna za obecną sytuację.

Wolała jednak obwinie o wszystko Jacka Dakotę.

Wdarł się do jej mieszkania i uderzył ją. To prawda, może ona zaatakowała pierwsza, ale to w końcu naturalna reakcja, kiedy jakiś ciemny typ próbuje pakować, się siłą na czyjeś terytorium. W każdym razie była to naturalna reakcja MJ. Za czasów szkolnych z reguły najpierw uderzała, a potem zadawała pytania. Była w tym mistrzynią.

To upokarzające, że udało mu się ją pokonać. Miała wiele kresek na swoim czarnym pasie piątej klasy i nie lubiła przegrywać.

Odpłaci mu za to.

Była przekonana, że on tkwi u źródła całego tego zamieszania. Przez niego jej mieszkanie zostało zrujnowane, wszystko porozrzucane, a w dodatku zostawili otwarte drzwi i wyłamany zamek. Nie przywiązywała się specjalnie do rzeczy, ale chodziło o zasadę. To były jej rzeczy i przez niego będzie musiała tracić czas na kupowanie nowych.

Nie dość tego - jakiś wymachujący bronią osiłek rozwalił drzwi, musiała uciekać z własnego mieszkania, by ratować życie, i wreszcie, co było najmniej przyjemne - strzelano do niej.

Wszystko bladeło jednak wobec tego, że była przykuta kajdankami do klamki oldsmobile'a. Ta sytuacja doprowadzała ją do wściekłości.

Jack Dakota zapłaci jej za to.

Kim on jest, u diabła...? Łowca nagród, groźny przeciwnik w walce wręcz. Niechluj - uzupełniła, trącając stopą papierki od cukierków i papierowe kubki - i kierowca o stalowych nerwach.

W innych okolicznościach byłaby pod wrażeniem jego stylu jazdy, tego, jak panował nad tym swoim krążownikiem, płynnie biorąc łuki, z wizgiem opon pokonując zakręty, przyspieszając na żółtych światłach i przelatując ze świstem obwodnicą Waszyngtonu niczym faworyt wyścigu o Grand Prix.

Gdyby wszedł do jej baru, zawiesiłaby na nim oko, przyznała niechętnie. Od właścicielki pubu w dużym mieście wymagano czegoś więcej niż umiejętności sporządzania drinków i prowadzenia ksiąg rachunkowych. W tym fachu trzeba było umieć szybko oceniać ludzi, odróżniać awanturników od samotnych serc. I wiedzieć, jak sobie radzić z jednymi i drugimi.

Określiłaby go jako twardego faceta. Miał to wypisane na twarzy. Razem wzięwszy, całkiem niezłej twarzy, surowej i przystojnej. Tak, zawiesiłaby na nim oko, pomyślała MJ z zaciśniętymi zębami, wyglądając przez okno pędzącego samochodu. Ładni chłopcy zbytnio jej nie interesowali. Wolą mężczyzn, którzy wyglądali tak, jakby przeszli swoje, wyszli cało z paru bójek i mogli przeżyć jeszcze parę.

A ten był właśnie taki. Wystarczyło jedno spojrzenie w jego granitowoszare oczy, by zorientować się, że on nie jest z tych, którzy pozwalają, by parę zakazów stanęło im na drodze.

Ciekawe, co by zrobił mężczyzna taki jak on, gdyby wiedział, że jej zniszczona skórzana torba kryje królewski okup?

Do diabła, Bailey! Do diabła! MJ zacisnęła wolną rękę w pięść i uderzyła nią nerwowo o kolano. Dlaczego przysłałaś mi ten diament i gdzie są dwa pozostałe?

Czyniła sobie również wyrzuty, że wróciwszy do domu po zamknięciu pubu poprzedniego wieczora, nie poszła od razu do Bailey. Była jednak wykończona, a poza tym przypuszczała, że przyjaciółka śpi kamiennym snem. A ponieważ była najsolidniejszą, najbardziej praktyczną osobą, jaką знаła, postanowiła po prostu poczekać na to, co z pewnością będzie bardzo rozsądnym wytłumaczeniem.

Idiotka, mówiła sobie teraz. Dlaczego założyła, że Bailey przysłała jej kamień, bo wiedziała, iż MJ będzie w domu w ciągu dnia i odbierze przesyłkę? Dlaczego uznała, że kamień to imitacja, kopia, choć w dołączonym do niego liściku przyjaciółka prosiła MJ, by się z nim nie rozstawała?

Ponieważ Bailey nie należała do kobiet, które przesyłałyby komuś błękitny brylant wart ponad milion dolarów bez ostrzeżeń czy wyjaśnień. Z zawodu gemmolog, była oddana pracy, bystra i cierpliwa jak Hiob. Jak inaczej mogłaby pracować dla padalców, którzy byli jej, pozał się Boże, rodziną?

MJ zacisnęła wargi na samą myśl o przyrodnich braciach przyjaciółki. Bliźniacy Salvini zawsze traktowali Bailey jak piąte koło u wozu, jak kogoś, na kogo są skazani, ponieważ ich ojciec w testamencie zostawił jej część firmy. A ślepo lojalna wobec rodziny Bailey potrafiła ich usprawiedliwić.

Teraz MJ zastanawiała się, czy nie są przypadkiem zamieszani w tę sprawę. Może próbowali jakichś numerów? Z pewnością byli do tego zdolni. Niemniej jednak trudno było uwierzyć, że Timothy i Thomas Salvini będą na tyle głupi, by próbować zagrywek z Trzema Gwiazdami Mitry.

Tak właśnie nazywała je Bailey, i miała wtedy taki rozmarzony wyraz oczu. Trzy bezcenne niebieskie diamenty wprawione w złoty trójkąt, który kiedyś trzymał w dłoniach bóg Mitra, były teraz własnością Smithsonian Institute. Firma Salvini, wsparta fachową wiedzą Bailey, miała za zadanie ocenić kamienie, potwierdzić ich autentyczność i oszacować je.

A jeśli tym kretynom przyszło do głowy je zatrzymać?

Nie, to zbyt niedorzeczne, uznała MJ. Lepiej wierzyć, że ten cały bałagan to jakieś kosmiczne nieporozumienie, komedia omyłek.

Znacznie lepiej robi, jeśli skupi się na tym, by odpłacić temu typowi za zmarnowanie wolnego popołudnia.

- Jesteś martwy - powiedziała spokojnie, rozkoszując się brzmieniem własnych słów.

- Tak, cóż, każdy umiera wcześniej czy później. - Właśnie kierował się na południe autostradą numer 95 i był zadowolony, że przestała obrzucać go przekleństwami na tyle długo, by mógł zebrać myśli.

- Dla ciebie to będzie wcześniej. Dużo wcześniej. - Ponieważ był to przedłużony weekend z okazji Święta Niepodległości, na drogach panował spory ruch, ale samochody mknęły bez przeszkód.

Przez chwilę rozważała, czy nie wychylić głowy przez okno i krzyczeć o pomoc. Na pewno byłoby to potwornie upokarzające, niemniej spróbowałaby, gdyby wierzyła, że zadziała. Byłoby łatwiej, gdyby wpadli w jeden z tych nie wyjaśnionych, nieprzewidywalnych korków, które wstrzymywały ruch samochodów na przestrzeni kilometrów.

Gdzie, do diabła, podziali się policjanci z drogówki i uwielbiający obserwować ich poczynania gapie w turystycznych autokarach?

Mając w perspektywie niczym nie zmaconą jazdę, uznała, że czas pogadać z tym draniem.



- Jeśli chcesz dożyć następnego wschodu słońca, zatrzymaj to, co nazywasz samochodem, zdejmij mi kajdanki i wypuść.

- A dokąd pójdziesz? - Oderwał wzrok od drogi na chwilę, by na nią zerknąć. - Wrócisz do swego mieszkania?

- To moja sprawa.

- Już nie, siostró. Kiedy ktoś do mnie strzela, traktuję to jako osobistą zniewagę, naprawdę osobistą. Ponieważ mam nieodparte wrażenie, że stało się to za twoją przyczyną, przez jakiś czas cię zatrzymam.

Gdyby nie jechali setką, uderzyłaby go. W obecnej sytuacji pozostało jej tylko potrząsnąć kajdankami.

- Zabierz to cholerstwo.

- Nie ma mowy.

- Doigrałeś się, Dakota. Jesteśmy w Wirginii. Porwanie z przekroczeniem granicy stanu. To przestępstwo federalne - powiedziała z mściwym błyskiem.

- Przekroczyłaś ją ze mną - podkreślił. - I zostaniesz ze mną dopóki nie dowiem się, o co w tym wszystkim chodzi. - Drzwi zagrzechotały złowieszczo, kiedy przemknął obok osiemnastokołowego tira. - Nawiasem mówiąc, powinnaś być mi wdzięczna.

- Och, z pewnością. Włamałeś się do mojego mieszkania, napadłeś na mnie, zniszczyłeś moje rzeczy i przykułeś mnie do drzwiczek samochodu.

- Gdybym tego nie zrobił, prawdopodobnie leżałabyś teraz w tym mieszkaniu z kulą w głowie.

- Przyszli po ciebie, mądrało, nie po mnie.

- Nie wydaje mi się. Nie mam długów, nie zabawiam się z niczyją żoną i ostatnio nikomu się nie naraziłem. Poza tobą. Nikt nie miał powodu nasyłać na mnie tego byczka. A co do ciebie... - znów prześliznął się wzrokiem po jej twarzy - komuś bardzo na tobie zależy, kotku.

- Tysiącom - burknęła, wyciągnęła przed siebie długie nogi i odwróciła się w jego stronę.

- Założę się. - Nie poddał się impulsowi, by popatrzeć na te nogi, jedynie o nich pomyślał. - Ale w przeciwieństwie do tych pustogłowych kretynów, którym zapadłaś w serce, ktoś interesuje się tobą naprawdę. Na tyle, żeby mnie w to wmanewrować i zgarnąć wraz z tobą.

Ralph, ty podstępny draniu.

Odsunął na bok egzemplarz „Gron gniewu” i podarty podkoszulek i sięgnął po telefon komórkowy. Trzymając kierownicę jedną ręką, drugą wystukał numer i przytrzymał słuchawkę brodą.

- Ralph, ty podstępny draniu - powtórzył, kiedy z drugiej strony ktoś odebrał.

- D... Dakota? To ty? Jeszcze jej nie dopadłeś?

- Kiedy z tym skończę, przyjadę po ciebie.

- O czym... o czym mówisz? Znalazłeś ją? Słuchaj, to prosta sprawa, Jack. D... dałem ci wszystko na tacy. Parę godzin pracy za pełną s... stawkę.

- Jąkasz się bardziej niż zwykle, Ralph. Wybawię cię z tego problemu, kiedy wcisnę ci zęby do gardła. Komu zależy na tej kobiecie?

- Posłuchaj, mam... mam tu kłopoty. Muszę wcześniej zamknąć. Długi weekend, Mamk... kłopoty osobiste.

- Nie ma takiego miejsca, w którym zdołałbyś się przede mną ukryć. Co to za pomysł z tymi fałszywymi papierami? Dlaczego mnie wystawiłeś?

- Mam k... kłopoty. Du... duże k... kłopoty.

- Teraz ja jestem twoim dużym kłopotem. - Nie przerywając rozmowy, nacisnął hamulce, płynnie wyminął kabriolet i wjechał na pas szybkiego ruchu. - Jeśli ten, kto przypiera cię do muru, próbuje ustalić, skąd dzwonię, do twojej wiadomości, jestem w samochodzie, jeżdżąc sobie tu i tam. - Pomyślał przez chwilę, po czym dodał: - A ona jest ze mną.

- Jack, posłuchaj mnie. P... posłuchaj. Powiedz mi, gdzie jesteś, pozbądź się jej i o... odjeżdżaj. Ja za... zaraz przyjadę. Nie wtrącaj się w to. Nie pakowałbym cię w tę robotę, ale wiedziałem, że sobie poradzisz. Teraz radzę ci jak przyjaciel, ukryj ją gdzieś, powiedz mi gdzie i odjedź. Daleko. Niepotrzebne ci to.

- Komu na niej zależy, Ralph?

- Nie musisz wie., wiedzieć. Le... lepiej, żebyś nie wiedział. Tylko to... zrób. Dołożę jeszcze pięć kawałków. P... premię.

- Pięć kawałków? - Jack uniósł brwi. Kiedy Ralph rozstawał się dobrowolnie z pięciocentówką, było to niemal wydarzenie. - Daj dziesięć, powiedz mi, komu na niej zależy, i możemy porozmawiać o interesach.

Ucieszył się, kiedy MJ oprotowała jego słowa gradem przekleństw i gróźb. To dodało smaczku temu blefowi.

- Dzie... dziesięć! - Ralpa niemal zamurowało, jąkał się przez całe dziesięć sekund. - Dobrze, dobrze, dziesięć patoli, ale bez nazwisk i u., uwierz mi, Jack, ratuję ci życie. Po... powiedz mi tylko, gdzie zamierzasz ją ukryć.

Jack z ponurym uśmiechem zaproponował mu coś niewykonalnego z anatomicznego punktu widzenia, po czym się rozłączył.

- No, kotku, twoja skóra jest teraz dla mnie warta dziesięć tysięcy dolarów. Znajdziemy jakieś przyjemne, ciche miejsce, gdzie mi powiesz, dlaczego nie powinienem jej sprzedawać.

Z piskiem opon zjechał z autostrady, wziął ostry zakręt i z powrotem skierował się na północ.

W ustach jej zaschło. Chciała wierzyć, że to od krzyku, ale: gardło ścisnął jej strach.

- Dokąd jedziesz?

- Zacieram ślady. Niełatwo namierzyć komórkę, ale ostrożność nie zawadzi.

- Wiesz mnie z powrotem?

Nie patrzył na nią i zachował kamienną twarz, chociaż napięcie w jej głosie sprawiło mu przyjemność. Jeśli będzie bała się wystarczająco, zacznie mówić.

- Dziesięć tysięcy to kusząca oferta, kotku. Zobaczymy, czy potrafisz mnie przekonać, że żywa jesteś warta więcej.

Dokładnie wiedział, czego szuka. Jeździł drugorzędnymi drogami, tu i ówdzie przedzierając się przez przedświąteczne korki. Zapomniał, że to długi weekend. To i tak wszystko jedno, pomyślał. Nie wyglądało na to, że będzie miał dużo okazji, by zafundować sobie zimne piwo i pooglądać pokazy fajerwerków.

Chyba że będą pochodziły od kobiety siedzącej obok.

Rzeczywiście przypominała fajerwerk. I to taki z efektami dźwiękowymi. Do tej pory musiała być nieźle przestraszona, ale trzymała się. To mu odpowiadało. Nic nie irytowało go bardziej niż płaczące kobiety. Ale przestraszona czy nie, z pewnością przy pierwszej nadarzającej się okazji spróbuje go załatwić.

Nie zamierzał jej dać tej okazji.

Przy odrobinie szczęścia, jak tylko gdzieś się ulokują, wyciągnie z niej całą historię w ciągu kilku godzin.

A później pomoże jej wypłatać się z tego bałaganu. Oczywiście nie za darmo. Nie musi to być jednak wygórowane wynagrodzenie. Był nieźle wkurzony i doszedł do wniosku, że w jego interesie leży zająć się tym, kto go na nią nasłał.

Kimkolwiek był, zadał sobie mnóstwo trudu. Ale nie wybrał najlepszych bandziorów. Nietrudno było domyślić się, jak zamierzali to rozegrać. Jak tylko złapałby ofiarę i umieścił ją w samochodzie, mężczyźni z furgonetki ruszyliby za nimi w pościg. On doszedłby do wniosku, że to akcja konkurencji i, chociaż nie zrezygnowałby z wynagrodzenia bez walki, w końcu by przegrał, bo górowali nad nim liczbą i uzbrojeniem.

Łowcy zbiegów nie wyplakują się glinom w mankiet, kiedy rywal zgarnie ich premię.

Zbiry mogłyby go lekko poturbować, może zafundować mu niewielki wstrząs mózgu, a potem puścić wolno. Ale mając w pamięci sposób, w jaki ta góra mięsa wymachiwała swoją spluwą w mieszkaniu MJ, Jack uznał, że bardziej prawdopodobne byłoby zainkasowanie świeżutkiej kuli w jakąś newralgiczną część ciała.

Ponieważ ta góra mięsa była najwyraźniej niedorozwinięta umysłowo.

A więc teraz uciekał z wściekłą kobietą u boku, mając niewiele ponad trzysta dolarów w kieszeni i ćwierć baku benzyny.

Zamierzał dowiedzieć się, jak do tego doszło.

Na północ od Leesburga w stanie Wirginia znalazł to, czego szukał. Turyści i weekendowicze, jeśli nie wiedzie się im wyjątkowo kiepsko, ominą szerokim łukiem taką walącą się norę jak Country Club Motel. Ten wciśnięty w ziemię budynek, z którego pomalowanych na zielono drzwi obłaziła płatami farba i z wyboistym parkingiem doskonale pasował do potrzeb Jacka.

Podjechał do krańca parkingu, z dala od grupy porzeczonych wehikułów zaparkowanych obok recepcji i zgasił silnik.

- To tu przywozisz dziewczyny na randki, Dakota? Uśmiechnął się czarująco.

- Dla ciebie wszystko, co najlepsze, kotku.

Doskonale wiedział, o czym ona myśli. Gdy ją oswobodzi, rzuci się na niego jak pantera. Jeżeli uda jej się wydostać z samochodu, pogna w stronę recepcji tak szybko, jak tylko zdołają unieść ją te niesamowicie długie nogi.

- Nie oczekuję, że mi uwierzysz - rzucił niedbale, schylając się, by odpiąć kajdanki od drzwiczek. - Chociaż nie będzie to dla mnie zabawne...

Była napięta jak struna. Czuł, jak jej ciało pręży się do skoku. Musiał być szybki i brutalny. Zanim zdążyła odetchnąć, obie ręce miała skute za plecami. Wciągnęła powietrze do krzyku, ale w tym momencie położył jej dłoń na ustach.

Szamotała się i wiała, próbowała tak wysunąć nogi, by go kopnąć, ale rzucił ją na siedzenie, twarzą w dół. Kiedy wreszcie zatkał jej usta bandaną, brakowało mu tchu.

- Skłamałem. - Ciężko chwytając powietrze, potarł świeże stłuczenie w miejscu, gdzie jej łokieć zetknął się z jego żebrami. - Może trochę mi się to podobało.

Użył podartego podkoszulka, by unieruchomić jej nogi, próbując przy tym nie zwracać zbytnej uwagi na ich długość i kształt. Ale, do diabła, przecież był tylko człowiekiem. Kiedy już była związana jak indyk, zapętlili łańcuszek kajdanek wokół dźwigni zmiany biegów i zaniknął okna.

- Gorąco jak w piekle, prawda? - powiedział tonem pogawędki. - Cóż, niedługo wrócę.  
- Zaniknął samochód i oddalił się, pogwizdując.

Chwilę zajęło MJ odzyskanie równowagi. Zdała sobie sprawę, że jest przerażona. Naprawdę, do szpiku kości przerażona. Nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek przedtem czuła taki obezwładniający strach. Cała drżała, ale wiedziała, że musi się opanować. Tylko wówczas może uda jej się wyjść cało z tej niewiarygodnej sytuacji.

Kiedyś, jakoś tak wkrótce po otwarciu pubu, zamykała lokal późnym wieczorem. Była sama, gdy wszedł mężczyzna i zażądał pieniędzy. Wtedy też była przerażona, sparaliżowana dzikim wyrazem jego oczu, z których wyzierał narkotyczny głód. Wręczyła mu więc utarg, tak jak zalecają gliny.

A potem potraktowała go grubszym końcem pałki baseballowej, którą trzymała za barem.

Była przerażona, ale poradziła sobie.

Teraz też sobie poradzi.

Knebel doprowadzał ją do szału. Nie mogła go zsunąć ani wypluć, dała więc spokój i skupiła się na odplątywaniu kajdanków. Gdyby tylko udało jej się uwolnić ręce z dźwigni, mogłaby się zwinąć, zgiąć nogi i zyskać możliwość poruszania się.

Powiedziała sobie w duchu, że jest zwinna. Silna i sprytna. Nakazała sobie spokój, a tymczasem była przestraszona, bezsilna i bezradna. Wściekała się w duchu. Kajdanki mogłyby być równie dobrze przymurowane do dźwigni.

Gdyby tylko mogła spojrzeć za siebie, wykręcić się, żeby widzieć, co robi. Nie dawała za wygraną. Omal nie zwichnęła barku, ale w końcu udało jej się obrócić. Kiedy szarpnęła stalowy łańcuch kajdanek, była złana potem.

Przerwała, zamknęła oczy i próbowała odzyskać oddech. Drżącymi palcami po omacku przesuwiała wzdłuż łańcuszka, aż dotarła do gładkiej powierzchni drążka. Nie otwierając oczu, wyobrażała sobie, co robi, ostrożnie, powoli, i dotąd poruszała dłońmi, aż poczuła, że łańcuch zaczyna się zsuwać. Ramiona jej trzeszczały, kiedy zmuszała je do przyjęcia nienaturalnej pozycji.

Czuła, że coś się poddało, miała tylko nadzieję, że to nie staw i barkowy, po czym padła jak kłoda, wycieńczona, ledwie żywa, w momencie gdy kajdanki zsunęły się z dźwigni.

- Do licha, niezła jesteś - skomentował Jack, kiedy szarpnięciem otworzył drzwiczki. Wyciągnął ją ze środka i przerzucił i przez ramię. - Jeszcze pięć minut i mogłoby ci się udać. - I Wniósł ją do obskurnego pokoju na końcu budynku. Już wcześniej otworzył z klucza drzwi samochodu i stał przez chwilę, podziwiając jej zmagania.

Teraz rzucił ją na łóżko, a MJ znowu zaczęła walczyć. Jack przewrócił ją na brzuch i po prostu położył się na jej plecach. Czekał, aż się zmęczy tym bezsensownym szamotaniem.

To też go bawiło. Właściwie nie był z siebie dumny, ale podobało mu się to. Ta kobieta miała niewiarygodną energię i niewyczerpane siły. Wyobrażał sobie, że gdyby się spotkali w innych okolicznościach, poszarpaliby tanie hotelowe prześcieradła jak szaleńcy i rozstali się jak przyjaciele.

Może faktycznie leżał na niej i wdychał jej zapach troszkę dłużej, niż to było konieczne. W końcu nie był świętym, prawda? - stwierdził w duchu samokrytycznie, kiedy uwolnił jej jedną rękę i przymocował kajdanki do żelaznego wezłowania łóżka.

Wreszcie wstał i przegarnął dłonią włosy.

- Przez ciebie jest to dla nas obojga trudniejsze, niż mogłoby być - powiedział.

W odpowiedzi przeszła go morderczym spojrzeniem płonących zielonych oczu. Brakowało mu powietrza i wiedział, że to nie z powodu tej ostatniej drobnej utarczki. Jędrne, smukłe ciało przyciśnięte do jego ciała błyskawicznie go podnieciło.

Nie chciał być podniecony.

Odwrócił się do niej plecami, włączył telewizor i nastawił głos na pełną moc. MJ zdążyła już wyrwać knebel wolną ręką i syczała teraz jak waż.

- Możesz wrzeszczeć, jeśli masz ochotę - powiedział, wyjął mały nóż i przeciął sznur telefonu. - Trzy następne pokoje są wolne, więc nikt cię nie usłyszy. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Poza tym rozgłosiłem w recepcji, że jesteśmy w podróży poślubnej, więc jeśli coś usłyszą, nie będą nam przeszkadzać. Za minutę wracam.

Wyszedł, zamykając za sobą drzwi na klucz.

MJ była w rozterce. Co się z nią dzieje? Przez chwilę, tylko przez jedną szaloną chwilę, kiedy przycisnął ją swym ciałem do materaca, poczuła w członkach słodką słabość. Obudziło się w niej pragnienie, by wziął ją w ramiona.

To było chore.

Przez tę jedną szaloną chwilę wyobraziła sobie, że on zdziera z niej ubranie, dotyka ustami i dłońmi, rozpala do białości, by w końcu omdlała z rozkoszy.

Co więcej, pragnęła tego.

Wzdrygnęła się, chcąc wierzyć, że była to tylko jakaś nietypowa reakcja na szok.

Nie należała do kobiet, które unikają kontaktów z mężczyznami, nie stroniła od seksu. Ale nie oddawała się nieznanym, mężczyznom, którzy ją przewracali na ziemię, wiązali i rzucali na łóżko w jakimś tanim motelu.

On też był podniecony. Nie była tak naiwna ani tak wstrząśnięta, żeby nie być świadoma reakcji jego ciała. Z trudnością opanowała oddech. Nie zamierzał jej zgwałcić. Nie chciał seksu. Chciał... Bóg jeden wie czego.

Nie czuj, powiedziała sobie. Tylko myśl. Daj spokój głupstwu i myśl.

Powoli otworzyła oczy i rozejrzała się po pokoju.

Był po prostu odrażający.

Najwidoczniej jakieś wprowadzone w błąd stworzenie pomyślało, że wykorzystanie klującego w oczy połączenia barw i pomarańczowej i niebieskiej zmieni tandetnie umeblowany ciasny pokoik w coś egzotycznego.

Trudno o większą omyłkę.

Zasłony były cienkie jak papier i wyglądało na to, że równie nietrwałe, ale Jack zaciągnął je szczelnie na wąskim oknie od frontu, więc pokój był pogrążony w mroku.

Z telewizora stojącego na rozklekotanym szarym stoliku rozbrzmiewał fatalnie zdubbingowany film o Herkulesie. Jedyna komoda była upstrzona zachodzącymi na siebie krążkami od wody. Obok łóżka stała metalowa skrzynka. Za parę dolarów w piętnastocentówkach można było zafundować sobie masaż „tańczącymi paluszkami”. Oto imprezka.

Żółta szklana popielniczka na nocnym stoliku nie wyglądała na wystarczająco ciężką, by posłużyć jako skuteczna broń. Mimo hałasu dobiegającego z telewizora słyszała wycie klimatyzatora, który w najmniejszym stopniu nie chłodził pokoju.

Przy wąskich drzwiach, zapewne prowadzących do łazienki, wisiała krzykliwa reprodukcja przedstawiająca wiejski krajobraz na jesieni z obowiązkową czerwoną stodołą i krowami o tępych mordach.

Sięgnęła nad głowę i wymacała lampę przy łóżku. Była z jaskrawoniebieskiego szkła, okopcona i pożółkła, ale miała swoją wagę. Mogła okazać się przydatna.

Słyszac zgrzyt klucza w zamku, odłożyła lampę i wbiła wzrok w drzwi.

Wszedł do środka z małą czerwono - białą turystyczną lodówką. Postawił ją na komodzie. Serce zaczęło jej walić jak młotem, kiedy zobaczyła, że jej torba wisi mu na ramieniu, ale rzucił ją na podłogę przy łóżku tak niedbale, że znów się odprężyła.

Diament jest wciąż bezpieczny, pomyślała. Tak samo pojemnik z gazem łzawiącym, otwieracz do puszek i rolka pięciocentówek, które z przyzwyczajenia nosiła jako broń.

- Nic nie sprawia mi większej przyjemności niż naprawdę kiepski film - odezwał się i zamilkł, podziwiając, jak Herkules walczy z kilkoma groźnie wyglądającymi wojownikami odzianymi w skóry i szczerzącymi popsute zęby. - Zawsze się zastanawiam, skąd wytrzasnęli ten dialog. Wiesz, chodzi o to, czy był równie zły po litewsku czy nie wiem po jakimś, czy po prostu wszystko traci się w tłumaczeniu?

Wzruszając ramionami, podszedł do komody, uniósł klapę lodówki i wyjął z niej dwa napoje bezalkoholowe.

- Domyślam się, że umierasz z pragnienia. - Podszedł do niej, podał jej puszkę. - Nie jesteś typem kobiety, która odmówi, żeby zrobić mi na złość. - Jego przypuszczenie okazało się trafne. MJ chwyciła puszkę i pociągnęła solidny łyk. - Nie ma tu obsługi w pokojach - ciągnął. - Ale niedaleko jest bar, więc głód nam nie grozi. Chcesz coś zjeść teraz?

Popatrzyła na niego znad puszek.

- Nie.

- W porządku. - Usadowił się wygodnie na łóżku i uśmiechnął do niej. - W takim razie porozmawiajmy.

- Pocałuj mnie w tyłek. Wypuścił powietrze.

- To atrakcyjna propozycja, kotku, ale ja próbuję nie myśleć o takich rzeczach. - Poklepał ją przyjaźnie po udzie. - Wracając do sprawy, tak jak ja to widzę, obydwójecie jesteście w coś wplątani, a ty masz klucz. Jak tylko powiesz mi, kto cię ściga i dlaczego, zajmę się tym.

Ugasiwszy pierwsze pragnienie, sączyła napój powoli. Jej głos ociekał ironią.

- Ty się tym zajmiesz?

- Tak. Uważaj mnie za swego obrońcę. Kogoś w rodzaju poczciwego starego Herkulesa. - Wskazał kciukiem obraz za sobą. - Opowiesz mi o wszystkim, a ja zajmę się złymi chłopcami. Potem wystawię ci rachunek. A jeśli ta oferta pocałowania cię w tyłek będzie nadal aktualna, skorzystam z niej.

- Niech pomyślę. - Odchyliła głowę do tyłu, wytrzymując jego wzrok. - Co takiego powiedziałeś twemu staremu kumplowi Ralphowi? Och, tak. - Ściągnęła wargi i powtórzyła jego słowa.

Pokręcił tylko głową.

- Czy tak ma wyglądać rozmowa z facetem, który uchronił cię od kuli w głowę?



- To ja uratowałam cię przed kulą w głowę, kolego, chociaż mam poważne wątpliwości, czy zdołaliby w nią trafić, biorąc pod uwagę, jak jest malutka. A ty odpłaciłeś mi się, maltretując mnie, wiążąc, kneblując i zawożąc do jakiegoś taniego motelu na godziny.

- Zapewniono mnie, że zatrzymują się tu rodziny z dziećmi - odparł, nie kryjąc drwiny.

Do licha, ależ ta kobieta ma charakterek. Pluć na niego mimo jego przewagi, prowokować, by ją wziął, choć nie mogła mieć nadziei na wygraną w tym pojedynku. I seksowna jak diabli w tych obcisłych dżinsach i zmiętym podkoszulku.

- Tylko pomyśl - powiedział. - Ten bezmózgi olbrzym powiedział coś o tym, że zbyt długo się tobą zajmuję i że za dużo mówię. To nasunęło mi myśl, że nas podsłuchiwali. W furgonetce musieli mieć sprzęt do podsłuchu i zniecierpliwili się. Gdybyś wyszła ze mną od razu, jak grzeczna dziewczynka, śledziliby nas, wyczekali odpowiedni moment i porwaliby cię. Nie chcieli bezpośrednio się włączać i nie chcieli świadków.

- Ty byłbyś świadkiem - zauważyła.

- Nie przypuszczam. Pomyślałbym, że inny łowca nagród kradnie mi pracę, ale ludzie w mojej branży nie skarżą się policji. Przepadłby mi zarobek, uznałbym dzień za stracony, może nagadałbym Ralphowi. W każdym razie tak bym to sobie wytłumaczył, a Ralph pewnie narailby mi jakąś łatwą robótkę, żebym nie czuł się pokrzywdzony.

Zamilkł i zamyślił się na dłuższą chwilę, po czym podjął rozmowę.

- Ktoś przyparł go do muru. Chciałbym wiedzieć, kto to był.

- Nie mam pojęcia. Nie znam twojego przyjaciela Ralph.

- Byłego przyjaciela.

- Nie znam tego goryla, który rozwalil mi drzwi do mieszkania, i nie znam ciebie. - Była zadowolona, że udało jej się zachować neutralny ton. - Jak tylko mnie wypuścisz, zawiadomię o wszystkim policję.

Wykrzywił wargi.

- Po raz pierwszy wspomniałaś o policjantach, kotku. Blefujesz. Wcale nie chcesz, żeby się w to wtręcali. To następna kwestia do wyjaśnienia.

Miał rację. Nie chciała w to mieszać policji, w każdym razie nie teraz, dopóki nie skontaktuje się z Bailey i nie dowie się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Mógłbyś usłyszeć ten blef, gdybyś nie przeciął sznura telefonu.

- Nie zawiadomiłabyś glin, ale ten, do kogo byś zadzwoniła, mógłby mieć telefon na podsłuchu. Nie po to zadawałem sobie tyle trudu, szukając tego wytwornego motelu na uboczu, by dać się wysledzić.

Pochylił się i uniósł dłonią jej podbródek.

- Do kogo byś zadzwoniła?

Nie zamykała oczu, usiłując zignorować ciepło płynące z tych palców, dotyk jego skóry na skórze.

- Do mojego kochanka - wypluła z siebie. - Rozdarłby cię na sztuki kawałek po kawałku. Wydarłby z ciebie serce i pokazał ci jeszcze bijące.

Uśmiechnął się i pochylił jeszcze bardziej. Po prostu nie mógł się oprzeć.

- Jak mu na imię?

W głowie miała pustkę, całkowitą, kompletną, idiotyczną pustkę. Patrzyła przez chwilę w te zimne szare oczy, po czym strząsnęła jego rękę.

- Hank. Rozedrze cię na pół i rzuci psom na pożarcie, kiedy się dowie, że zrobiłeś mi krzywdę.

Zaśmiał się cicho, czym rozwścieczył ją jeszcze bardziej.

- Może i masz kochanka, kotku. Może masz ich tuzin. Ale nie masz ani jednego o imieniu Hank. Za długo się zastanawiałaś. W porządku, skoro nie chcesz wydusić tego z siebie i nie wierzysz, że nas z tego wyciągnę, zrobimy to inaczej.

Wstał i pochylił się. Usłyszał, jak szybko wciągnęła powietrze w płuca, kiedy sięgał po jej torbę. Bez słowa wysypał zawartość na łóżko. Pięciocentówki usunął już wcześniej.

- Używasz tego otwieracza do czegokolwiek poza piwem? - spytał.

- Jak śmiesz! Jak śmiesz grzebać w moich rzeczach?!

- Och, myślę, że to naprawdę drobiazg po tym, cośmy razem przeszli. - Wziął do ręki aksamitny woreczek i wytrząsnął na dłoń kamień, który rozbłysnął płomiennym blaskiem.

Nie odrywał od niego oczu. Nie mógł sobie na to pozwolić w samochodzie, kiedy przeszukiwał jej torbę. Kamień był nieprawdopodobnie, intensywnie błękitny, wielkości niemowlęcej piąstki i szlifowany tak, że rzucał błękitne ognie. Kiedy tak trzymał go w dłoni, poczuł ukłucie w sercu, dziwną potrzebę chronienia go. Prawie tak niewytłumaczalną, pomyślał, jak pragnienie chronienia tej nieznośnej, niewdzięcznej kobiety.

- No więc - powiedział, podrzucając kamień w powietrze - opowiedz mi o tym, MJ, w jaki sposób udało ci się położyć rękę na błękitnym diamencie na tyle wielkim, by zadławił się nim kot...

### ROZDZIAŁ 3

Prze głowę przelatywały jej różne rozwiązania. W końcu uznała, że najprostszym i najbardziej satysfakcjonującym będzie zrobienie z niego kretyna.

- Oszalałeś? - Wzniosła oczy do nieba i prychnęła. - Tak, jasne, diament, wielki niebieski brylant. W schowku na rękawiczki w samochodzie mam zielony, a w drugiej torbie czerwony. Wydaję wszystkie dochody z mego pubu na diamenty. To taki kaprys.

Obserwował ją leniwie, podrzucając kamień do góry jak piłkę. Doszedł do wniosku, że wygląda na poirytowaną, a zarazem rozbawioną i pewną siebie.

- W takim razie co to jest?

- Przycisk do papieru, na litość boską. Odczekał ułamek sekundy.

- Nosisz w torbie przycisk do papieru.

- To prezent - powiedziała wyniośle.

- Tak. Z pewnością od Hanka Przystojniaka. - Wstał i niedbale przejrzał resztę rzeczy, które przed chwilą wysypał z torby. - Popatrzmy, poza maczugą...

- To rulon pięciocentówek - poprawiła.

- Ten sam efekt. Pojemnik z gazem łzawiącym, otwieracz, swoją drogą nie jestem przekonany, że służy ci do otwierania butelek Budweisera. Elektroniczny notes, portfel. Więcej w nim zdjęć niż gotówki...

- Nie podoba mi się, że grzebiesz w moich rzeczach.

- Pozwij mnie do sądu. Butelka wody mineralnej, sześć długopisów, cztery ołówki. Konturówka do oczu, zapałki, klucze, dwie pary okularów przeciwsłonecznych, ostatnia powieść Sue Grafton w miękkich okładkach - nawiasem mówiąc, całkiem niezła. Nie powiem ci, jak się kończy. Batonik... - Rzucił go w jej kierunku. - To na wypadek, gdybyś zgłodniała. Telefon, - Wsadził go do tylnej kieszeni spodni. - Około trzech dolarów drobnymi, wodoszczelne radio i paczka prezerwatyw. No, no. Nie naruszona. Ale cóż, nigdy nie wiadomo, co się może przydarzyć.

Gończy rumieniec upokorzenia i wściekłości wspinał się po jej szyi.

- Zboczeniec.

- Powiedziałbym, że jesteś kobietą, która lubi być przygotowana na różne okoliczności. Dlaczego więc nie miałabyś nosić ze sobą przycisku do papieru? Mogłabyś natrafić na stertę papierów, wymagających przymocowania. To się przecież ciągle zdarza.

Paroma ruchami zgarnął rzeczy rozrzucone na łóżku, wrzucił je z powrotem do torby i odsunął ją na bok.

- Nie będę pytać, czy masz mnie za dumna, bo już zdążyłem się o tym przekonać. - Podszedł do lustra wiszącego nad komodą i przejechał kamieniem szkło na ukos, zostawiając długą, cienką rysę.

- Nie robią już takich lusterek motelowych jak dawniej - zauważył, po czym usiadł na łóżku obok niej. - Teraz wróćmy do mego pierwszego pytania. Co robisz z błękitnym brylantem na tyle dużym, żeby kot mógł się nim zadławić?

Ponieważ zawzięcie milczała, ujął jej policzki w palce jak w imadło i gwałtownie przyciągnął jej twarz do swojej.

- Słuchaj, siostrze, mógłbym znów cię zwięzać jak indyka, zostawić cię tu i odjechać z twoim wartym milion dolarów przyciskiem do papieru. To wyjście numer jeden. Mogę sobie odpuścić, oglądać film i czekać, aż pęknie, bo prędzej czy później i tak powiesz mi to, co chcę wiedzieć. To wyjście numer dwa. A teraz wyjście numer trzy. Powiesz mi, dlaczego masz przy sobie kamień, za który można kupić wysepkę w Indiach Zachodnich, i zaczniemy się zastanawiać, jak wyciągnąć nas oboje z tego kłopotliwego położenia.

Nie drgnęła, nawet nie mrugnęła. Podziwiał jej zimną krew i czekał cierpliwie, podczas gdy przyglądała mu się badawczo tymi ciemnozielonymi, kocimi oczami.

- Dlaczego nie wybrałaś wyjścia numer jeden?

- Bo nie podoba mi się, kiedy jakiś goryl próbuje pogruchotać mi kości, nie lubię, gdy się do mnie strzela, i nie popuszczę tylko dlatego, że oszukuje mnie jakiś wrogo nastawiony rudzielec. - Pochylił się tak blisko, że niemal dotykali się nosami.

- Muszę za to odpłacić, kotku. A zacznę od ciebie.

Złapała go wolną ręką za nadgarstek i pchnęła.

- Groźby nie robią na mnie żadnego wrażenia, Dakota.

- Nie? - Zręcznie zmienił taktykę. Przesunął z powrotem dłoń ku jej twarzy, ale teraz lekko musnął knykciami kość policzkową, aż zamrugła zaskoczona, po czym przymknęła oczy.

- Chcesz, żebym zabrał się do tego inaczej?

Przejechał palcami po jej szyi, piersi, brzuchu i z powrotem, wreszcie położył dłoń na jej karku. Ustami zawisł nad wargami MJ, dając jej czas do namysłu.

- Nawet o tym nie myśl - ostrzegła.

- Za późno. - Wygiął wargi i spojrzał jej w oczy. - Myślałem o schodach do swego mieszkania.

Nieprawda. Uświadomił sobie, że myślał o tym, odkąd Ralph wcisnął mu jej zdjęcie. Zastanowi się nad tym później.

Musnął ustami jej wargi, odsunął się odrobinę. Oczekiwał, że MJ skurczy się ze strachu albo będzie walczyć. Bogu jednemu wiadomo, jak bezwzględnie wykorzystał te wszystkie kobiece lęki. To było godne pożałowania, ale nad tym również zastanowi się później. Chciał tylko zmusić ją w ten sposób do ujawnienia wszystkiego, zanim obydwójce zginą. A jeśli przy okazji doznawał odrobiny prymitywnej przyjemności, cóż, do diabła, miał swoje wady, jak każdy.

Ale ona nie walczyła, nie skurczyła się też ze strachu. Nie drgnął jej żaden mięsień, wbijała tylko w niego te niezwykle zielone oczy. Mroczny dreszcz przeniknął go aż do lędźwi.

Kolejny grzech na koncie, pomyślał i, zaciskając dłoń na jej wolnej ręce, przyłgął wargami do jej ust w długim, głębokim pocałunku.

To był czysty żar, prymitywny jak plemienne bębny. Żadnych myśli, żadnego analizowania, sam instynkt. Te zadziwiająco zmysłowe usta poddały się jego ustom, więc sięgnął głębiej. Z pomrukiem zadowolenia zatopił się w niej, wciskając język między pełne, zapraszające wargi, wtulając się w smukłe gibkie ciało, wsuwając rozpostartą dłoń w miękkie, gęste włosy o barwie płomienia.

Jego umysł wyłączył się jak rozbita lampa. Zapomniał, że to miało być oszustwo, prowokacja, która powinna zbić ją z tropu, zapomniał, że jest cywilizowanym człowiekiem. Wiedział tylko, że MJ jest jego. Wystarczy sięgnąć ręką.

Zamknął zachłannie dłoń na jej piersi, kciukiem i palcem wskazującym drażnił brodawkę, aż stwardniała pod cienką bawełną podkoszulka. MJ poruszyła się pod nim, zapraszająco wygięła ku niemu. Krew uderzyła mu do głowy.

Nagle MJ wyciągnęła rękę i szarpnęła za ucho, niemal odrywając mu je od głowy, a zęby, z całej siły, zacisnęła na jego dolnej wardze.

Zaskowyczał, odskoczył gwałtownie i pewien, że odgryzła mu kawałek ciała, mocno ścisnął jej podbródek, aż w końcu go puściła. Oderwał rękę, przycisnął wierzch dłoni do pulsującej wargi, a potem obejrzał smugę krwi.

- Do diabła!

- Świnia. - Wprost kipiała energią, gramoliła się na kolana, by zadać mu kolejny cios, i zakłęła, kiedy nie sięgnęła celu. - Zboczeniec.

Rzucił jej jedno mordercze spojrzenie, po czym odwrócił się plecami. Drzwi do łazienki zamknęły się za nim z trzaskiem. Usłyszała szum wody. Zmrużywszy oczy, opadła na plecy i poddała się ogarniającym ją dreszczom.

To jakiś koszmar, powtarzała w myśli, przyciskając dłoń do twarzy. Chyba całkiem oszalała.

Czy walczyła z nim? Nie. Czy wzdragała się z oburzenia, z obrzydzenia? Nie.

Podobało jej się to.

Zatrzęsała się z wściekłości, obrzuciła się wyzwiskami i posłała Jacka Dakotę do wszystkich diabłów.

Pozwoliła mu się pocałować. Nie może udawać, że było inaczej. Patrzyła w te niebezpieczne szare oczy, była jak naelektryzowana, kiedy te aroganckie wargi ocierały się o jej wargi.

I pragnęła go.

Mięśnie zwiotczały, piersi pulsowały, a krew zaczęła krążyć szybciej. Pozwoliła mu się pocałować bez słowa protestu. Oddała mu pocałunek, nie bacząc na konsekwencje.

O'Leary, dziewczyna, która szczyliła się tym, że zawsze panuje nad sytuacją, która w jednej sekundzie potrafiła przewrócić dziewięćdziesięciokilogramowego mężczyznę na plecy i postawić mu stopę na gardle - pewna siebie, zdecydowana i stanowcza MJ zmiękła jak wosk od jednego pocałunku.

W dodatku on ją związał, zakneblował, przykuł kajdankami do łóżka w jakimś tanim motelu. Chyba rzeczywiście kompletnie oszalała, skoro pragnęła go choćby przez sekundę.

Dzięki Bogu, otrząsnęła się z tego. Nie miało znaczenia, że głównym powodem, by mu się przeciwstawić, był przenikający ją do szpiku kości strach przed własnymi uczuciami. Liczyło się to, że go powstrzymała - a wiedziała, że była o włos od tego, by pozwolić mu na wszystko.

Bardzo się bała, że gdyby miała wolne obie ręce, zarzuciłaby mu je na szyję, zachęcając do następnego pocałunku.

To szok, powiedziała sobie. Nawet kobieta, która potrafi poradzić sobie ze wszystkim, co staje jej na drodze, w pewnych okolicznościach ma prawo do odrobiny oszołomienia.

Dość tego. Trzeba się zastanowić się, co robić dalej.

Faktów było niewiele, ale mówiły same za siebie. Musiała się skontaktować z Bailey. Niezależnie od przyczyny, dla której przesłała jej kamień, nie zdawała sobie sprawy, jak niebezpieczne skutki wywoła. Bailey miała swoje powody, MJ była tego pewna, ale mógł to być jeden z rzadkich u przyjaciółki przejawem spontaniczności i buntu.

Nie chciała, żeby Bailey za to płaciła.

Co zrobiła z tamtymi dwoma kamieniami? Czy miała je przy sobie, czy... O Boże!

Opadła ciężko na twardą jak kamień poduszkę. Pewnie połała jeden Grace. Na pewno. To było logiczne, a o Bailey można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że postępuje wbrew logice. Skoro były trzy kamienie, jeden dostała MJ, drugi zatrzymała Bailey, a ostatni został wysłany pozostałej z dwóch osób na świecie, do których Bailey miała absolutne zaufanie.

Grace Fontaine. Wszystkie trzy od czasów college'u były sobie bliskie jak siostry. Bailey spokojna, pilna i poważna. Grace bogata, olśniewająca i szalona. MJ stanowcza i zdecydowana. Wynajmowały wspólnie mieszkanie przez cztery lata studiów w Radcliffe i od tej pory trzymały się razem. Po studiach Bailey zaczęła pracę w firmie ojczyma, MJ zgodnie z rodzinną tradycją otworzyła własny pub, a Grace robiła co mogła, żeby zaszokować bogatych, konserwatywnych i mających jej wszystko za złe krewnych.

Jeśli któraś z nich miała kłopoty, miały je wszystkie. Musiała je ostrzec.

Musiała uciec Jackowi Dakocie albo go wykorzystać.

Ale na ile, spytała siebie, odważy się mu zaufać?

Jack oglądał badawczo skaleczoną wargę w lustrze. Pewnie zostanie mu blizna. No cóż, zasłużył na to. Powinien bardziej nad sobą panować.

Co nie znaczy, że ona była całkiem niewinna, leżąc tak na łóżku z tym tylko - spróbuj - chłoptasiu wyrazem w oczach.

I czyż nie przycisnęła smukłego, jędrnego ciała do niego, nie rozchyliła miękkich zmysłowych ust, nie wygięła zgrabnych, wąskich bioder?

Przejechał dłońmi po twarzy. Tak było, tylko czy dał jej jakiś wybór?

Opuściwszy ręce, popatrzył na siebie w lustrze, prosto w oczy i przyznał, że nie chciał dać jej wyboru.

Po prostu jej pragnął.

To prawda, nie jest zwierzęciem. Mógł się opanować, mógł pomyśleć, mógł się zastanowić. I właśnie to zamierzał zrobić.

Pewnie zostanie mi blizna, pomyślał znów ponuro, ostrożniej dotykając opuszką palca nabrzmiałej wargi. Niech to będzie dla ciebie lekcja, Dakota. Pokiwał głową na widok odbicia w poplamionym lustrze. Jeśli nie potrafisz zaufać sobie, z pewnością nie powinieneś ufać jej.

Kiedy wyszedł z łazienki, spostrzegł, że wpatruje się w ohydne zasłony w oknie. Przeszył ją wzrokiem. Odpowiedziała mi równie nieprzychylnym spojrzeniem. Nic nie

mówiąc, usiadł w jedynym sfatygowanym fotelu, skrzyżował stopy w kostkach i nastawił telewizor.

„Herkules” już się skończył. Tytułowy bohater prawdopodobnie zwyciężył. Teraz nadawano japoński film fantastyczny z niewiarygodnie marnie wykonaną gigantyczną jaszczurką, która właśnie niszczyła pociąg ekspresowy. Pokój wypełniły wrzaski przerażonych statystów.

Przez chwilę wpatrywali się w ekran. Wojsko pospieszyło na odsiecz z wielkimi karabinami, które w najmniejszym stopniu nie zaszkodziły olbrzymiej jaszczurce. Malutki człowieczek w hełmie bojowym został pożarty. Jego towarzysze o zajęczych sercach uciekli, ratując życie.

MJ znalazła batonik, który Jack rzucił jej wcześniej, ułamała kawałek i zjadła go w zamyśleniu. Król jaszczurek z przestrzeni kosmicznej ociężale posuwał się w kierunku Tokio, by dokończyć dzieła zniszczenia.

- Mogę dostać swoją wodę? - spytała z wyszukaną uprzejmością.

Wstał, wyjął butelkę z torby i podał jej.

- Dzięki. - Pociągnęła długi łyk, poczekała, aż Jack znów usiądzie.

- Ile bierzesz? - spytała.

Wyjął kolejną wodę sodową z turystycznej lodówki. Szkoda, że to nie piwo.

- Za co?

- Za to, co robisz - odparła zniecierpliwiona. - Powiedzmy, że uciekłam, nie chcąc stawić się w sądzie. Ile dostałbyś za schwytanie mnie?

- To zależy. Dlaczego pytasz? Wzniosła oczy do góry.

- Od czego Zależy?

- Od tego, jaką kaucję za ciebie zapłacono.

Przez chwilę milczała, rozważając jego słowa. Jaszczurka zdemolowała wieżowiec wraz z jego Bogu ducha winnymi mieszkańcami.

- A co mi zarzucają?

- Postrześliś swego kochanka, księgowego. Pewnie miał na imię Hank.

- Bardzo zabawne. - Ułamała kolejny kawałek batonika i kiedy Jack wyciągnął rękę, niechętnie podzieliła się z nim. - Ile miałeś za mnie dostać?

- Więcej, niż jesteś warta.

Westchnęła.

- Chcę ci coś zaproponować, Jack, ale jestem kobietą interesu i nie uznaję niedomówień. Jaka jest twoja stawka?



Interesujące, pomyślał i postukał palcami o poręcz krzesła.

- Jak dla ciebie, kotku, biorąc pod uwagę, co trzymasz w tym kufrze, który nazywasz torebką, plus to, co zaproponował mi Ralph za wydanie cię tym zbirom... - Zastanawiał się przez chwilę. - Sto tysięcy.

Nawet nie mrugnęła.

- Doceniam, że próbujesz rozładować napięcie, siląc się na dowcipy. Setka tauzenów dla faceta, który sam nie potrafi załatwić jednego wynajętego bandziora, to śmieszne...

- Kto powiedział, że nie potrafiłem go załatwić? Ja go załatwiłem, kotku. Jego i jego spluwę, a ty nawet nie raczyłaś mi za to podziękować. - Najwidoczniej zraniła jego dumę.

- Och, wybacz mi. To musiało umknąć mej pamięci, kiedy byłam wleczona tu i tam, skuta kajdankami. Jakie to nieuprzejme z mojej strony. A poza tym nie ty go załatwiłeś, tylko ja. Ale nieważne - ciągnęła, trzymając w górze wolną rękę niczym policjant z drogówki. - Teraz, kiedy już sobie pozartowaliśmy, spróbujmy być poważni. Dam ci tysiąc, jeśli ze mną nad tym popracujesz.

- Tysiąc? - Błysnął tym szybkim, niebezpiecznym uśmiechem. - Kotku, na całym świecie nie ma tylu pieniędzy, żeby mnie skłonić do pracy z tobą. Ale za sto patoli wyciągnę cię z tej kabały, w której się znalazłaś.

- Po pierwsze... - podciągnęła nogi i usiadła w pozycji lotosu - nie jestem twoją siostrą i nie jestem twoim kotkiem. Jeśli musisz się do mnie zwracać, używaj mego imienia.

- Ty nie masz imienia, tylko inicjały.

- Po drugie - ciągnęła, nie zwracając uwagi na jego słowa gdyby taki facet jak ty położył łapy na stu tysiącach, po prostu przegrałby je w Vegas albo wydał na striptizerki. Ponieważ nie życzę sobie, żeby coś takiego stało się z moimi pieniędzmi, daję ci tysiąc. - Uśmiechnęła się do niego. - Z taką forszą możesz spędzić miły weekend na plaży z beczką importowanego piwa.

- To bardzo ładnie z twojej strony, że troszczysz się o mnie, ale nie jesteś w sytuacji, w której mogłabyś dyktować warunki, chcesz pomocy, więc będzie cię to kosztować.

Nie wiedziała, czy chce jego pomocy. Tak naprawdę wcale nie była pewna, czy kłóci się z nim o zapłatę. W zaistniałych okolicznościach może obiecać mu każdą sumę bez żadnych zobowiązań, bo i tak nie wiadomo, czy i kiedy nadejdzie czas.

Była to jednak kwestia zasad.

- Pięć tysięcy - i będziesz słuchał moich poleceń.

- Siedemdziesiąt pięć i nie będę słuchał żadnych poleceń.

- Pięć. - Zaciśnęła zęby. - Wóz albo przewóz.

- Nie zgadzam się. - Niedbale wziął znów kamień do ręki, uniósł go i przyjrzał mu się uważnie. - I biorę to ze sobą. - Wstał i poklepał się po tylnej kieszeni spodni. - Może, jak się stąd wyniosę, zadzwonię po gliny z tego śmiesznego małego telefonu.

Zacisnęła dłonie w pięści, poruszyła nimi. Nie chciała w to włączać policji, przynajmniej dopóki nie skontaktuje się z Bailey. Nie mogła też pozwolić sobie na ryzyko, że Jack spełni groźbę i zabierze kamień.

- Pięćdziesiąt tysięcy. - Wypluła z siebie słowa jak surowe mięso. - To wszystko, na co mnie stać. Większość zainwestowałam w swój biznes.

- Znalazne za tę błyskotkę to, jak mi się wydaje, więcej niż pięćdziesiąt tysięcy.

- Nie ukradłam tego cholernego kamienia. Nie należy do mnie. Jest... - Urwała i mocno zacisnęła wargi.

Już chciał usiąść na brzegu łóżka, ale przypomniał sobie, co stało się przed chwilą, i wybrał poręcz fotela.

- Do kogo on należy, MJ?

- Nie zamierzam ci nic powiedzieć. Zdążyłam się zorientować, że jesteś takim samym padalcem jak ten, który rozwalił mi drzwi. Mógłbyś być złodziejem, a nawet mordercą.

- I właśnie dlatego obrabowałem cię i zamordowałem.

- Jeszcze możesz to zrobić.

- Pozwól, że zwrócę twoją uwagę na oczywisty fakt. W pobliżu jestem tylko ja.

- To nie budzi zaufania. - Zastanawiała się przez chwilę. Jak dalece ośmieli się go wykorzystać? I ile odważy się mu powiedzieć?

- Jeśli chcesz mojej pomocy - powiedział, zupełnie jakby czytał w jej myślach - będę potrzebował faktów, szczegółów i nazwisk.

- Nie mam zamiaru podawać ci żadnych nazwisk. - Wolno pokręciła głową. - To wykluczone, dopóki nie porozmawiam z innymi osobami włączonymi w tę sprawę. A co do faktów i szczegółów sama niewiele wiem.

- Powiedz, co wiesz.

Znów zmierzyła go wzrokiem. Nie, nie wierzyła mu. Nie na tyle, żeby mu wyjawić choć część prawdy. Ale musiała znaleźć jakiś punkt wyjścia.

- Zdejm mi kajdanki. Pokręcił głową.

- Na razie zostawmy wszystko tak, jak jest. - Wstał, podszedł do telewizora i wyłączył go. - Skąd masz ten diament, MJ?

Wahała się kolejną chwilę. Mniejsza o zaufanie, myślała. On mógłby pomóc, jeśli nie w inny sposób, to chociaż podsuwając jakieś pomysły.

- Przesłano mi go. Przez nocnego posłańca. Dostałam go wczoraj.

- Skąd pochodzi?

- Zdaje się, że pierwotnie był w Azji Mniejszej - Wzruszyła ramionami na jego syk zniecierpliwienia. - Nie powiem ci, skąd został wysłany, ale na pewno musiał być ku temu powód. Ten, kto mi go przysłał, jest uczciwy do szpiku kości. W dołączonym liście proszono mnie, żebym nie rozstawała się z nim i nikomu o nim nie mówiła, póki nadawca nie będzie miał możliwości wyjaśnienia wszystkiego. - Najwidoczniej przyszły jej do głowy różne okoliczności, ponieważ wyraźnie się zaniepokoiła. - Na pewno ma kłopoty. Duże kłopoty. Muszę zadzwonić.

- Żadnych telefonów.

- Posłuchaj, Jack...

- Żadnych telefonów - powtórzył. - Ktokolwiek szuka ciebie, pewnie szuka też twojego kumpla. Jego telefon może być na podsłuchu, a to doprowadziłoby ich do ciebie. Co z kolei doprowadziłoby ich do mnie, a więc żadnych telefonów. Teraz powiedz, jak twemu uczciwemu przyjacielowi udało się położyć łapę na błękitnym brylancie, który sprawia, że Hope wygląda jak nagroda w pudełku po prażonej kukurydzy?

- W najzupełniej legalny sposób. - Przeczesła palcami włosy, chcąc pokryć zakłopotanie. Najwyraźniej był przeświadczy, że ten przyjaciel to mężczyzna - dlaczego miałyby wyprowadzać go z błędu? - Nie zamierzam ci wszystkiego wyjaśniać. Dodam tylko tyle, że do jego obowiązków należało zajmowanie się nim. Słuchaj, pozwól, że powiem ci co nieco o tym; kamieniu. Jest jednym z trzech. Kiedyś zdobiły ołtarz zbudowany na cześć starożytnego rzymskiego boga. Mitraizm był jedną z ważniejszych religii w Cesarstwie Rzymskim...

- Trzy Gwiazdy Mitry - mruknął. Spojrzała na niego uważnie, najpierw ze zdziwieniem, potem podejrzliwie.

- Skąd wiesz o Trzech Gwiazdach?

- Przeczytałem o nich w poczekalni u dentysty - mruknął. Teraz, kiedy wziął do ręki kamień, podziw w jego oczach przerodził się w fascynację. - Uważano, że to mit. Trzy Gwiazdy osadzone w złotym trójkącie trzymanym przez boga światła.

- To nie mit - zauważyła MJ. - Smithsonian Institute przed paru miesiącami kupił te unikalne kamienie gdzieś w Europie Mój przyjaciel powiedział, że muzeum chce to utrzymać w tajemnicy aż do weryfikacji.

- I oszacowania - myślał głośno - ubezpieczenia i zapewnienia ścisłej ochrony.

- Miały być pilnie strzeżone - powiedziała MJ. W odpowiedzi zaśmiał się cicho.

- Nie wygląda na to, że się udało, prawda? Te brylanty symbolizują miłość, wiedzę i hojność. - Zmrużywszy oczy, wpatrywał się w starożytny klejnot. - Ciekawe, który to z nich?

- Nie mam pojęcia. - Była szczerze zdziwiona. W mgnieniu oka zmienił się z zabijaki o podejrzanym rodowodzie w erudyte. - Ale najwidoczniej ty wiesz o nich tyle samo co ja.

- Słyszałem o mitraizmie - odparł. - Poprzedzał chrześcijaństwo i rozwijał się równoległe z nim. Ludzkość zawsze poszukiwała łagodnego i sprawiedliwego bóstwa. - Wzruszył ramionami, obracając kamień w dłoni. - Ludzie nie zawsze dostają to, czego chcą. Znam legendę o Trzech Gwiazdach. Mówiono, że bóg trzymał ten trójkąt przez wieki, i utrzymywał w ten sposób świat w równowadze. Potem trójkąt zaginął albo padł czyjś łupem, albo zatonął wraz z Atlantydą. - Dla swojej własnej przyjemności włączył lampę, patrzył, jak kamień wybucha mocą w mętym świetle. - A najprawdopodobniej trafił do jakiegoś skorumpowanego rzymskiego skarbnika. - Delikatnie pogładził kciukami ścianki klejnotu. - To coś, za co ludzie gotowi byliby zabić. Albo umrzeć - dodał. - Niektóre legendy umieszczają Gwiazdy Mitry w grobie Kleopatry, według innych Merlin zamknął je w kryształach i strzeże do powrotu króla Artura. Jeszcze inne twierdzą, że sam bóg cisnął je w niebo i zapłakał nad ludzką głupotą. Ale powodem, dla którego zostały ukradzione i rozdzielone, są po prostu pieniądze. - Uniósł wzrok znad kamienia i napotkał jej spojrzenie. - Pojedynczo każdy jest wart fortunę, a w trójkącie wieczność.

Tak, trzeba przyznać, że ją fascynowało to, w jaki sposób ten głęboki, męski głos nabierał chłodnego tonu wykładowcy. I cały czas muskał lśniący kamień tak, jak mężczyzna mógłby muskać świetlistą skórę kobiety.

Ale pokręciła głową, słysząc ostatnie zdanie.

- Nie wierzę w to.

- Nie, ale tak mówi legenda, prawda? Ktokolwiek posiada trójkąt, ze wszystkimi Trzema Gwiazdami, zdobywa boską władzę i nieśmiertelność. Ale niekoniecznie łaskę. Ludzie zabijają za mniejsze rzeczy. O wiele mniejsze.

Położył kamień na stoliku między nimi, gdzie płonął spokojnym ogniem. Uświadomił sobie, że teraz wszystko się zmieniło. Stawki poszły w górę, a szanse zwały.

- Jesteś w kiepskim położeniu, MJ. Ktokolwiek go szuka, nie będzie się zastanawiał nad tym, czy wziąć z nim twoją głowę. - Podrapał się w podbródek, palcami przejeżdżając po płytkim dołeczku. - A moja głowa jest teraz niebezpiecznie blisko twojej.

Nie mógł uwierzyć, że ma takiego pecha. To tylko jego wina, powiedział sobie, kojąc nerwy Mozartem i Moetem. Ponieważ próbował trzymać się z dala od głównego nurtu wydarzeń, mu siał polegać na tych, którym powierzył swoje sprawy.

Niekompetentni co do jednego, uznał, znajdując ulgę w gładzeniu sobolowego płaszcza, który kiedyś zdobił ramiona carycy Katarzyny.

I pomyśleć, że bawiła go myśl, że łowca nagród dopadnie denerwującej panny O'Leary. Prościej byłoby porwać ją z mieszkania czy z pracy. Ale lubił finezję. No i oczywiście dystans.

Łowca nagród mógłby zostać oskarżony o jej uprowadzenie! i śmierć. Tacy mężczyźni są gwałtowni z natury, nieprzewidywalni. Policja zamknęłaby dochodzenie bez większego namysłu czy wysiłku.

Tymczasem dziewczyna uciekła i na pewno miała przy sobie kamień.

Wypłył na powierzchnię, pomyślał, oddychając powoli równo. Z pewnością lada chwila skontaktuje się ze swymi przyjaciółkami. Zapewniano go, że są wobec siebie niesłychanie lojalne.

Był mężczyzną, który ceni lojalność.

A kiedy panna O'Leary spróbuje skontaktować się z przyjaciółkami - tą, która znikła, i tą poza jego zasięgiem - będzie ją miał.

Kamień też.

Z nią bez wątplenia zdobędzie dwie pozostałe Gwiazdy.

W końcu, pomyślał z łagodnym uśmiechem, Bailey James słynie z tego, że jest dobrą przyjaciółką, współczującą i inteligentną kobietą. Był przekonany, że Bailey będzie lojalna wobec przyjaciółki, na tyle współczująca, by przedłożyć jej dobro nad wszystko. I dzięki tej lojalności i współczuciu zdobędzie kamienie bez dalszej zwłoki.

W zamian za życie niejakiej O'Leary.

Spędził wiele lat na poszukiwaniu Trzech Gwiazd. Zainwestował w to znaczną część olbrzymiego majątku. I odebrał życie wielu ludziom. Teraz niemal miał je w rękach. Tak blisko, myślał, tak bardzo blisko, że palce drżały mu z niecierpliwości.

A kiedy będzie je miał, osadzi je w trójkącie i umieści na ołtarzu, który dla nich zbudował, dostąpi najwyższej władzy. Nieśmiertelności.

Potem oczywiście zabije kobiety.

Stosowna ofiara, uznał, w sam raz dla boga.

## ROZDZIAŁ 4

Zostawił ją samą. Teraz miała czas na zastanowienie się, czy może mu zaufać. Czy powinna wierzyć, że po prostu wyszedł, by przynieść jakieś jedzenie? On jej nie uwierzył, że zostanie, skoro ponownie przykuł ją do łóżka, zamyśliła się MJ, bezskutecznie usiłując się pozbyć kajdanek.

Musiała przyznać, że trafnie ją ocenił. W mgnieniu oka znalazłaby się za drzwiami. Nie dlatego, że się go bała. Po rozważeniu wszystkich faktów i odwołaniu się do instynktu uznała, że nie mógłby jej skrzywdzić. Gdyby tak miało być, już by to zrobił.

Widziała, w jaki sposób rozprawił się z osiłkiem, który rozwalil jej drzwi. To prawda, miał pełne ręce roboty, ale załatwił sprawę szybko, umiejętnie i godnymi podziwu metodami.

Choć przyznawała to z najwyższą niechęcią, zdawała sobie sprawę, że podczas walki z nią cały czas się hamował. Oczywiście związał ją i wrzucił do jakiegoś taniego pokoju w motelu, ale jeśli miała być sprawiedliwa, nie mogła zaprzeczyć, że gdyby chciał, mógłby jej wyrządzić znacznie większą krzywdę podczas ich gwałtownego starcia.

A tak naprawdę zranił tylko jej dumę.

Nie był tępym brutalem - co ją zaskoczyło. Na początku zmyliła ją jego powierzchowność i niezaprzeczalnie zmysłowy wygląd. Okazało się, że poza sprytem, którego by się spodziewała po mężczyźnie tego typu, Jack Dakota ma intelekt. I to nie najgorszy.

Nie uwierzyła, że czytał o mitraizmie w poczekalni u dentysty. Na ogół w kolejce do borowania nie studiuje się dzieł o starożytnych religiach. Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że Jack ma więcej zalet, niż początkowo przypuszczała. Należało tylko ustalić, czy jest to dla niej korzystne, czy nie.

Teraz, kiedy się trochę uspokoiła, była pewna, że Jack nie ma również zamiaru jej napastować. Gotowa była się założyć, że ten nieszczęsny incydent wywarł na nim równie silne wrażenie jak na niej. Z pewnością był to z jego strony błędny ruch. Przestrasz kobietę, zademonstruj jej swoją przewagę, a ona powie ci wszystko, co chciałbyś wiedzieć.

Nie zadziałało. Osiągnął tylko tyle, że obydwoje mieli na siebie chętkę.

Do diabła, ależ ten facet potrafi całować.

Uświadomiła sobie, że zbacza z tematu, i obrzuciła ponurym spojrzeniem rozkręcony znów na cały regulator telewizor ciągle z tym samym idiotycznym filmem.

Nie, nie bała się go, ale obawiała się sytuacji, w jakiej się znalazła, i wynikających z niej konsekwencji. Co oznaczało, że nie chciała siedzieć bezczynnie i czekać, co się wydarzy. W jej stylu było działanie. Nieważne, czy działanie było rozsądne, czy nie. Chodziło o sam fakt.

Uniosła się na kolana, zerknęła na kajdanki, obracając nadgarstek w jedną i drugą stronę, wyginając dłoń jak cyrkówka przygotowująca się do najnowsze numeru.

Obmacała pręty przy wezłowie i skonstatowała, że są niepokojąco mocne.

Tanie hotele nie są już takie jak dawniej, pomyślała z westchnieniem. Żałowała, że nie ma szpilki do włosów, pilnika do paznokci, młotka, czegokolwiek.

Wszystko, co znajdowało się w lepkiej od brudu szufladzie nocnego stolika, to podarta książka telefoniczna i twardy jak skała kawałek batonika.

Zabrał ze sobą jej torbę. Choć wiedziała, że nie znalazłaby w środku żadnej szpilki, pilnika czy młotka, była wściekła, że nie ma jej przy sobie.

Naturalnie mogła wzywać pomocy. Mogła krzyczeć, ile sił w płucach, i narazić się na upokorzenie, gdyby ktokolwiek zwrócił na to uwagę.

Co ważniejsze, nie uwolniłoby jej to z kajdanek, chyba że ten ktoś wezwałby kowala. Albo gliny.

Odetchnęła głęboko, usiłując się opanować. Musiała szybko znaleźć właściwą drogę ucieczki. Chora ze zmartwienia o Bailey i Grace, rozpaczliwie starała się uspokoić samą siebie, że żadnej, z nich nic się nie stało.

Załóżmy, że poszłyby na policję. Jakiego rodzaju kłopoty mogłaby mieć wówczas jej przyjaciółka? Formalnie rzecz biorąc zagarnęła fortunę. Czy władze wykazałyby zrozumienie sytuacji, czy wręcz przeciwnie, zaarrestowano by Bailey i skazano?

MJ nie mogła podjąć takiego ryzyka. Jeszcze nie. Tak długo nie, póki uważała, że istnieje choćby najmniejsza możliwość wyrównania szans. Aby to zrobić, musiała wiedzieć, z czym, do diabła, walczy.

Co znowu oznaczało konieczność wyrwania się z tego pokoju.

Zastanawiała się właśnie, czy nie zacząć szarpać zagłówek zębami, kiedy usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Jack rzucił jej szybki uśmiech z gatunku tych, które oznaczały, że myśli zostały przejrzone na wylot.

- Kochanie, jestem w domu.

- Bardzo zabawne, Dakota. Bolą mnie boki.

- Pięknie wyglądasz przykuta do łóżka, MJ. - Postawił na komodzie dwie białe torby. -

Ktoś mniej szlachetny niż ja miałby teraz nieczyste myśli.

Teraz ona uśmiechnęła się złośliwie.

- Ty już to zrobiłeś. I nie tylko. Na pewno będziesz miał bliznę na dolnej wardze.

- Tak. - Ostrożnie potarł ranę kciukiem. Wciąż piekło. - Powiedziałbym, że na to zasłużyłem, ale początkowo ze mną współpracowałaś.

To też zabolalo. Prawda zwykle boli.

- Zmierzasz w dobrym kierunku, myśląc w ten sposób, Jack - burknęła. - Jestem pewna, że takie ego jak twoje wymaga regularnych porcji ułudy.

- Kotku, odróżniam ułudę od pocałunku. Ale mamy ważniejsze rzeczy do roboty od rozmowy o tym, że ci się podobam. - Zadowolony z ostatniego docinka zanurzył rękę do jednej z toreb. - Hamburgery.

- A więc będziemy się tu kryć jak para zbiegłych więźniów - dla lepszego efektu potrząsnęła łańcuchem - i jeść tłuste świństwa? - zaczęła narzekać, choć na widok jedzenia napłynęła jej do ust ślinka.

- Możesz się o to założyć. - Podał jej hamburgera i wyjął frytki, wymyślone po to, by zatykać arterie i poprawiać nastrój.

- Lepiej mi się myśli podczas jedzenia.

Usadowił się przy niej, opierając się plecami o zagłówek, umieścił jedzenie na kolanach i wyciągnął przed siebie nogi.

- Mamy poważny problem.

- Jeżeli mamy poważny problem, dlaczego tylko ja mam kajdanki?

Uwielbiał ten ironiczny ton. Ciekawe, co z nim jest nie tak.

- Bo zrobiłabyś jakieś głupstwo, gdybym cię nie zostawił pod kluczem. Muszę troszczyć się o moją inwestycję. - Wskazał na nią resztką swego hamburgera. - To znaczy o ciebie, kotku.

- Potrafię sama się o siebie zatroszczyć. A jeśli cię wynajmuję, to ty powinienes wykonywać polecenia. A pierwsze to: zdejmij ze mnie to cholerstwo.

- Porozmawiamy o tym, jak tylko ustalimy podstawowe zasady. - Otworzył papierowy pakiecik z solą i posypał nią frytki. - Właśnie myślę.

- Cóż. - Wgryzła się z goryczą w przypalony kotlet tkwiący między dwoma kawałkami czerstwej bułki. - Dlaczego się martwię? Przecież ty myślisz o wszystkim.

- Masz drwiącą minę, ale podoba mi się to. - Podał jej mikroskopijną papierową serwetkę. - Wytrzyj ketchup z brody. Wracając do tematu, ktoś wywarł nacisk na Ralpa, na tyle duży, że podrobił dokumenty i wystawił mnie na odstrzał. Nie zrobił by tego dla pieniędzy. Nie dlatego, że nie lubi pieniędzy - ciągnął Jack - za parę zielonych nie



zaryzykowałby jednak utraty licencji ani tego, że będę chciał go dopaść. To oznacza, że, ratował skórę.

- Rozumiem, że skoro Ralph bez wątpienia jest filarem społeczeństwa, to zawęza się krąg podejrzanych?

- To znaczy, że był to ktoś na tyle silny, by nie obawiać się że stary Ralph wygada się przede mną czy pójdzie na policję.

Ktoś, kto chciał, żeby cię wyprowadzono na zewnątrz bez hałasu. Kto wie, że masz kamień?

- Nikt poza osobą, która mi go przysłała. - Zmarszczyła czoło, wpatrując się w swego hamburgera. - I może jeszcze jedną.

- Jeśli więcej niż jedna osoba zna sekret, przestaje być sekretem. Jak twój przyjaciel zdobył ten diament, MJ? Nie możesz bez końca robić uników. Musisz mi to powiedzieć.

- Powiem ci, jak tylko uda mi się wyjaśnić pewne sprawy. Muszę zadzwonić.

- Żadnych telefonów.

- Ty zadzwoniłaś do Ralpha - zauważyła.

- Rzykowałem, a poza tym byliśmy na szosie. Nigdzie nie zadzwonisz, dopóki nie dowiem się, o co chodzi. Przysłano ci brylant zaledwie wczoraj - zamyślił się. - Szybko cię namierzyli.

- Co oznacza, że namierzyli mojego przyjaciela. - Dostała nerwowych skurczy żołądka. - Jack, proszę. Muszę zadzwonić. Muszę się dowiedzieć. Zrozum wreszcie.

- Jak dużo on dla ciebie znaczy?

Chciała go poprawić, wyjaśnić, że Bailey jest kobietą, jej przyjaciółką, ale tylko pokręciła głową.

- Bardzo dużo. Na całym świecie nie ma nikogo, kto znaczyłby więcej.

- Szczęśliwiec.

Nie była to odpowiedź, której chciała czy oczekiwała. Podminowana całą tą niecodzienną sytuacją, lękając się o przyjaciółki i o siebie, złapała go za koszulę.

- Co się, u diabła, z tobą dzieje? Ktoś próbował nas zabić. Jak możemy tak po prostu tu siedzieć?

- Właśnie dlatego tu siedzimy. Pozwalamy, by przez jakiś czas biegali w kółko. Twój przyjaciel na razie musi sobie radzić sam. A ponieważ nie wyobrażam sobie, że mogłabyś się zadurzyć w facecie, który nie potrafi zatroszczyć się o siebie, na pewno nic mu się nie stanie.

- Niczego nie rozumiesz. - Usiadła i przegarnęła palcami włosy. - Boże, ale zamieszanie. Teraz powinnam się szykować do pracy, a tymczasem tkwię tu z tobą, Dzisiaj przypada mój dyżur za barem.

- Pracujesz jako barmanka? - Nie krył zdziwienia. - Myślałem, że jesteś właścicielką.

- To prawda, jestem właścicielką. - Stanowiło to dla niej powód do dumy. - Lubię obsługiwać bar. Nie pasuje ci?

- Ależ skąd. - Ponieważ temat zwrócił jej myśli w innym? kierunku, postanowił go kontynuować. - Dobra jesteś?

- Nikt nie narzeka.

- Jak to się stało, że się tym zajęłaś? - Zauważył, że mierzy go przenikliwym spojrzeniem, ale wzruszył tylko ramionami. - Daj spokój, trochę rozmowy przy jedzeniu to nic złego. Musimy jakoś spędzić czas, zanim podejmiemy działanie.

- Jestem właścicielką pubu w czwartym pokoleniu. Mój pradziadek prowadził pub w Dublinie. Dziadek wyemigrował do Nowego Jorku i stał za barem w swym własnym pubie. Kiedy przeniósł się na Florydę, przekazał go memu ojcu. Właściwie, dorastałam za barem.

- Jaka to dzielnica Nowego Jorku?

- West Side, na rogu Siedemdziesiątej Dziewiątej i Columbus.

- U O'Leary'ego. - Na jego twarzy pojawił się najpierw szeroki, a potem rozmarzony uśmiech. - Mnóstwo ciemnego drewna i miedzi. Irlandzka muzyka na żywo w sobotnie wieczory. I najlepszy Guinness po tej stronie Atlantyku.

Ponownie zmierzyła go wzrokiem, zaintrygowana wbrew sobie samej.

- Byłeś tam?

- Nie tylko. Wypiłem sporo kufli. To było mniej więcej dziesięć lat temu. - Był wtedy w college'u. Miotał się między zajęciami z prawa i literatury i próbował zdecydować, kim, u diabła, chce zostać. - Chyba ze trzy lata temu zawitałem do Nowego Jorku w poszukiwaniu zbiega. Oczywiście wpadłem do pubu. Nic się nie zmieniło, nawet rysy na tym starym barze.

Jego słowa wprawiły ją w sentymentalny nastrój - nic nie mogła na to poradzić.

- U O'Leary'ego nic się nie zmienia.

- Byłbym przysięgł, że na stołkach na końcu baru siedzieli ci sami dwaj faceci co przed laty. Ćmili papierosy, czytali „Racing Form” i pili irlandzką whisky.

- Callahan i O'Neal. - Uśmiechnęła się na to wspomnienie. - Umrą na tych stołkach.

- I twój ojciec. Pat O'Leary. Skurczybyk. - Pogrążony we mgle wspomnień zamknął oczy. - Ta duża szeroka irlandzka twarz, gęste, sztywne jak druty rade włosy i głos prosto z filmów Cagneya.

- Tak, to tata - szepnęła z uczuciem.

- Wiesz, jak wszedłem - a upłynęło przynajmniej sześć lat od czasu, kiedy byłem tam po raz ostatni - twój ojciec uśmiechnął się do mnie szeroko. „Jak leci, studencie?” - powiedział do mnie, wziął kufel i zaczął nalewać mi piwo.

- Byłeś w college'u?

Kiedy wyczuł zdziwienie w jej głosie, rozmarzenie ulotniło się. Otworzył jedno oko.

- I co z tego?

- To, że nie wyglądasz jak ktoś, kto studiował. - Wzruszyła ramionami i zabrała się za swego hamburgera. - Ja też mam niezłego Guinnessa. Napiałabym się teraz.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Może później. Od dawna znasz tego swojego przyjaciela?

- Poznaliśmy się w college'u. Nie ma nikogo, do kogo miałabym większe zaufanie, jeśli do tego zmierzasz.

- Może powinnaś to przeanalizować. Tylko pomyśl - dodał pośpiesznie, zauważywszy, że zrobiła groźną minę. - Trzy Gwiazdy to duża pokusa dla każdego. Możliwe, że dał się skusić może postanowił działać na własną rękę.

- Nie, to nie w jego stylu, ale myślę, że ktoś inny mógłby tak postąpić, a jeśli mój przyjaciel dowiedział się o tym... - Zacisnęła wargi. - Gdybyś chciał zabezpieczyć te kamienie, upewnić się, że nie wpadną w niepowołane ręce, co byś zrobił?

- Nie chodzi o to, co ja bym zrobił - podkreślił - tylko co by zrobił on.

- Rozdzielił je - powiedziała MJ. - Przesłał je osobom, do których ma pełne zaufanie. Ludziom, którzy dla ciebie zrobiliby absolutnie wszystko, ponieważ ty zrobiłbyś to samo dla nich. Bezwarunkowo.

- Absolutne zaufanie, absolutna lojalność? - Zwinął swoją serwetkę w kulkę i celnym rzutem posłał ją do kosza na śmieci.

- Nie wierzę w to.

- Żal mi ciebie - mruknęła - że w to nie wierzysz. Tak po prostu jest. Nie masz nikogo, kto skoczyłby za tobą w ogień; Jack?

- Nie. I nie ma nikogo, za kogo ja poszedłbym w ogień.

- Uświadomienie sobie tego po raz pierwszy w życiu sprawiło mu przykrość. Drgnął, zamknął oczy. - Teraz się zdrzemnę.

- Co takiego?

- Mam zamiar się zdrzemnąć. Tobie radziłbym to samo.

- Jak możesz spać w takiej chwili?

- Jestem zmęczony. - W jego głosie dało się wyczuć rozdrażnienie. - A poza tyra nie będę miał dużo okazji do snu, kiedy ruszymy. Jeszcze parę godzin do zachodu słońca.

- A co się stanie po zachodzie słońca?

- Zrobi się ciemno - powiedział i zapadł w sen.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Ten facet po prostu wyłączył się jak maszyna, jak pacjent u hipnotyzera na kiwnięcie palcem. Jak... Zakłęła, kiedy zabrakło jej porównań.

Dobrze, że przynajmniej nie chrapał.

Cóż, doskonale, wściekała się. Po prostu świetnie. Co ona miała robić, podczas gdy on odbywał tę swoją malutką drzemkę?

Poskubała resztę frytek, spojrzała z obrzydzeniem na ekran telewizora, na którym właśnie gigantyczną jaszczurkę spotykał gwałtowny koniec. Telewizja kablowa obiecywała więcej takich atrakcji w ramach Festiwalu Potworów i Bohaterów z okazji świątecznego weekendu.

O Boże.

Leżała w mrocznym pokoju, zastanawiając się, co powinna zrobić, i nie wiadomo kiedy zasnęła.

Śniły jej się potwory i bohaterowie, i niebieski brylant, który pulsował jak żywe serce.

Jack obudził się spowity kobiecością. Najpierw owionął go jej zapach, posmak, nieco ostry, cytrynowego mydła. Czysty, świeży i bezpretensjonalny.

Usłyszał ją - wolny, równy oddech. Przez chwilę rozkoszował się spokojną intymnością wspólnego snu. Krew zaczęła mu szybciej krążyć w żyłach, zanim jeszcze poczuł dotyk jej ciała.

Długie, gibkie członki. Kształtne smukłe nogi przerzuciła przez jego nogę. Jedno umięśnione ramię, o skórze delikatnej jak świeża śmietanka, spoczywało na jego torsie. Głowę przyjaźnie oparła na jego ramieniu.

MJ lubi się tulić, uświadomił sobie i uśmiechnął się pod nosem. Kto by przypuszczał? Zanim zdołał to sobie wyperswadować, uniósł dłoń i musnął ostrożnie potarganą rudą czuprynę. Włosy jak jedwab, zamyślił się. Spory kontrast z gwałtownością charakteru i ostrym językiem.

Z pewnością miała styl. Styl, który mu odpowiadał. Ciekawa do czego by mogło dojść, gdyby po prostu pewnego wieczoru wszedł do jej pubu i próbował ją poderwać.

Wykopałaby go stamtąd, pomyślał i uśmiechnął się szeroko Co za kobieta.

To fatalnie, po prostu fatalnie, że nie dane mu było spróbować. Naprawdę chciał jej posmakować jeszcze raz.

Ponieważ rzeczywiście tak było, wysliznął się spod niej, wstał i rozprostował kości, podczas gdy ona poruszyła się i próbowała znaleźć przytulne miejsce. W końcu obróciła się na plecy i podłożyła wolną rękę pod głowę.

Poczuł gwałtowny przyptyk pożądania.

Opanował się całą siłą woli i przypomniał sobie, że od czasu do czasu bywa cywilizowanym człowiekiem. Cywilizowani mężczyźni nie rzucają się na śpiące kobiety w wiadomym celu.

Ale mogą o tym myśleć.

Ponieważ uznał, że znacznie bezpieczniej będzie myśleć o tym na odległość, poszedł do łazienki, polał twarz zimną wodą i zastanowił się nad następnym ruchem.

*Trzymała kamień w dłoni, zaintrygowana jego pięknem. Promienie światła słonecznego przeświecały przez baldachim drzew. Zamiast przeniknąć przez kamień, odbijały się od niego, tworząc migający, cudowny wir, który raził oczy i palił duszę.*

*Mogła go przynajmniej trzymać, jeśli nie zatrzymać. Odpowiedzi były tu, ukryte wewnątrz, gdyby tylko potrafiła tam zajrzeć.*

*Skądś dobiegło warczenie bestii, niskie i dzikie. Zamiast uciekać, odwróciła się w tamtym kierunku, w jednej dłoni chroniąc kamień, z drugą uniesioną w obronie.*

*Coś poruszyło się w krzakach, w ukryciu, wyczekując, poszukując. Polując.*

*Potem pojawił się on, na grzbiecie wielkiego czarnego wierzchowca. U boku miał szeroki miecz z matowego srebra, symbol przemocy. Jego szare oczy były tak groźne jak oczy bestii, która przekradała się tuż przy ziemi. Podał jej dłoń, a w tym powolnym uśmiechu kryło się wyzwanie.*

*Niebezpieczeństwo przed nią. Niebezpieczeństwo za nią.*

*Zrobiła krok do przodu, złączyła dłoń z jego ręką i pozwoliła, by podciągnął ją na tego lśniącego czarnego wierzchowca. Koń stanął dęba, zarżał. Ruszyli galopem. Krew tętniąca w jej skroniach nie miała nic wspólnego ze strachem. Oznaczała wyłącznie triumf.*

Obudziła się z walącym sercem i bólem w skroniach. Była w ciemnym, ciasnym pokoiku w motelu, a Jack brutalnie potrząsał ją za ramię.

- Co? Co?

- Koniec drzemki. - Zastanawiał się, czy nie obudzić jej pocałunkiem, ryzykując cios pięścią między oczy. Ale jedno i drugie mogłoby zbytnio rozproszyć jego uwagę. - Musimy pojechać w parę miejsc.

- Dokąd? - Usiłowała pozbyć się resztek snu.

- Na początek odwiedzimy przyjaciela. - Odpiął kajdanki i zatrzasnął na własnym nadgarstku, przykuwając MJ do siebie.

- Masz przyjaciela?

- Nareszcie się obudziła. - Wyciągnął ją na zewnątrz w mglisty zmierzch, który wciąż pulsował gorącem. - Wsiadaj i posuń się - poinstruował ją po otwarciu drzwiczek od strony kierowcy.

Była wciąż na tyle oszołomiona snem, że posłuchała bez słowa sprzeciwu. Zanim jednak zapalił silnik, energia jej powróciła.

- Posłuchaj, Jack, te kajdanki muszą zniknąć.

- No, nie wiem, podobasz mi się w nich. Widziałas film z Tonym Curtisem i Sidneyem Poitier? Kawał dobrego kina.

- Nie jesteśmy zbiegłymi kryminalistami ścigającymi pociąg, Dakota. Jeśli mają nas łączyć interesy, w grę musi wchodzić zaufanie.

- Kotku, ty nie wierzysz mi bardziej niż ja tobie. - Nie spiesząc się, wyjechał z pełnego wybojów parkingu. - Spójrz na i to w ten sposób. - Uniósł rękę, tym samym szarpiąc jej dłoń.

- Jesteśmy obydwój w tej samej sytuacji. A ja mogłem po prostu cię tam zostawić.

Trzepnęła palcami o kolano.

- Ciekawe, dlaczego tego nie zrobiłeś.

- Myślałem o tym - przyznał. - Bez ciebie mógłbym poruszać się szybciej. Wolę jednak mieć cię na oku. Poza tym, gdyby coś poszło nie tak i nie mógłbym wrócić, nie zniósłbym, gdybyś musiała się tłumaczyć, dlaczego jesteś przykuta do łóżka kajdankami w tanim motelu.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

- Też tak uważam. Chociaż to twoja wina, że poruszam się po omacku. Byłoby mi łatwiej, gdybyś wypełniła puste miejsca.

- Pomyśl o tym jako o wyzwaniu.

- Och, z pewnością. O tym i o tobie. - Spojrzał na nią z ukosa. - Co ten facet takiego ma, MJ? Ten twój przyjaciel, dla którego jesteś gotowa tak wiele zaryzykować?

Wyjrzała przez okno, przywołała w pamięci postać Bailey. Już po chwili odrzuciła tę wizję. Niepokój o przyjaciółkę powodował, że znów zaczynała się bać, a strach zaciemniał umysł i sprawiał, że nie była w stanie jasno myśleć.

- Nie rozumiesz miłości, prawda, Jack? - Jej głos był spokojny, bez zwykłego zaczepnego tonu, a spojrzenie uważnie przesuwało się po jego twarzy w powolnym poszukiwaniu. - Takiej miłości, która nie stawia pytań, nie wymaga przysług i nie ma granic.

- Nie. - Uczucie pustki, którą te słowa mu przyniosły, przerodziło się w zazdrość. - Powiedziałbym, że jeśli nie stawia pytań i nie uznaje granic, jest głupia.

- A ty nie jesteś głupi.

- W tych okolicznościach powinnaś być wdzięczna losowi, że nie jestem. Wyciągnę cię z tego, MJ. Wtedy będziesz mi winna pięćdziesiąt tysięcy zielonych.

- Wiesz, co jest najważniejsze. - W jej głosie znowu pojawiła się ironia.

- Tak, pieniądze wygładzają wiele wybojów na drodze życia. I powiem jeszcze, że zanim mi zapłacisz, znów wylądujemy w łóżku. Ale tym razem nie po to, żeby się zdrzemnąć.

Odwróciła się twarzą do niego, ignorując podniecenie przenikające jej ciało.

- Dakota, tylko wtedy uda ci się zaciągnąć mnie do łóżka jeśli znów mnie zakujesz.

- Cóż, to mogłoby być interesujące, prawda?

Chcąc nadrobić czas, zjechał na międzystanową autostradę i skierował się na północ. I obiecał sobie solennie, że nie tylko zaciągnie ją do łóżka, ale że kiedy to zrobi, ona nie będzie myślała o innym mężczyźnie.

- Wracasz do Waszyngtonu?

- Tak Mamy tam coś do załatwienia. - W światłach samochodów nadjeżdżających z przeciwka widziała jego ponurą twarz.

Pojechał okrężną drogą, klucząc, krążąc w pobliżu celu, wycofując się, póki nie nabrał pewności, że w żadnym z samochodów zaparkowanych w pobliżu domu nie ma żywej duszy.

Było za to trochę pieszych. Przyjrzał się im za drugim przejazdem. Interesy jak zwykle, zadumał się. A ten rodzaj interesów wymagał, by ludzie się poruszali.

- Miła dzielnica - zauważyła MJ na widok pijaka, który wytoczył się ze sklepu monopolowego, ściskając w garści brązową papierową torbę, - Czarująca. Mieszkasz tu?

- Nie ja. Ralph. Parę domów dalej jest sąd. - Przejechał obok prostytutki, która zeszła ze zwykłego szlaku, i skręcił za róg. - Podoba mu się tu.

Wiedziała, że to teren, którego starają się unikać nawet najodważniejsi taksówkarze. Okolica, gdzie życie jest często warte mniej niż splunięcie na chodnik, a ci, którym ono nie obrzydło, zamykają szczelnie drzwi przed zachodem słońca i wyczekują świtu.

Tutaj graffiti nasmarowane na rozpadających się budynkach nie było formą sztuki. Było groźbą.

Wtem usłyszała siarczyste przekleństwo, a potem dźwięk tłuczonego szkła.

- Trzeba przyznać, że ten twój przyjaciel Ralph ma gust i klasę.

- Były przyjaciel. - Wziął ją za rękę i wysiadł z auta, zmuszając tym samym, by prześliznęła się przez siedzenie kierowcy.

- To ty, Dakota? To ty ? - Z sieni jednego z domów wynurzył się jakiś mężczyzna. Miał czerwone oczy, przerażone jak u zbitego psa. Przejechał wierzchem dłoni po wargach i powłócząc nogami, przybliżył się do nich w zniszczonych sportowych butach za kostkę i płaszczu, w którym musiał się dusić w tym letnim upale.

- Hej. Freddie. Jak leci?

- Bywało lepiej. - Jego oczy prześliznęły się po MJ, po czym powędrowały dalej. - Bywało lepiej - powtórzył.

- Tak, wiem. - Jack sięgnął do kieszeni po banknoty, które włożył tam wcześniej. - Powinieneś zjeść gorący posiłek.

- Gorący posiłek. - Freddie wpatrywał się w banknoty, oblizując wargi. - Jasne, przydałby mi się gorący posiłek.

- Widziałeś Ralpa?

- Nie. - Drżące palce Freddiego sięgnęły po pieniądze, zacisnęły się na nich. Zamrugał, kiedy zorientował się, że Jack nie ma zamiaru wypuścić ich z ręki. - Nie widziałem - powtórzył.

Pewnie wcześniej dziś zamknął interes. To święto. Te cholerne dzieciaki już puszczają sztuczne ognie. Nie można ich odróżnić od strzałów. Cholerne dzieciaki.

- Kiedy ostatnio widziałeś Ralpa?

- Nie wiem. Wczoraj? - Spojrzał na Jacka w oczekiwaniu potwierdzenia. - Chyba wczoraj. Jestem tu od jakiegoś czasu, ale dziś go nie widziałem. A jego dom jest zamknięty.

- Może zauważyłeś kogoś innego, kogoś obcego?

- Ją. - Freddie wskazał na MJ i uśmiechnął się. - Ją.

- A poza nią?

- Nie, nikogo. - Głos przeszedł w skamlenie. - Na pewno bywało lepiej, Jack, wiesz.

- Tak. - Jack bez dalszego ociągania wypuścił pieniądze z ręki. - Znikaj, Freddie.

- Tak, dobrze. - Mężczyzna pospieszył w dół ulicy i skręcił za róg.

- On nie kupi sobie jedzenia - mruknęła MJ. - Dobrze wiesz, co sobie za to kupi.

- Nie możesz zbawić świata. Czasami nie możesz uratować nawet jego małej części. Ale może dzisiaj nikogo nie obrabuje albo nie zginie od kuli, próbując to zrobić. - Jack wzruszył ramionami. - Był martwy, kiedy po raz pierwszy wziął do ręki igłę. Nic nie mogę na to poradzić.

- A więc dlaczego czujesz się z tym tak kiepsko? Masz to wypisane na twarzy, Dakota.



- Kiedyś miał rodzinę - mruknął. - Chodźmy. Poprowadził ją w górę ulicy, potem nagle szybko pociągnął na bok budynku. Ku jej zaskoczeniu otworzył kajdanki.

- Masz na tyle rozsądku, że nie odważysz się na ucieczkę w tej dzielnicy. - Uśmiechnął się. - A twój kamień jest schowany w bagażniku mego samochodu.

- Na takiej ulicy będziesz miał szczęście, jeśli twój samochód jeszcze tam będzie, kiedy wrócisz.

- Znają mój samochód. Nikt go nie tknie. - Odwrócił się, a właściwie zawirował. Aż podskoczyła, kiedy dwukrotnie kopnął z wściekłością w brudnoszare drzwi.

Usłyszała, jak drewno pęka, i ściągnęła wargi w uznaniu, gdy drzwi poddały się za trzecim razem.

- Dobra robota.

- Dzięki. Jeśli Ralph nie zmądrzał i nie zmienił szyfru, jesteśmy w domu. - Wszedł do środka i namacał alarm przy rozwalonych drzwiach. Zręcznymi palcami wystukał numery.

- Skąd znasz jego kod?

- W mojej pracy takie rzeczy się przydają. Odsuń się. - Z godną podziwu siłą podniósł rozwalone drzwi do góry i umieścił je z powrotem na zawiasach. - Powinien sobie zafundować stal. To tandeta.

Zapalił światło, rzucił okiem na cuchnącą pleśnią niewielką przestrzeń zapchaną kartotekami. MJ zobaczyła mysz, która uciekła w kąt.

- Czarujące. Na razie jestem pod wrażeniem twoich znajomych, Dakota. Czy jego sekretarka ma roczny urlop?

- Ralph nie ma sekretarki. Wierzy niewzruszenie w niskie koszty administracyjne. Biuro jest tam.

- Nie mogę się doczekać. - W obawie przed gryzoniami i wszystkim, co ma więcej niż dwie nogi, uważnie patrzyła pod stopy. - To coś takiego, co nazywają włamaniem i naruszeniem prywatnej własności, prawda?

- Gliniarze mają nazwy na wszystko. - Zatrzymał się z ręką na gałce drzwi, spojrzął przez ramię. - Gdybyś chciała mieć do czynienia z kimś, kto grzecznie puka do frontowych drzwi, nie byłabyś tu ze mną.

Uniosła rękę i potrząsnęła zwisającymi kajdankami.

- Nie zapomniałeś o tym? Tylko pokręcił głową.

- Nie byłabyś tu ze mną - powtórzył i otworzył drzwi. Wciągnęła gwałtownie powietrze, ale był to jedyny dźwięk, jaki z siebie wydobyła. Później on będzie o tym pamiętał i doceni jej wytrzymałość i zimną krew. Struga światła z przedpokoju wlała się do gabinetu

wielkości szafy. Brudnoszare metalowe kartoteki, pokierszowane i powyginane, zajmowały dwie ściany. Papiery wysypywały się z otwartych szuflad, zaśmiecały podłogę, trzepotały na biurku w podmuchach powietrza ze skrzypiącego, elektrycznego wiatraczka.

Wszędzie było pełno krwi.

Zapach podrażnił jej żołądek, sprawił, że zacisnęła zęby i przełknęła ślinę. Ale kiedy odezwała się, jej głos był dość opanowany.

- Domyślam się, że to Ralph?

## ROZDZIAŁ 5

Wyjątkowo nieporządna robota, zamyślił się Jack. Jeśli byli to profesjonaliści, nie zawracali sobie głowy, żeby zrobić wszystko precyzyjnie i szybko. Ale z drugiej strony nie było ku temu powodów. Ralph był wciąż przywiązany do krzesła. A raczej to, co z niego zostało.

- Możesz zaczekać za drzwiami - rzucił.

- Nie muszę.

Przemoc nie była jej obca. Dziewczyna, która wychowuje się w barze, od czasu do czasu bywa świadkiem rozlewu krwi.

Co prawda, czegoś takiego nie widziała jeszcze nigdy. Choć uważała się za osobę trzeźwo patrzącą na życie, tak naprawdę aż do tej chwili nie wierzyła, że jedna ludzka istota mogłaby zadać takie męczarnie drugiej.

Nie odrywała wzroku od ściany, ale stanęła obok Jacka.

- Jak myślisz, czego szukali?

- Tego samego co ja. Czegoś, co prowadzi do kogoś, kto wykorzystał Ralpa, żeby nas w to wpakować za pomocą fałszywego oskarżenia. - Głos złagodniał mu nagle, zabrzmiała w nim najwyraźniej nutka żalu. - Dlaczego nie uciekł?

- Być może nie miał szans. - Jej żołądek powoli się uspokajał, ale wciąż oddychała płytko, z trudnością. - Musimy zawiadomić policję.

- Jasne, wykręcimy dziewięćset jedenaście, poczekamy na nich i wszystko wytłumaczymy. Z celi. - Przykucnął i zaczął przerzucać papiery.

- Jack, na litość boską, ten facet został zamordowany.

- Nie będzie ani trochę mniej martwy, jeśli wezwiemy gliny, prawda? Nigdy nie udało mi się rozszyfrować systemu kartotek Ralpa.

- Czy ty nie masz żadnych uczuć? Przecież go znałeś.

- Nie mam czasu na uczucia. - Ponieważ próbowały naci nim zapanować, przybrał maskę obojętności. - Pomyśl o tym! kotku. Ktokolwiek mu to zrobił, z pewnością chciałby zrobić to samo z tobą. Przypatrz się uważnie i spytaj siebie samej, czyj właśnie w taki sposób chciałabyś skończyć. - Odczekał chwilę, po czym przyjął jej milczenie za oznakę zrozumienia. - Teraz! możesz iść do pokoju na tyłach i ratować swą delikatność uczuć, Możesz też pomóc mi przekopać się przez ten bałagan.

Kiedy się odwróciła, pomyślała, że odejdzie. Wtedy mogłaby pójść dalej, nie bacząc na to, w jakiej dzielnicy się znajdują. Zatrzymała się jednak przy kartotekach i wzięła do ręki plik papierów.

- Czego mam szukać?

- Wszystkiego.

- To faktycznie zawęża krąg poszukiwań. A dlaczego miałyby tu coś zostać? Oni już tu byli.

- Na pewno gdzieś trzymał kopie. - Jack syknął z dezaprobatą na widok fruujących dokumentów. - Dlaczego, do diabła, nie używał komputera jak każdy normalny człowiek?

Wstał, podszedł do biurka, wyszarpnął szufladę. Obejrzał ją uważnie, odwrócił, sprawdził spód, tył, po czym odrzucił ją na bok. Tak samo postąpił z następną. Za trzecim razem znalazł podwójny tył.

Słyszając jego pomruk satysfakcji, MJ odwróciła się, obserwowała, jak wyjmuje scyzoryk i odbija drewno. Porzuciwszy własne poszukiwania, podeszła do niego. W milczącym porozumieniu z Jackiem chwyciła poluzowaną krawędź i pociągnęła, podczas gdy on podważał nożem miejsca złączenia. Udało mu się odłupać kawałek drewna.

- Sklejone na mur - zauważył. - I to niedawno.

- Skąd wiesz?

- Jest czyste. Nie ma kurzu i brudu. Uważaj na palce. Weź nóż. Pozwól mi... - Zamienili się rolami. Obtarł sobie kostki, zaklął i powrócił do odłupywania drewna warstwa po warstwie. Nagle płytka odskoczyła.

Jack ponownie chwycił nóż, przeciął taśmę mocującą klucz do tyłu szuflady.

- Klucz do skrytki - mruknął. - Ciekaw jestem, co takiego Ralph tam ukrył.

- Dworzec autobusowy? Kolejowy? Lotnisko? - MJ pochyliła się bardziej, wpatrując się w klucz. - Nie ma nazwy, tylko numer.

- Typowałbym pierwsze albo drugie. Ralph nie znosił latania, a poza tym lotnisko jest kawałek drogi stąd.

- Wciąż pozostaje wiele przechowalni i równie dużo skrytek - zauważyła.

- Znajdziemy tę właściwą.

- Masz pojęcie, ile przechowalni musi być w całym mieście? Obrócił klucz między palcami i uśmiechnął się niewyraźnie.

- Potrzebujemy tylko jednej. - Wziął ją za rękę i zanim się zorientowała, co zamierza zrobić, znów skuł ich razem.

- Och, na litość boską, Jack.

- Po prostu się zabezpieczam. Chodź, mamy mnóstwo pracy.

Na pierwszym dworcu autobusowym z niechęcią zdjął jej kajdanki, zawlókł do budki telefonicznej i zadzwonił, nie podając swego nazwiska, na policję, by zawiadomić o popełnionym morderstwie. A potem dokładnie wytarł telefon.

- Jeśli mają deszyfrant - wyjaśnił - dojdą, skąd telefonowano.

- Założę się, że twoje odciski są w kartotece. Rzucił jej szeroki uśmiech.

- Drobne nieporozumienie przy grze w bilard w mojej grzesznej młodości. Pięćdziesiąt dolarów grzywny i odsiadka. Przesunął ją w róg budki, przyciskając do ściany swoim ciałem.

- Tu jest trochę tłoczno.

- Zauważyłem. - Uniósł dłoń, odgarnął włosy z jej skroni. - Dobrze zniosłaś tamto. Większość kobiet na twoim miejscu wpadłaby w histerię.

- Ja nie wpadam w histerię.

- Nie, ty nie wpadasz. A więc przez chwilę przestań się , stawiać, dobrze. - Uniósł jej twarz w górę, pochylił głowę. Tylko przez chwilę. - I dotknął wargami jej ust.

Mogła się temu oprzeć. Miała taki zamiar. Ale to był lekki pocałunek. Niemal przyjacielski, mógł być przyjacielski, gdyby nie to, że Jack przylgnął do niej całym ciałem i gdyby nie gorąco płynące z tego ciała.

I lekki, niemal przyjacielski pocałunek nie doprowadziłby jej do tego, że zapragnęła przywrzeć do niego, objąć go i tak pozostać. Wybrała kompromis. Walnęła go pięścią w plecy, nie przytulając się, ale i nie protestując.

Jeśli jej usta zmiękły pod jego wargami, rozgrzały się i rozchyliły, trwało to tylko chwilę. Nie oznaczało niczego. Mogło nie oznaczać niczego.

- Pragnę cię. - Wyszepiał te słowa wprost w jej usta, później jeszcze raz, kiedy przycisnął wargi do jej szyi. - To nie najlepszy moment, żeby ci to powiedzieć, niezbyt właściwe miejsce. Ale pragnę cię, MJ. Niełatwo mi się temu oprzeć.

- Nie chodzę do łóżka z nieznajomymi.

- A kto cię o to prosi? - Uniósł głowę, spojrzął jej w oczy. - Poznaliśmy się dostatecznie dobrze, prawda? A ty nie należysz do kobiet, które potrzebują idiotycznych randek czy czułych słówek.

- Może nie. - Ogień, który Jack w niej rozniecił, wciąż się tlił. - Może ja nie wiem, czego pragnę.

- A więc pomyśl o tym. - Cofnął się, wziął ją za rękę i wyciągnął z budki. - Sprawdźmy skrytki. Może będziemy mieli szczęście.

Nie mieli szczęścia. Ani na tym dworcu, ani na dwóch następnych. Kiedy wreszcie schował klucz do kieszeni, dochodziła pierwsza w nocy.

- Mam ochotę się napić.

Odetchnęła głęboko, poruszyła ramionami. Po dwunastu godzinach koszmaru na jawie rozumiała go aż nadto dobrze.

- Ja też nie odmówię. Stawiasz?

- Czemu nie?

Ominął wszystkie miejsca, w których mógłby zostać rozpoznany, i wybrał obskurną małą knajpę o rzut kamieniem od Union Station.

- Miałem do wyboru to albo ekskluzywny bar dla gejów. Potem możemy sprawdzić skrytki na Union Station. Dwa piwa z beczki - rzucił kelnerce i zgniótł orzeszek.

- Nie rozumiem, dlaczego takie miejsca nie bankrutują. MJ krytycznie przyglądała się wnętrzu. Gęste od papierosowego dymu powietrze, zastarzały odór, lepka podłoga usłana skorupkami fistaszków, niedopałkami papierosów i licho wie czym.

- Kilkanaście litrów płynu dezynfekcyjnego, przyzwoite oświetlenie i ta spelunka zmieniały się nie do poznania.

- Mam wrażenie, że tutejszym bywalcom na tym nie zależy.

- Zerknął na siedzącego przy barze mężczyznę z gburowatą miną i na uwieszoną u jego ramienia dziewczynę o zmęczonych oczach. - Niektórzy ludzie po prostu przychodzą do baru po to żeby się napić, aż w końcu są na tyle pijani, że zapominają, jak.: się tu znaleźli.

Przyznała mu rację skinieniem głowy.

- To typ klienta, których nie chcę u siebie. Od czasu do czasu przychodzą, ale rzadko wracają. Nie szukają okazji do rozmowy muzyki czy towarzyskiego drinka z przyjacielem. A właśnie oferuję u siebie.

- Jaki ojciec, taka córka.

- Można tak powiedzieć. - MJ skrzywiła się z dezaprobatą, kiedy kelnerka ciężko postawiła przed nimi kufle. Piwo przelało się przez brzegi. - Nie popracowałam u mnie pięciu minut.

- Nieuprzejme kelnerki mają swój wdzięk. - Jack uniósł kufel i pociągnął solidny łyk. - Wcześniej mówiłem serio. - Uśmiechnął się szeroko, kiedy popatrzyła nieufnie na niego, mrużąc oczy. - O tym też, ale teraz chodziło mi o to, jak wzięłaś się w garść. To była trudna sytuacja, MJ, dla każdego.

- Coś takiego zdarzyło mi się pierwszy raz. - Odchrząknęła, napiła się piwa. - A tobie?

- Też. I mam nadzieję, że ostatni. Ralph był łajdakiem, ale nie zasłużył na taki koniec. Trzeba przyznać, że ktokolwiek mu go zgotował, zrobił to z wielką przyjemnością. Paru naprawdę złych ludzi się tobą interesuje.

- Na to wygląda. - I ci sami ludzie, pomyślała, interesują się Bailey i Grace. - Jak myślisz, ile czasu zajmie nam znalezienie zamka, który pasuje do klucza?

- Trudno powiedzieć. Jak znam Ralpa, nie wybrałby się zbyt daleko w miasto. Ukrył klucz w swoim biurze, nie w mieszkaniu, co wskazuje na to, że skrytka jest gdzieś w pobliżu.

A jeśli nie? - zadała sobie w duchu pytanie MJ. Wtedy mogą minąć całe godziny, nawet dni, zanim ją znajdą. Nie miała ochoty czekać tak długo. Upiła kolejny łyk piwa.

- Muszę iść do łazienki. - Kiedy obrzucił ją badawczym spojrzeniem, uśmiechnęła się ironicznie. - Chcesz iść ze mną?

Obserwował ją przez chwilę, po czym wzruszył ramionami.

- Pospiesz się.

Z trudem się hamowała, by nie pobiec na zaplecze. W myśli szybko układała plan. Dziesięć minut, wyliczyła dokładnie tyle potrzebowała, by wydostać się na zewnątrz, dotrzeć do budki telefonicznej, którą zauważyła przed barem, i połączyć się z Bailey.

Zamknęła za sobą drzwi damskiej toalety, obrzuciła wzrokiem kobietę w czarnym kombinezonie mizdrzącą się w lustrze i uśmiechnęła się szeroko na widok małego dwuskrzydłowego, otwieranego na zewnątrz okna umieszczonego tuż przy suficie.

- Hej, podsadź mnie.

Kobieta nałożyła na wargi drugą warstwę szminki w kolorze krwi.

- Co?

- No, bądź dobrym kumplem. - MJ oparła rękę na wąskim parapecie. - Pomóż mi, dobrze?

Kobieta z irytującą powolnością zaniknęła szminkę.

- Nieudana randka?

- Najgorsza z możliwych.

- Znam to uczucie. - Chwiejnie podeszła do niej na cieniutkich szpilkach. - Naprawdę sądzisz, że uda ci się przecisnąć? Jesteś chuda, ale to nie będzie łatwe.

- Poradzę sobie.

Kobieta, wokół której unosił się zapach ciężkich, zbyt słodkich perfum, wzruszyła ramionami i złożyła dłonie.

- Jak chcesz.

MJ umieściła stopę na tym zaimprovizowanym strzemieniu, po czym podciągnęła się w górę, aż zaczepiła rękę na parapecie. Szybki manewr i już była na parapecie do wysokości biustu.

- Popchnij jeszcze trochę.

- Nie ma sprawy. - Kobieta, nabrawszy animuszu, umieściła obie dłonie na pupie MJ i pchnęła. - Przepraszam - powiedziała, kiedy MJ uderzyła głową o okno i zakłęła.

- W porządku. Dzięki.

Poruszyła ciałem w jedną i drugą stronę, wykręciła tułów i wcisnęła się w otwór. Głowa, później ramiona. Wzięła szybki oddech i, próbując nie myśleć o tym, co się stanie, jeśli utknie w oknie, siłą przecisnęła się przez nie, rozdierając po drodze dżinsy.

- Powodzenia, złotko.

MJ stała na czworakach na parapecie na tyle długo, by podziękować swojej pomocnicy szybkim, szerokim uśmiechem. Po czym skoczyła na ziemię i pobiegła. Po drodze sięgnęła do kieszeni, szukając ćwierćdolarówki, którą tam zwykle nosiła.

Słyszała głos matki: „Nigdy nie wychodź z domu bez drobnych na telefon w kieszeni. Nie wiadomo, kiedy będziesz ich potrzebować”.

- Dzięki, mamó - szepnęła i dopadła budki telefonicznej. Bądź w domu, bądź w domu - powtarzała jak zakłęcie, wrzucając monetę i wybierając numery.

Po drugim dzwonku usłyszała łagodny, chłodny głos Bailey zakłęła, rozpoznając nagranie na automatycznej sekretarce.

- Gdzie jesteś, gdzie jesteś? - Z trudem zapanowała nad uczuciem paniki. - Bailey, słuchaj - zaczęła w chwilę po sygnale. - Nie wiem, o co, u diabła, w tym wszystkim chodzi, ale mamy poważny kłopot. Nie siedź w domu, oni mogą wrócić. Jestem w budce telefonicznej przed knajpką w pobliżu...

- Cholerna idiotka. - Jack złapał ją za ramię.

- Ręce przy sobie, ty draniu! Bailey...

Jack rozłączył rozmowę. Wykorzystując ciasnotę budki odwrócił MJ i unieruchomił ręce kajdankami. Po czym po prostu podniósł ją i przerzucił przez ramię. Pozwolił jej wygłaszać tyrady i kopać. Jej groźby i obietnice nie robiły na nim wrażenia. Wrzucił ją do samochodu, zanim jakaś dobra dusza zdążyła się zainteresować tym, co się dzieje. Oderwał się od krawężnika i błyskawicznie wjechał w boczną uliczkę.

- Tyle jest warte zaufanie. - A kiedy nie ma zaufania, pomyślał, musi być dowód. Ostrożnie zawrócił i tak długo penetrował teren, aż wypatrzył wąską uliczkę pół przecznicy od budki telefonicznej. Wjechał w nią tyłem, zgasił światła i silnik.



Wyciągnął rękę, zacisnął na jej karku i przyciągnął jej twarz do swojej.

- Chcesz zobaczyć, dokąd zaprowadziłby nas twój telefon? Tylko siedź spokojnie.

- Zabierz ode mnie te łapska.

- Bądź pewna, że to w tej chwili twoje najmniejsze zmartwienie. Bądź cicho. I czekaj.

Kiedy rozluźnił uścisk, próbowała się wyrwać.

- Czekać na co?

- To nie powinno długo potrwać - odparł i w ponurym milczeniu obserwował mroczną ulicę.

Nie upłynęło nawet pięć minut. Według jego wyliczeń nie więcej niż piętnaście od jej telefonu. Do krawężnika wolno i ostrożnie podjechała furgonetka. Wysiedli z niej dwaj mężczyźni.

- Rozpoznajesz ich?

Oczywiście. Widziała ich dziś rano. Jeden z nich rozwalil jej drzwi. Drugi do niej strzelał. Zadrżała i zamknęła oczy. Zdała sobie sprawę, że namierzyli telefon do mieszkania Bailey. Zrobili to szybko i sprawnie.

Gdyby Jack nie zareagował dostatecznie szybko, mogliby ją schwytać. Równie szybko, równie sprawnie.

Mniejszy z nich wszedł do baru, podczas gdy jego towarzysz stał przy budce telefonicznej i obserwował ulicę, trzymając jedną rękę pod marynarką.

- Da barmanowi parę dolców, żeby sprawdził, czy jesteś w środku, czy byłaś sama, jak dawno wyszłaś. Nie zostaną tu długo. Dowiedzą się, że wciąż jesteś ze mną, więc będą szukać samochodu. Nie będziemy mogli dziś z niego korzystać w tej okolicy.

Mężczyzna wyszedł z baru i dołączył do osiłka przepatrującego wzrokiem okolicę. Wyglądało na to, że nad czymś się naradzają, kłóca, po czym wsiedli do samochodu. Tym razem nie pełzał po ulicy, pomknął jak rakieta.

MJ milczała jeszcze przez chwilę, wciąż patrząc prosto przed siebie.

- Miałaś rację - powiedziała w końcu. - Przepraszam.

- Przepraszasz mnie? Nie jestem pewien, czy dobrze słyszałem.

- Miałaś rację. - Przelknęła ślinę, niepokojąco bliska łez. Przepraszam.

Słyszac łzy w jej głosie, zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Daj spokój - burknął i zapalił silnik. - Następnym razem, jak będziesz chciała popełnić samobójstwo, bądź łaskawa upewnić się, że nie ma mnie w pobliżu.

- Musiałam spróbować. Nie mogłam tego tak zostawić. Myślałam, że przesadzasz albo mnie po prostu prowokujesz. Myliłam się. Ile razy mam to powtórzyć?

- Jeszcze się nie zdecydowałem. Jeśli zaczniesz się nad sobą rozczulać, naprawdę mnie to wkurzy.

- Nie rozczulam się nad sobą - odparła, a lzy paliły ją w gardle. Prawie tak samo trudno było połykać je, jak pozwolić, by popłynęły.

Usiłowała się uspokoić, podczas gdy Jack, klucząc, wyprowadził samochód poza granice miasta i skręcił na opustoszałą boczną drogę w Wirginii. Otulił ich przyjazny mrok.

- Nikt za nami nie jedzie - powiedziała.

- To dlatego, że jestem dobry, nie dlatego, że nie jesteś głupia.

- Przestań się mnie czepiać.

- Gdybym posiedział w barze jeszcze pięć minut, czekając na ciebie, byłbym w tej chwili równie martwy jak Ralph. A więc przyjmij, że masz szczęście, jeśli nie wyrzucę cię na pobocze i nie pojedę do Meksyku.

- Dlaczego tego nie zrobisz?

- Zainwestowałem. - Pochwyił jej spojrzenie, lśnienie wilgotnych oczu i prychnął. - Nie patrz tak. To mnie naprawi doprowadza do szału.

Nie przestając przeklinać, zjechał na pobocze. Wyjął klucz z kieszeni, zdjął MJ kajdanki, wyskoczył z samochodu i zaczął chodzić tam i z powrotem.

Dlaczego, do diabła, wplątał się w aferę z tą kobietą? Dlaczego się od niej nie uwolnił? Dlaczego teraz jej nie zostawi? Meksyk to nie takie złe miejsce. Mógłby znaleźć sobie miły kącik na plaży, wygrzewać się na słońcu i czekać, aż spraw; przycichnie.

Nic go nie powstrzymywało.

Wysiadła z samochodu, powiedziała cicho:

- Mój przyjaciel ma kłopoty.

- Nic mnie nie obchodzi twój przyjaciel. - Odwrócił się gwałtownie twarzą do niej. - Chodzi mi o mnie. I może o ciebie chociaż Bóg jeden wie czemu, bo odkąd zobaczyłem, jak wchodzisz po schodach do mieszkania, kręcąc tyłkiem, nie przyniosłaś mi nic prócz zmartwień.

- Pójdę z tobą do łóżka, jeśli... Przerwał jej w pół słowa.

- Co takiego?! Wyprostowała ramiona.

- Pójdę z tobą do łóżka. Zrobię, co tylko zechcesz, jeśli mi pomożesz.

Patrzył na nią na to, w jaki sposób światło księżycy opromienia jej włosy, na to, jak wciąż lśnią jej oczy. I pragnął jej z całych sił bez względu na wszystko.

Ale nie w ramach handlu wymiennego.

- Och, to miłe. - Jego głos był zaprawiony goryczą. - To wspaniałe. Nawet nie muszę przywiązywać cię do tych przeklętych torów. - Zbliżył się o krok, złapał ją za ramiona i potrząsnął. - Za kogo, do diabła, mnie bierzesz?

- Nie wiem.

- Nie wykorzystuję kobiet - rzucił przez zęby. - Kiedy idę z którąś do łóżka, obie strony muszą mieć na to ochotę. Dziękuję za ofertę, ale nie jestem zainteresowany tym najwyższym poświęceniem.

Puścił ją i ruszył do samochodu. Wściekłość sprawiła, że się odwrócił.

- Myślisz, że twój przyjaciel doceniłby ten gest, gdyby się dowiedział, że spałaś ze mną, żeby mu pomóc?

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić. Swoją reakcją bardziej zdobył jej zaufanie niż jakaś obietnica czy przysięga.

- Nie. Choć to by mnie nie powstrzymało.

Zbliżyła się do niego, zatrzymując się, gdy byli na odległość ramienia.

- Mój przyjaciel nazywa się Bailey James. Ona jest gemmologiem.

To nazwisko figurowało w sfałszowanych dokumentach. Ale dla niego najistotniejszą częścią informacji było jedno małe słówko.

- Ona?

- Tak, ona. Studiowałyśmy razem w college'u, mieszkałyśmy razem. Jeden z powodów, dla których osiadłam w Waszyngtonie, to Bailey i Grace, nasza trzecia współlokatorka. To moje najbliższe przyjaciółki. Martwię się o nie i potrzebuję twojej pomocy.

- Bailey przysłała ci ten kamień?

- Tak, a nie zrobiłaby tego bez uzasadnionego powodu. Myślę, że trzeci posłała Grace. Tak właśnie postąpiłaby Bailey. Sporządza ekspertyzy dla Smithsonian Institute.

Nagle zmęczona MJ poczuła piasek w oczach.

- Nie widziałam jej od środy wieczorem. Miałyśmy dziś wybrać się do pubu. Położyłam jej pod drzwi kartkę, żeby ustalić godzinę. Ja przeważnie pracuję wieczorami, ona w dzień, więc chociaż mieszkamy naprzeciwko siebie, porozumiewamy się za pomocą karteczek wsuwanych pod drzwi. A ostatnio, odkąd poproszono ją o konsultację w sprawie Trzech Gwiazd, stale i pracowała po godzinach. Nie niepokoiłam się, kiedy nie widziałam jej przez parę dni.

- A w piątek dostałaś przesyłkę.

- Tak. Od razu zadzwoniłam do niej do pracy, ale włączyła się automatyczna sekretarka. Firma jest zamknięta do wtorku. Zapomniałam, że Bailey mówiła mi o tym, że prawdopodobnie będzie<sup>TM</sup> cały czas pracować. Poszłam tam, wszystko było pozamykane. Zadzwoniłam do Grace, odezwała się automatyczna sekretarka. Od tego czasu zaczęłam się niepokoić o obie. W końcu doszłam do wniosku, że Bailey ma swoje powody i wyjaśni mi je w odpowiednim czasie. Więc poszłam do pracy. Po prostu poszłam do pracy.

- Wyrzucanie sobie tego nic nie da. Nie miałaś wielkiego wyboru.

- Dysponuję kluczem do jej mieszkania. Mogłam tam zajrzeć. Mamy taką umowę o prywatności, dlatego wsuwamy kartki pod , drzwi. Nie użyłam klucza z przyzwyczajenia. Jednak teraz, kiedy i zadzwoniłam sprzed baru, nie odebrała telefonu, choć była druga w nocy. Bailey jest taka akurtna, nie ma zwyczaju włączyć się po nocy, mimo to nie odebrała telefonu. Boję się... To, co zrobili temu mężczyźnie... Boję się o nią.

Położył jej dłonie na ramionach, tym razem delikatnie.

- Można zrobić tylko jedno. - Ponieważ pomyślał, że ona tego potrzebuje, pocałował ją w skroń. - Sprawdźmy to.

Wpuściła powietrze z drżącym westchnieniem.

- Dzięki.

- Ale tym razem musisz mi zaufać.

- Tym razem to zrobię.

Otworzył drzwiczki, poczekał, aż wsiądzie.

- A ten drugi przyjaciel, o którym mówiłaś wcześniej? Ten mężczyzna?

Odgarnęła włosy do tyłu, uniosła głowę.

- Nie ma nikogo.

Pochylił się i przywarł do jej ust w długim, namiętym pocałunku.

- Ale będzie.

Zarzykował, wrócił na Union Station. Będą szukali jego samochodu, to prawda, ale zakładał, że brudnoszary oldsmobile z pokiereszowanym winylowym dachem wtopi się w tło.

A poza tym zamierzał się pospieszyć.

Pomyślał, że w środku nocy dworce autobusowe i kolejowe są do siebie bardzo podobne. Nie wszyscy ludzie skuleni na krzesłach czy wyciągnięci na kocach czekali na odjazd. Niektórzy nie mieli po prostu dokąd iść.

- Nie zatrzymuj się - powiedział do MJ - i miej oczy otwarte. Nie chcę, żeby mnie tu dopadli.

Dopasowując krok do jego kroku, zastanawiała się, dlaczego takie miejsca rano mają zapach rozpaczy. Nie pozostało nic z podniecenia, krzątania, oczekiwania wyjazdów i przyjazdów tak typowego dla dnia. Ci, którzy podróżowali nocą albo szukali suchego kąta do spania, zwykle nie tryskali entuzjazmem.

- Powiedziałaś, że sprawdzimy mieszkanie Bailey.

- Jak tylko załatwię to. - Poszedł prosto do skrytek, obrzucił je szybkim spojrzeniem. - Czasami po prostu ma się szczęście - mruknął i, znalazłszy odpowiedni numer, wsunął klucz do zamka. MJ pochyliła się nad jego ramieniem.

- Co jest w środku?

- Jak przestaniesz dyszeć mi w kark, zobaczę. Kopie twoje go nakazu - powiedział, podając go jej. - Na pamiątkę.

- O kurczę, dzięki. Miło będzie powspominać sobie naszą małą letnią przejażdżkę. - Zerknąwszy na nie szybko, wrzuciła papiery do torby. Jej zainteresowanie wzrosło, kiedy Jack wyciągnął mały notes oprawny w czarną imitację skóry. - To wygląda bardziej obiecująco.

- Ciekawe, gdzie trzymał pieniądze na bieżące wydatki zastanawiał się Jack, kiedy obmacał skrytkę po raz ostatni, głęboko rozczarowany tym, że nie znalazł żadnej gotówki. - Powinien trochę mieć tutaj pod ręką na wypadek, gdyby chciał szybko złapać pociąg.

- Może już je wyjął.

Otworzył usta, chcąc zaprzeczyć, ale zrezygnował.

- Tak, masz rację. Możliwe, że chciał je mieć przy sobie na wypadek, gdyby musiał się szybko zwinąć. - Ze ściągniętym brwiami przekartkował notes. - Nazwiska, numery.

- Adresy? Telefony? - spytała, wykręcając szyję, żeby to zobaczyć.

- Nie. Liczby, daty. Łapówki - uznał. - Wygląda na to, że” Ralph na boku zajmował się szantażem.

- Sól ziemi, twój przyjaciel Ralph.

- Były przyjaciel - podkreślił Jack automatycznie, zanim uświadomił sobie, że to tak dosłowna prawda. - Bardzo były - mruknął. - Gdyby to wyszło na jaw, straciłby więcej niż interes. Trafiałby na długo za kratki.

- Myślisz, że ktoś postanowił szantażować szantażystę?

- To się zdarza. I nie każdemu chodzi o pieniądze. - Pokiwał głową. - Sądząc z tych liczb, uboczna działalność dawała mu więcej niż przyzwoity dochód. Czasami zależy im na krwi.

- Co to nam daje? - spytała MJ.

- Niezbyt wiele. - Wcisnął notes do tylnej kieszeni spodni, znów rozejrzał się po dworcu. - Ktoś, kogo Ralph naciskał, zrewanżował mu się. Albo, co bardziej prawdopodobne, ktoś, kto wiedział o tym małym, niezupełnie legalnym interesie Ralpha, przechowywał w pamięci tę informację, aż okazała się użyteczna.

- A potem go zabił - dodała MJ. - Nie jest to związane tylko z tym małym notesem czy z Ralphem. Z pewnością chodzi o kamienie. Muszę odnaleźć Bailey.

- Następny przystanek - obiecał i wziął jej dłoń w swoją.

## ROZDZIAŁ 6

MJ była świadoma ryzyka, toteż przyrzekła sobie, że nie będzie protestować, bez względu na to, jakie byłyby polecenia Jacka. Nie będzie zadawać żadnych pytań. W końcu to on był; fachowcem od takich spraw, a ona potrzebowała profesjonalisty.; Nie wytrzymała nawet trzydziestu minut.

- Dlaczego wciąż jeździmy w kółko? - spytała. - Powinieneś skrócić w lewo za rogiem, który właśnie minęliśmy. Zapomniałeś, jak tam dojechać?

- Nie, nie zapomniałem, jak tam dojechać. Nie zapominam jak dojechać dokądkolwiek.

Westchnęła.

- Cóż, skoro uważasz, że masz mapę w głowie, muszę powiedzieć, że właśnie skręciłeś w złą stronę.

- Zapewniam cię, że nie.

Ach, ci mężczyźni, pomyślała, parszając z rozdrażnieniem.

- Wiem, co mówię. Przecież tu mieszkam. Mój dom jest trzy przecznice stąd.

Powiedział sobie, że musi być cierpliwy. Była pod wpływem silnego stresu, obydwójce mieli za sobą długi, ciężki dzień. Skończyło się na dobrych intencjach.

- Wiem, gdzie mieszkasz - powiedział przez zęby. - Obserwowałem twoje mieszkanie przez dwie godziny, kiedy ty chodziłaś sobie po sklepach.

- Nie chodziłam po sklepach. Robiłam zakupy, a to coś zupełnie innego. A ty jeszcze nie odpowiedziałeś na moje bardzo proste pytanie.

- Mogłabyś się przymknąć?

- Zawsze jesteś taki nieuprzejmy?

Zahamował na światłach, zabębnił palcami o kierownicę.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego jeżdżę w kółko. Powiem ci, dlaczego jeżdżę w kółko. Ponieważ szukają nas dwaj uzbrojeni faceci w furgonetce, którzy znają mój samochód, a jeśli tak się składa, że są gdzieś w okolicy, wolałbym zobaczyć ich pierwszy. Z tej prostej przyczyny, że nie mam ochoty zginać od kuli dzisiejszej nocy. Czy to wystarczająco jasne?

Złożyła ramiona na piersi.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego od razu?

Wymamrotał coś pod nosem i skręcił ponownie. Jechał powolutku do połowy przecznicy, po czym zatrzymał się przy krawężniku i zgasił silnik.

- Dlaczego się zatrzymałeś? Mamy jeszcze dwie przecznice. Słuchaj, jeśli masz niski poziom testosteronu i zgubiłeś drogę, nie wykorzystam tego przeciwko tobie. Mogę...

- Nie zgubiłem drogi. - Wsunął obie dłonie we włosy. Miał ochotę je wyrwać. - Nigdy nie gubię drogi. Wiem, co robię. - Wyciągnął rękę i szarpnięciem otworzył schowek na rękawiczki.

- No to dlaczego...

- Pójdziemy pieszo. - Wyjął ze schowka latarkę wielkości długopisu i trzydziestkę ósemkę. Upewnił się, że MJ widzi broń, i bez pośpiechu sprawdził magazynek. Nawet niej mrugnęła.

- To nie ma sensu. Jeśli musimy...

- Zrobimy to na mój sposób.

- Och, wielka niespodzianka. Po prostu pytam...

- Jestem zmęczony odpowiadaniem na twoje pytania, naprawdę zmęczony. - Westchnął. - Przetniemy tę ulicę, potem przejdziemy między tamtymi dwoma podwórkami, za budynek na następnej parceli, a później na tyły twego domu. Pójdziemy pieszo, ponieważ tym sposobem nie będziemy się tak bardzo rzucać w oczy, a twój dom może być obserwowany.

Przemyślała jego słowa, rozważyła ze wszystkich stron, po czym skinęła głową.

- Cóż, to ma sens.

- Wielkie dzięki. - Złapał torbę i, nie zważając na gwałtowny protest MJ, wyjął gotówkę z portfela.

- Co ty, u diabła, wyprawiasz? To moje pieniądze. - Wyrwała mu portfel, który Jack zdążył już opróżnić, po czym zaniemówiła na chwilę, widząc, że wepchnął banknoty do kieszeni, wyłuskał z torby diament i wcisnął go w ślad za banknotami. - Oddaj mi to. Oszalałeś?

Rzuciła się na niego jak tygrysyca. Jack po prostu pchnął ją z powrotem na siedzenie, przytrzymał i, ryzykując ponowne ugryzienie, przywarł wargami do jej ust. Próbowała się wyrwać, wyrzucała z siebie jakieś niewyraźne słowa, zapewne przekleństwa, uderzyła go pięścią w zębra. A potem zdecydowała się na współpracę.

Tej współpracy, żarliwej, zachłannej, o wiele trudniej było się oprzeć niż protestom. Przez chwilę zapomniał o całym świecie. Dał się ponieść fali.

Było tak jak za pierwszym razem. Paląca żądza. W głowie tłukła mu się myśl, że czekał całe życie na to, by przycisnąć wargi do jej ust. To moja kobieta.



Pięść, którą go uderzyła, rozwarła się, a palce wślizgnęły się na jego plecy i zacisnęły władczo na ramieniu. Jest mój, pomyślała.

Kiedy się od niej oderwał, wpatrywali się w siebie w mroku, dwoje niezależnych władczych ludzi o silnej woli, którzy właśnie poddali się namiętności, która ich popychała ku sobie.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wykrztusiła wreszcie.

- Głównie po to, żebyś przestała mówić. - Dłoń prześliznęła się po jej ramieniu, zawędrowała we włosy. - Ale to się zmieniło.

Bardzo powoli przytaknęła.

- Tak, to prawda.

Zaprzagnął pociągnąć ją na tylne siedzenie samochodu i zabawić się w parę nastolatków. Na myśl o tym omal się nie uśmiechnął.

- Nie mogę teraz o tym myśleć.

- Nie, ja też nie.

Dłoń w jej włosach poruszyła się i po chwili w zadziwiająco delikatnym geście ujęła jej dłoń. Splątali palce.

- Później o tym pomyślimy. I nie tylko.

- Tak. - Lekko wygięła wargi. - Myślę, że tak.

- Chodźmy. Nie, nie bierz torby. - Kiedy chciała zaprotestować, po prostu wyrwał jej ją, rzucił na tylne siedzenie. - MJ, to waży chyba z tonę. Może będziemy musieli poruszać się szybko. Biorę pieniądze i kamień na wypadek, gdyby oni namierzyli samochód albo gdybyśmy my nie mogli do niego wrócić.

- Zgoda. - Wysiadła i czekała na niego na chodniku. Zerknęła na rewolwer, który wsunął do kabury, umocowanej pod pachą. - Wiem, że to ryzykowne, ale muszę to zrobić, Jack. Znów ujął ją za rękę.

- No to do roboty.

Poszli trasą, którą zaplanował, prześliznęli się między podwórkami, minęli szczekającego za nimi bez przekonania psa. Na niebie pojawił się księżyc. Srebrzysta tarcza oświetlała zarówno ich obydwój, jak i ich drogę.

Przez chwilę żałował, że MJ nie zmieniła białego podkoszulka na coś innego. Świecił w ciemnościach jak latarnia morska. Ale szła dobrze, miarowymi długimi krokami. Już zdążył się przekonać, że gdyby było trzeba, potrafiłaby biec. To musiało wystarczyć.

- Masz robić to, co ci powiem - zaczął przyciszonym głosem, badając tyły budynku. - Wiem, że to wbrew twojej naturze ale musisz pokonać swoje opory. Jeśli ci powiem, że masz iść, po prostu idź. Jeśli powiem, że masz biec, biegnij. Żadnych pytań. Żadnych sporów.

- Nie jestem głupia. Chcę tylko znać powody.

- Tym razem rób tylko to, co ci powiem, a o powodach porozmawiamy później.

Z trudem dotrzymywała mu kroku.

- Jej samochód jest tutaj - szepnęła. - Ten mały biały.

- To dobrze, w takim razie może jest w domu. - Albo, pomyślał, nie była w stanie prowadzić. Uznał jednak, że lepiej nie dzielić się tymi obawami z MJ. - Wejdziemy z boku drzwiami pożarowymi i przedostaniemy się na schody. Żadnego hałasu, żadnych rozmów.

- W porządku.

MJ już utkwiała oczy w oknach Bailey. W mieszkaniu panowały ciemności, zasłony były zaciągnięte, a przecież Bailey na ogół zostawiała zasłony odsłonięte, uprzytomniła sobie MJ. Przyjaciółka lubiła wyglądać przez okno i rzadko je zasłaniała.

Wślizgnęli się do budynku jak cienie i - Jack o pół kroku przed MJ - podeszli cicho do schodów. Słabe światło awaryjne rozjaśniało hol i schody. Jack, cały czas trzymając się w cieniu, zerknął przez frontowe drzwi na zewnątrz. Jeśli ktoś obserwuje dom, pomyślał, zaraz, gdy tylko wejdą w krąg światła, może ich wykryć.

Musieli jednak podjąć to ryzyko.

Gdy wspinali się po schodach, łowił uchem każdy odgłos, rejestrował każdy ruch. Było tak późno, że właściwie można było powiedzieć, iż jest wczesnie. Budynek spał. Zza mijanych na pierwszym piętrze drzwi nie dobiegał nawet szmer włączonych telewizorów.

Kiedy weszli na drugie piętro, MJ po raz pierwszy wydała dźwięk, który natychmiast zdusiła: szybko wciągnęła powietrze w płuca. Drzwi do jej mieszkania były oklejone taśmą policyjną.

- Ta twoja sąsiadka w kłapkach z puszką wezwała gliny - szepnął Jack. - Założę się, że ciebie też szukają. - Wyciągnął rękę. - Klucz?

Odwróciła się i, nie odrywając oczu od drzwi do mieszkania Bailey, sięgnęła do kieszeni i podała mu klucz. Nakazał gestem, aby cofnęła się w kierunku schodów, co dawało jej możliwość ucieczki, wyjął z kabury rewolwer, po czym otworzył drzwi.

Zachowując absolutną ciszę, włączył latarkę i uważnie przyjrzał się pierwszemu pomieszczeniu. Nie zauważył żadnego ruchu. Powstrzymawszy MJ gestem dłoni, wszedł do środka. To, co już zobaczył, upewniło go, że w mieszkaniu nikogo nie ma, ale chciał sprawdzić sypialnię i kuchnię, zanim wpuści MJ.

Zdażył przejść zaledwie parę kroków, kiedy usłyszał jej ciężki oddech. Odwrócił się powoli.

- Nie ruszaj się - polecił. - Stój spokojnie.

- O Boże. Bailey. - Pognała jak strzała do sypialni, przeskakując poszarpane poduszki i przewracane krzesła.

Dopał drzwi na krok przed nią, odsunął ją brutalnie z drogi.

- Opanuj się, do diabła - syknął, po czym zajrzał do sypialni. - Nie ma jej tu - powiedział po chwili. - Zamknij drzwi do mieszkania, na klucz.

Wycofała się na drżących nogach, idąc wężykiem przez zniszczony salon. Zamknęła drzwi i oparła się o nie plecami.

- Co oni jej zrobili, Jack? Och, Boże, co oni jej zrobili?

- Usiądź i pozwól mi się rozejrzeć.

Zacisnęła mocno powieki, usiłując się opanować. Pamięć podsunęła jej obrazy z przeszłości - ona i Grace siedzące w cierniu, podczas gdy rozradowana Bailey szuka kamieni; wszystkie trzy, chichoczące jak wariatki, późnym wieczorem nad dzbankiem wina; Bailey, z falą blond włosów opadającą na twarz, trzeźwo przyglądająca się parze włoskich pantofli na wystawie jakiegoś sklepu.

- Pomogę ci. Potrafię to zrobić.

Tak, pomyślał, patrząc, w jaki sposób prostuje plecy, ramiona, prawdopodobnie tak jest.

- Dobrze, musisz robić to po cichu i tak szybko, jak tylko zdołasz. Nie możemy ryzykować zapalenia światła, nie mamy też za wiele czasu.

Omiótł pokój światłem miniaturowej latarki. Zawartość szuflad i szaf była przewracana i porozrzucana. Z kilku łatwo tłukących się rzeczy zostały skorupy. Poduszki, materac, nawet oparcia krzeseł pocięto tak, że materiał, którym były wypchane, wysypywał się w lawinie zniszczenia.

- W tym bałaganie nie będziesz w stanie stwierdzić, czy czegoś brakuje. - Rozejrzał się wokół i uznał, że mieszkająca tu kobieta rzeczywiście musi przepadać za bibelotami. - Ale jedno mogę powiedzieć. Nie sądzę, żeby twoja przyjaciółka była w mieszkaniu, kiedy to się stało.

MJ przycisnęła dłoń do serca, zupełnie jakby chciała podtrzymać nadzieję.

- Dlaczego tak uważasz?

- Nie ma śladów walki. To była rewizja - szybka, bałaganiarska i cicha. Nietrudno się domyślić, czego szukali. Czy to znaleźli, czy nie...

- Miałaby go ze sobą - wtrąciła szybko MJ. - Z jej liściku jasno wynikało, że nie powinnam rozstawać się z kamieniem. Ona zrobiłaby tak samo.

- Jeśli to prawda, możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że wciąż go ma. Nie było jej tu - powtórzył, przesuwając promień światła po pokoju dziennym. - Nie stoczyła tu walki, nie została zraniona. Nie ma krwi.

- Nie ma krwi. - MJ przycisnęła dłoń do ust, chcąc stłumić cichy szloch ulgi. - W porządku. Nic jej nie jest. Ukryła się, tak samo jak my.

- Jeśli jest tak bystra, jak mówisz, właśnie to powinna zrobić.

- Jest wystarczająco bystra na to, żeby uciekać, kiedy trzeba uciekać. - Obejrzała uważniej przewrócony do góry nogami pokój. - Nie wzięła samochodu, więc podróżuje pieszo albo korzysta z komunikacji publicznej. - MJ zamarła na samą myśl o tym. - Ona nie zna ulic, Jack. Nie wie, jak się należy zachować. Bailey jest inteligentna, ale naiwna. Łatwo nabiera zaufania do ludzi, zawsze stara się dostrzec w nich tylko to, co najlepsze. Jest słodka - dodała MJ i przeszły ją ciarki.

- Musiała się przecież czegoś nauczyć od ciebie - zauważył Jack, zadowolony, że wreszcie zdołała się uśmiechnąć. - Rzućmy okiem na to wszystko, zobaczymy, może coś się okaże. Sprawdź jej rzeczy, pewnie byłabyś w stanie zorientować się, czy zabrała coś ze sobą.

- Ma specjalną kosmetyczkę podróżną, zawsze w pogotowiu. Nigdy nie wyrusza w drogę bez niej. - Zaabsorbowana tym prostym spostrzeżeniem MJ ruszyła do łazienki zajrzeć do wąskiej szafy na bieliznę pościelową.

Nawet stamtąd rzeczy zostały wyciągnięte, półki wyszarpane, butelki otwarte i opróżnione. Ale znalazła samą kosmetyczkę, otwartą i pustą. Na podłodze rozpoznała część jej zawartości: podróżną szczoteczkę do zębów, składaną szczotkę do włosów, jednorazowe szampony i mydła.

- Kosmetyczka jest na miejscu. - Weszła do sypialni, gdzie zrobiła co mogła, przeglądając rzeczy przyjaciółki. - Nie wydaje mi się, żeby coś zabrała. Brakuje kostiumu. Jest nowy, więc go zapamiętałam. Elegancki kostium z błękitnego jedwabiu. Może ma go na sobie. Co do butów i torebki, nie mam pojęcia. Kolekcjonuje je jak inni znaczki.

- Gdzie trzyma towar? Oburzona, uniosła gwałtownie głowę.

- Bailey nie bierze narkotyków.

- Nie chodzi o narkotyki. - Bądź cierpliwy, powiedział sobie i wniósł oczy do sufitu. - Niezłą masz o mnie opinię, kotku. Pieniądze, gotówka.

- Och. - Wyprostowała się. - Przepraszam. Tak, trzyma w domu trochę gotówki. - Nie za bardzo jej się to podobało, ale zaprowadziła go do kuchni. - O rany, ale będzie wściekła,

jak to zobaczy. Naprawdę lubi porządek. Można powiedzieć, że ma obsesję na tym punkcie. Szczególnie jeśli chodzi o kuchnię.

- Przesunęła nogą parę puszek, utyłanych w mące, cukrze i kawie, które wysypano z pojemników. - Mówię ci, nie znalazłbyś ani okruszka w jej tosterze.

- Powiedziałbym, że mamy większe problemy niż gospodarstwo domowe.

- Tak. - Schyliła się, wyciągnęła puszkę zupy. - To taka puszka na niby - wyjaśniła i odkręciła wieczko. - Nie wzięła ze sobą pieniędzy na czarną godzinę - zauważyła z widoczną ulgą.

- Prawdopodobnie nie wróciła do mieszkania od... Hej! - Wyrwała mu puszkę, ale on już zdążył wyjąć z niej gotówkę. - W tej chwili odłóż to na miejsce.

- Posłuchaj, nie możemy zaryzykować używania kart płatniczych, więc potrzebujemy pieniędzy. W gotówce. - Wcisnął przyjemnie gruby zwitek do kieszeni. - Oddasz jej później.

- Ja? To tyje wzięłeś.

- Szczegóły - mruknął, biorąc ją za rękę. - Chodźmy już. Niczego tu nie znajdziemy.

Tylko wyzywamy los.

- Mogłabym zostawić jej kartkę na wypadek, gdyby wróciła. Przestań mnie szarpać.

- Nie tylko ona może wrócić. - Pociągnął ją do wyjścia i holował, póki nie znaleźli się na schodach.

- Muszę się dowiedzieć, co z Grace.

- Jedna przyjaciółka za jednym podejściem, MJ. Chwilowo zajmiemy się czymś innym.

- Mogłabym do niej zadzwonić z mojego telefonu albo z twojego komórkowego. Jack, jeśli Bailey i ja w tym tkwimy, to Grace też.

- Wszystko robicie razem?

- I co z tego? - Pośpieszyła wraz z nim do bocznych drzwi, popędzana nowym zmartwieniem. - Muszę się z nią skontaktować. Grace mieszka nad Potomakiem. Nie sądzę, że jest tam teraz. Pewnie zaszła się w swoim domku na wsi, ale...

- Bądź cicho. - Otworzył drzwi, obrzucił wzrokiem spokojny parking, pogrążone we śnie otoczenie domu. Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Brak kłopotów zawsze wzbudzała w nim niepokój. - Siedź cicho, dopóki się stąd nie wyniesiemy dobrze? Boże, ale masz gadane.

Mamrotała coś pod nosem, kiedy pociągnął ją na dwór i zaczął biec.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi. Ktokolwiek szukał Bailey i brylantu, przyszedł i poszedł.

- Co nie znaczy, że nie wróci. - Zauważył odbicie światła księżycowego od chromowanej karoserii furgonetki, która właśnie podjeżdżała z piskiem opon pod dom. - Czasami wolałbym nie mieć racji. Biegnij! - rozkazał, popychając ją przed siebie.

Obrócił się wokół własnej osi, chcąc osłonić plecy MJ, i pomodlił się w duchu, by ich nie zauważono. Uznał, że najwidoczniej Bóg jest zajęty czymś innym, bo drzwi furgonetki gwałtownie się otworzyły. Wystrzelił w jej kierunku, po czym odwrócił się i pognął za MJ.

Miał nadzieję, że pojedynczy strzał da napastnikom do myślenia.

- Powiedziałem, biegnij! - krzyknął, kiedy wpadł na nią i omal nie przewrócił jej na ziemię.

- Usłyszałam strzał. Myślałam...

- Nie myśl. Biegnij! - Złapał ją za rękę, żeby mieć pewność, że tak będzie. Jak to dobrze, że nie miała problemu z dotrzymanywaniem mu kroku.

Przedarli się między podwórkami. Tym razem pies bardziej się nimi zainteresował. Głośne szczekanie niosło się po okolicy. Księżyc wskazywał im drogę. Chociaż Jack nie słyszał żadnych kroków dudniących w pościgu, nie zwolnił biegu, gdy przemykali wzdłuż boku budynku i skręcali za róg.

Uważnie przebiegł wzrokiem ulicę, po czym znów zaczął biec.

- Do środka - rzucił i podbiegł do samochodu od strony kierowcy.

Nie musiał się martwić o to, czy polecenie zostanie wykonane. MJ błyskawicznym szarpnięciem otworzyła drzwiczki i zanurkowała na siedzenie.

- Nie pobiegli za nami - dyszała. - To niedobrze. Powinni za nami pobiec.

- Uważaj. - Przekręcił kluczyk w stacyjce, nacisnął sprzęgło i oderwał się gwałtownie od krawężnika właśnie gdy zza rogu wynurzyła się furgonetka. - Złap się czegoś.

Chociaż nie wierzyłyby, że to możliwe, błyskawicznie wykonał tym dużym samochodem manewr w kształcie litery U, wjeżdżając przy tym dwoma kołami na przeciwległy krawężnik. Zderzakiem zaczepił lekko błotnik sedana i już grzał dziewięćdziesiątką spokojną podmiejską ulicą.

Kiedy wpadł w pierwszą przecznicę, furgonetka była trzy długości za nimi.

- Umiesz strzelać?

MJ wzięła broń z siedzenia.

- Jasne.

- Miejmy nadzieję, że nie będziesz musiała. Zapnij pas, jeśli zdołasz to zrobić - zasugerował, skręcając gwałtownie w kolejną przecznicę. MJ uderzyła łokciem o deskę rozdzielczą. I nie kieruj tego w moją stronę.

- Wiem, jak się obchodzić z bronią. - Zaciśnęła zęby, zebrała się w sobie i wyrzała przez tylne okno. - Po prostu jedź. On są coraz bliżej.

Jack zerknął w lusterko wsteczne, zmierzył wzrokiem dystans dzielący ich od zbliżających się świateł samochodu.

- Nie tym razem - zapewnił.

Prześlizgiwał się po ulicach jak waż, naciskając hamulec doduszając gaz, manipulując kierownicą tak, że opony aż piszczwały. Ta próba sił, szybkość, szaleństwo sprawiły, że radośni się uśmiechnęli.

- Lubię robić to przy muzyce - powiedział i rozkręcił radio na cały regulator.

- Jesteś szalony - rzuciła, ale złapała się na tym, że sama idiotycznie śmieje się do niego. - Oni chcą nas zabić.

- A skazani na męki piekielne chcą śniegu. - Wjechał na czteropasmówkę i dodał gazu do stu dwudziestu. - Ta gabłota może na to nie wygląda, ale potrafi się ruszać.

- Furgonetka też. Nie robisz na nich wrażenia.

- Jeszcze nie zacząłem. - Zerknął szybko na lewo, na prawo, po czym przejechał na czerwonych światłach. Ruch był nieduży, nawet kiedy zbliżyli się do centrum. - To cały kłopot z Waszyngtonem - skomentował. - Żadnego nocnego życia. Sami politycy i ambasadorzy.

- Za to ma styl.

- Tak, rzeczywiście. - Pokonał zakręt pięćdziesiątką i zaczął kluczyć labiryntem wąskich tylnych uliczek i rond. Usłyszał świst metalu o metal, gdy kula trafiła w tylny zderzak samochodu.

- Teraz zaczynają się robić nieprzyjemni.

- Zdaje się, że próbują przestrzelić opony. - A tak niedawno je zmieniałem.

Stare czy nowe, pomyślała MJ, jeśli kula trafi w gumę, gra dobiegnie końca. Wzięła głęboki oddech, po czym wychyliła się z okna aż do pasa i strzeliła.

- Oszalałaś? - Serce skoczyło mu do gardła. O mało nie uderzył w latarnię. - Schowaj głowę do środka, zanim ci ją odstrzelą.

Z ponurą miną, zbyt zaperzona, by się bać, strzeliła ponownie.

- Nie daruję im tego. - Za trzecim razem trafiła w światło. Brzęk tłuczonego szkła zabrzmiał w jej uszach jak muzyka. Nie miało właściwie znaczenia, że celowała w przednią szybę. - Trafiłam ich.

Z bezwiednym warknięciem Jack złapał ją za pasek dżinsów i wciągnął do środka. Po raz pierwszy w życiu ręce mu drżały na kierownicy własnego samochodu.

- Co ty sobie wyobrażasz, że kim jesteś, Bonnie Parker?

- Wycofali się.

- Nie. Ja im uciekłam. Pozwól mi się tym zająć, dobrze? Znow wykręcił na czteropasmówkę, przejechał przez strefę rozdzielającą pasma, uderzając przy tym kilkakrotnie o barierkę. Iskry poleciały jak gwiazdy, kiedy stał otarła się o beton. Z godną podziwu zręcznością wprowadził samochód w szeroki łuk i skierował się na północ.

- Wciąż próbują. - MJ wykręciła się na siedzeniu, znow wychyliła głowę przez okienko, choć Jack nie przestawał kląć. - Nie sądzę, żeby zrezygnowali. - Aż gwizdnęła, słysząc dźwięk skrzypiącego metalu. - Wracają kierują się na południe.

- Widzę. Nie potrzebuję cholernego komentarza. Wracaj tu. Tym razem zapnij pas.

Wjechał sześćdziesiątką na obwodnicę Waszyngtonu. Według jego obliczeń zyskali na tyle dużo czasu, że mogło im się udać. Przyspieszył jeszcze na pierwszym zjeździe i wjechał do Marylandu.

- Zgubiłeś ich. - Przysunęła się i pocałowała go entuzjastycznie w policzek. - Dobry jesteś, Dakota.

- Cholerna racja. - Kiedy tylko uznał, że może sobie na to pozwolić, zjechał na pobocze, chwycił ją za ramiona i potrząsnął tak, że dzwoniły jej zęby. Uśmiech zniknął z jej twarzy. - Nigdy więcej nie waż się robić czegoś tak głupiego. Masz szczęście, że nie wypadłaś lub że nie odstrzelili ci głowy.

- Zamknij się, Jack. - Jej ręka już zwijała się w pięść. - Nie żartuję. - Ale zrobiła się całkiem bezsilna, kiedy przyciągnął ją do siebie i przytrzymał. Twarz ukrył w jej włosach, serce waliło mu jak młotem. - No. - Zbita z tropu, poruszona, poklepała go po plecach. - Ja tylko chciałam pomóc.

- Nie rób tego nigdy więcej. - Przycisnął usta do jej warg w desperackim pocałunku. - Po prostu nie. - I tak gwałtownie, jak ją pochwycił, teraz ją odepchnął. - Zdenerwowałaś mnie - mruknął, wściekły, że tak uległ emocjom. - Po prostu się zaniknij. - Kiedy otworzyła usta w proteście, odwrócił gwałtownie głowę. - Po prostu się zamknij. Nie chcę o tym rozmawiać.

- W porządku.

Czuła nerwowe skurcze żołądka. Zupełnie jakby od tego zależały losy świata, starannie zapięła pas bezpieczeństwa, kiedy znow wyjechali na drogę.

- Naprawdę chciałabym zadzwonić do Grace. To przecież moja przyjaciółka.

Zacisnął ręce na kierownicy, ale głos miał spokojny.

- Nie możemy teraz sobie na to pozwolić. Nie mamy pojęcia, jaki sprzęt zainstalowali w tej furgonetce, a wciąż są zbyt blisko. Jutro zobaczymy, co się da zrobić.



Wiedząc, że będzie musiała się tym zadowolić, potarła drżące dłonie o kolana.

- Jack, wiem, że ryzykowałeś, jadąc do mieszkania Bailey, by mnie uspokoić.

Doceniam to.

- To należy do umowy.

- Naprawdę?

Zerknął na nią spod oka i napotkał jej wzrok.

- Do diabła, przestań. Powiedziałem, że nie chcę o tym rozmawiać.

- Nie mówię o tym. - Nie była pewna, czy wie, co zrobić z tymi zaskakującymi uczuciami, które się w niej kłębiły. - Próbowałam ci podziękować.

- Proszę bardzo. Słuchaj, wracamy do motelu. Jesteś bardziej głodna czy zmęczona?

To przynajmniej nie wymagało myślenia.

- Głodna.

- To dobrze. Ja też.

Swoją drogą miała sporo do przemyślenia. Jej przyjaciółka zniknęła, ona była w posiadaniu bezcennego błękitnego brylantu spoczywającego teraz w kieszeni Jacka - a tak niedawno ścigano ją, strzelano do niej i zakuto w kajdanki.

Nie dość tego, bardzo się obawiała, że zakochuje się w pewnym buńczucznym łowcy nagród o stalowym spojrzeniu, który prowadzi samochód jak szalenię, a całuje jak marzenie.

Gorące, parne marzenie.

W dodatku właściwie знаła tylko jego nazwisko.

To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Chociaż lubiła brawurę, to nie w sprawach sercowych. W tej kwestii bardzo się pilnowała i przerażała ją utrata kontroli nad sobą z powodu mężczyzny, z którym dosłownie zderzyła się zaledwie wczoraj.

Nie należała do naiwnych romantyczek czy kapryśnych kobiecików. Ale była uczciwa. Na tyle uczciwa, by przyznać, że jakiegokolwiek niebezpieczeństwo czekało ją na zewnątrz, ona znalazła się w obliczu niebezpieczeństwa równie wielkiego, równie rzeczywistego, które czaiło się w jej własnym sercu.

Trząśł się z wściekłości. Co za niekompetencja. Nie był w stanie pogodzić się z taką amatorszczyzną. To prawda, że musiał wynająć tych mężczyzn szybko, a ich rekomendacje pozostawiały wiele do życzenia, ale ta nieumiejętność przeprowadzenia jednego prostego zadania, unieszkodliwienia jednej kobiety była wprost oburzająca.

Nie wątpił, że sam zająłby się nią we właściwy sposób, gdyby tylko mógł zaryzykować.

Teraz, kiedy księżyc zaszedł i gwiazdy zbladły, stał na tarasie, kojąc duszę kieliszkiem wina.

W duchu przyznawał, że była to po części jego wina. Z pewnością powinien dokładniej przyjrzeć się temu Jackowi Dakocie. Ale czas naglił, a poza tym założył, że głupi poręczyciel jest w stanie znaleźć kogoś na tyle kompetentnego, by ją dopadł, a jednocześnie na tyle mądrego, by ją przekazał w inne ręce.

Najwidoczniej Jack Dakota nie był mądry, tylko uparty. A kobieta miała niesamowicie dużo szczęścia. Cóż, podobno tak to bywa z Irlandczykami, ale fortuna kołem się toczy.

Już on tego dopilnuje.

Tak samo jak dopilnuje Bailey James. W końcu będzie musiała wypłynąć na powierzchnię. Wówczas on będzie gotowy. A Grace Fontaine... Szkoda.

Cóż, znajdzie również trzeci kamień.

Będzie miał je wszystkie. A ci, którzy próbowali go powstrzymać, zapłacą za to wysoką cenę.

Zacisnął palce na kruchej nóżce kieliszka. Szkło zadzwoniło o marmur. Wino rozprysnęło się kroplami. Uśmiechnął się ponuro, patrząc, jak czerwony płyn wypełnia szczeliny posadzki.

Nie tylko wino się poleje, obiecał sobie.

I to wkrótce.

## ROZDZIAŁ 7

Ulokowali się w niewielkim całonocnym barze niedaleko motelu. Najpierw poprosili o kawę, wystarczająco mocną, by post wiła ich na nogi. Podała ją kelnerka o zaspanych oczach, w b wełnianym cukierkoworóżowym kombinezonie i z plastikową plaketką z imieniem Midge na piersi.

MJ poruszyła się w swoim kącie, zaczepiając przy tym dzinsami o podarty skaj siedzenia, uważnie przeczytała menu wypisane ręcznie na kartce włożonej w przezroczystą folię, po czym oparła łokcie o porysowany, poplamiony kawą laminat, którym pokryty był stół.

Z szafy grającej dobiegała bardzo stara melodia country, a powietrze było przesycone gęstym odorem smażonego tłuszczu.

Estetyki tu nie serwowano, ale śniadania owszem. Dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- To jest niemal zbyt doskonale - zauważyła MJ po zamówieniu gigantycznego śniadania, na które składały się dwa naleśniki, jaja sadzone i plasterek bekonu. - Ona nawet wygląda jak Midge: pracowita, kompetentna i przyjacielska. Zawsze się zastanawiam, czy to ludzie dopasowują się do imion czy odwrotnie. Weźmy na przykład Bailey: zrównoważona, wiecznie pogrążona w książkach, inteligentna. Albo Grace: elegancka, bardzo kobieca i hojna.

Jack przejechał dłonią po zarośniętym podbródku.

- A co się kryje za MJ?

- Nic. Uniósł brwi.

- Niemożliwe. A więc: Mary Jo, Melissa Jane, a może Margaret Joan?

Upiła łyk kawy.

- To po prostu inicjały. Tak jest w dokumentach. Wykrzywił usta.

- Spiję cię i wyciągnę to z ciebie.

- Daj spokój, Dakota. Pochodzę z rodziny irlandzkich właścicieli pubów. Upicie mnie przerasta twoje możliwości.

- Będziemy musieli to sprawdzić... może w twoim pubie. Ciemne drewno? - spytał z półuśmiechem. - Mnóstwo miedzi, irlandzka muzyka, zespół gra w weekendy?

- Tak. I żadnej paproci w zasięgu wzroku.

- To rozumiem. A skoro jesteś właścicielką, może postawisz pierwszą kolejkę, jak już będzie po wszystkim.

- Umowa stoi. - Znów wzięła do ręki kubek z kawą. - Świetnie, nie mogę się tego doczekać.

- Dlaczego, czy teraz nie bawimy się dobrze? Odchyliła się do tyłu, kiedy kelnerka stawiała kopiaste talerze na stoliku.

- Dzięki.

A potem wzięła widelec i zabrała się do jedzenia.

- Były niezłe momenty - zauważyła. - Mogę zobaczyć notes Ralpha?

- Po co?

- Żeby ucieszyć wzrok jego elegancką plastikową okładką - odparła zjadliwie.

- Jasne, czemu nie. - Uniósł się na ławie, wyciągnął notes z kieszeni i rzucił na stół.

Podczas gdy go kartkowała, skosztował jajek. - Widzisz tam kogoś, kogo znasz?

Ten przemądrzały ton sprawił, że spojrzała na niego z prawdziwą satysfakcją, uśmiechnęła się i powiedziała:

- Właściwie tak.

- Słucham? - Miał ochotę wyrwać jej notes z ręki, ale trzy mała go poza jego zasięgiem. - Kogo?

- T. Salvini. To musi być jeden z przyrodnich braci Bailey.

- Żartujesz?

- Nie żartuję. Przy jego nazwisku jest piątka i trzy zera. Tylko pomyśl. Tim albo Thom prowadził interesy z Ralphem. Ty prowadziłeś interesy z Ralphem, teraz ja, w pewnym sensie, prowadzę interesy z tobą. - Zielone oczy w kolorze mrocznej rzeki napotkały jego wzrok. - Świat jest mały, prawda, Jack?

- Z tego miejsca tak - przyznał.

- A oto kolejna płatność, około pięciu tysięcy. Wygląda na to, że pieniądze wpłynęły osiemnastego - i tak przez cztery, nie, pięć miesięcy. - Z namysłem uderzyła notesem o krawędź stolika. - Zastanawiam się, który to z nich... A może obydwaj zrobili coś takiego, że kalkulowało im się zapłacić dwadzieścia pięć tysięcy za milczenie Ralpha.

- Ludzie bez przerwy robią rzeczy, które pragną ukryć, i płacą za to w taki czy inny sposób.

Przekrzywiła głowę.

- Jesteś znawcą natury ludzkiej, prawda, Dakota? I cynikiem.

- Życie to cyniczna podróż. Cóż, mamy tu jedno solidne powiązanie z Ralphem. Może wkrótce złożymy wizytę tym padalcom.

- To biznesmeni - zauważyła. - Obleśni, moim zdaniem, ale zabójstwo to poważna sprawa. Niezbyt mi do nich pasuje.

- Czasami popełnienie morderstwa jest znacznie łatwiejsze, niż się wydaje. - Wziął notes i znów wsadził go do kieszeni.

- Mogę ich sobie wyobrazić, jak fałszują księgi rachunkowe - myślała głośno. - Timothy ma problemy z hazardem. No wiesz, lubi grać, a zazwyczaj przegrywa.

- Naprawdę? Cóż, Ralph miał różne powiązania, jeśli chodzi, powiedzmy, o gry losowe. Ten element doskonale pasuje do naszej układanki.

- Założmy, że Ralph odkrywa, iż facet ostro gra, być może regularnie podbiera pieniądze z kasy firmy, by nie połamano mu nóg, więc postanawia wyrzucić na niego nacisk.

- To mogłoby zadziałać. Wówczas Salvini uzala się komuś, kto ma większą władzę, komuś, kto chce zdobyć diamenty.

- Wzruszył ramionami i postanowił zmienić temat. - W każdym razie to nie była zła robota, kotku.

- To była świetna robota.

- Powiedziałbym, że niezła. Wspaniale wyglądałaś z biodrami wystającymi z okna samochodu, strzelając do rozpędzonej furgonetki. - Polał naleśniki syropem. - Choć omal mi serce nie wyskoczyło z piersi. Jeśli kiedykolwiek zdecydujesz się zmienić zawód, możesz zostać łowcą zbiegów.

- Naprawdę? - Nie była pewna, czy uznać to za komplement.

- Nie wydaje mi się, że mogłabym spędzać życie na polowaniach. Rola ściganej zwierzyny też mi nie odpowiada. - Posypała jajka taką ilością soli, że Jack, sam amator tej przyprawy, aż zamrugał.

- A jak to się stało, że ty to robisz? I dlaczego?

- Jak tam twoje ciśnienie?

- Co?

- Nieważne. Myślę, że stawia się na mocne punkty. Znam się na obserwacji, jestem dobry w tropieniu i potrafię przewidywać ludzkie zachowania. Poza tym lubię polowanie. - Drapieżny uśmiech rozchylił mu wargi. - Uwielbiam polowanie. Nieważne, jaka jest zdobycz, tak długo, jak się ją tropi.

- Przestępstwo to przestępstwo?

- Niezupełnie. Tak myślą gliny. Ale jeśli masz właściwy, punkt widzenia, z równą satysfakcją dopadasz jakiegoś ojca próżniaka uciekającego przed płaceniem alimentów, jak i faceta który zastrzelił współnika. Można dopaść obydwu, jeśli poznasz swój łup. Przeważnie nie są zbyt bystrzy - mają nawyki, których nie potrafią się pozbyć.

- Na przykład?

- Gość okrada kasę sklepu, w którym pracuje. Łapią go stawiają w stan oskarżenia, poręczyciel wpłaca za niego kaucji a on ucieka. Najprawdopodobniej ma przyjaciół, krewnych, kochankę. Nie upłynie wiele czasu, a poprosi kogoś o pomoc. Ludzie w większości nie są samotnikami. Myślą, że są, ale tak nie jest. Coś ich zawsze przyciąga z powrotem. Prędzej czy później zadzwonią, przyjdą. Zostawią kartkę. Weźmy na przykład ciebie.

Zaskoczona, zmarszczyła czoło.

- Niczego nie przeszkrobałam.

- Nie o to chodzi. Jesteś inteligentną, zaradną kobietą, jesteś dzielna, ale nie odeszłabyś daleko, nie wytrzymałabyś długo bez telefonu do przyjaciół. - Podniósł do ust sporą porcję jajecznicy i uśmiechnął się do MJ. - Tak właśnie postąpiłaś.

- A ty? Do kogo byś zadzwonił?

Do nikogo. - Jego uśmiech znikł. Kiedy kelnerka dolewała im kawy, był pochłonięty bez reszty jedzeniem.

- Nie masz żadnej rodziny?

- Nie. - Nabił na widelec plasterek bekonu i połknął go w dwóch kęsach. - Ojciec odszedł z domu, kiedy miałem dwanaście lat. Po prostu zniknął. Matka wówczas znenawidziła cały świat. Miałem starszego brata, który wstąpił do wojska w dniu swoich osiemnastych urodzin i postanowił nie wracać do domu. Nie słyszałem o nim od dziesięciu, może dwunastu lat. A kiedy poszedłem do college'u, matka doszła do wniosku, że zrobiła już, co do niej należało, i ruszyła w trasę. Można powiedzieć, że od tej pory nie utrzymujemy kontaktów.

- Przykro mi.

Żachnął się, broniąc się przed jej współczuciem, zirytowany na siebie, że jej o tym wszystkim powiedział. Nie miał zwyczaju rozmawiać o rodzinie. Nigdy i z nikim.

- Nie widziałeś swojej rodziny przez te wszystkie lata? - ciągnęła, nie mogąc powstrzymać się od maleńkiego śledztwa. - Nie wiesz, gdzie się podziewają? Oni nie wiedzą, gdzie ty mieszkasz?

- Nie byliśmy, jak byś to nazwała, w bliskich stosunkach i nie spędzaliśmy ze sobą tyle czasu, by to uznać za coś niezwykłego.

- Mimo to...

- Zawsze uważałem, że to się ma we krwi - powiedział, nie dając jej skończyć. - Niektórzy ludzie po prostu nie przywiązują się na dłużej.

W porządku, pomyślała, jego rodzina to nie temat do rozmowy. Trafiła go w czułe miejsce, nawet jeśli on nie do końca zdawał sobie z tego sprawę.

- A ty, Jack? Na jak długo się przywiązujesz?

- Na tym między innymi polega atrakcyjność mojej pracy Nigdy nie wiadomo, dokąd trzeba będzie wyruszyć.

- Nie to miałam na myśli. - Wpatrywała się w jego twa - Wiesz o tym.

- Nigdy nie miałem powodu przywiązywać się do kogokolwiek.

Położyła dłoń na stoliku, tuż obok jego dłoni. Zapraǳął! ująć, potrzymać. To go zaniepokoiło.

- Mam znajomych, mnóstwo znajomych, ale nie mam przyjaciół. Nie na tej zasadzie jak ty, Bailey i Grace. Wielu z nas przechodzi przez życie bez tego, MJ.

- Wiem. Ale czy ty tego chcesz?

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. - Potarł dłońmi twarz. - Boże, ależ muszę być zmęczony. Filozofować nad śniadaniem o piątej rano.

Zerknęła przez okno na jaśniejące niebo na wschodzie, na niemal pustą drogę.

- „W długą ulicę ścichłą wnikł...”\*

- ...W srebrnych sandałach błądź świt, niby dziewczyny lęk” - dokończywszy, wzruszył ramionami.

Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

- Jak to się stało, że to znasz? Co właściwie studiowałeś w college'u?

- To i owo.

Teraz ona uśmiechnęła się szeroko, oparła łokcie na stoliku.

- Ja też. Doprowadzałam moich opiekunów do szału. Nie potrafiłabym ci powiedzieć, ile razy słyszałam, że brak mi celu.

- Ale możesz cytować Oscara Wilde'a o piątej rano. Potrafisz strzelać z trzydziestki ósemki, rozprawić się z facetem jak kickbokser, jesz jak wilk, znasz się na starożytnych rzymskich bóstwach i założę się, że robisz wspaniałe piwo z młotkiem.

- Najlepsze w mieście. Oto my, Jack, dwójka ludzi, o których większość naszego społeczeństwa powiedziałaaby, że jesteśmy zbyt wykształceni jak na rodzaj wykonywanej

---

\* Oscar Wilde: Dom rozpusty. Tłum. Andrzej Nowicki. W: Poeci języka angielskiego T. 3. Warszawa 1974, s. 43

pracy, pijemy kawę o jakiejś barbarzyńskiej porze, a ciemne typy w furgonetce z jednym światłem polują na nas i na piękny kamień, który masz w kieszeni. Jest czwarty lipca, znamy się mniej niż dwadzieścia cztery godziny, poznaliśmy się w okolicznościach najgorszych z możliwych, a osoba, która nas ze sobą zetknęła, jest martwa jak kłoda.

Odsunęła talerz na bok.

- Co robimy teraz?

Wyciągnął z kieszeni banknoty, rzucił je na stolik.

- Idziemy do łóżka.

Pokój w motelu był nadal wilgotny, ciasny i ponury. Cienkie prześcieradła w kwiatki były nadal zmięte tak jak przed kilkoma godzinami.

Zaledwie parę godzin, pomyślała MJ. Miała wrażenie, że minęło wiele dni, całe miesiące i lata. Wydawało się jej, że zna Jacka od zawsze. Patrząc, jak wyjmuje rzeczy z kieszeni i kładzie je na toaletkę, uświadomiła sobie, że stał się istotną częścią jej samej. Na zawsze.

Gdyby to nie wystarczało, pozostawało jeszcze pożądanie. Może takie pożądanie jak to jest czymś najlepszym w życiu. Jest tym, czego można się uchwycić, kiedy twój świat chwieje się w posadach. Nie było przecież niczego i nikogo, komu mogłaby zaufać, prócz Jacka.

Dlaczego miałyby powiedzieć nie? Dlaczego miałyby zrezygnować z namiętności i z ukojenia? Uciec od życia?

Dlaczego miałyby odwrócić się od Jacka, skoro instynkt mówił jej, że on potrzebuje tego wszystkiego tak samo jak ona?

Zwrócił się twarzą do niej i czekał. Mógłby ją uwieść. Nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Była teraz kłębkim nerwów, czy zdawała sobie z tego sprawę, czy nie. Była bezbronna i potrzebowała ukojenia, a on był obok.

Czasami wystarczało tylko tyle.

Mógłby ją uwieść, zrobiłby tak, gdyby to nie było takie ważne. Gdyby ona nie była dla niego tak niewytłumaczalnie i niezwykle ważna. Seks byłby wyzwoleniem, odprężeniem, czysto fizycznym aktem między dwojgiem dorosłych ludzi.

Jedynie tego powinien chcieć.

Ale on chciał więcej. Nieporównanie więcej.

Został tam, gdzie był, obok toaletki, a ona stała w noga łóżka.

- Chciałbym coś powiedzieć - zaczął.

- Mów.



- Będę ci pomagał, dopóki to się nie skończy, ponieważ właśnie tego chcę. Zawsze kończę to, co zaczynam. Nie chcę niczego, co wynika z wdzięczności czy poczucia obowiązku.

Gdyby serce tak jej mocno nie biło, pewnie by się uśmiechnęła.

- Rozumiem. A więc, gdybym zaproponowała ci, żeby przespał się w wannie, nie stanowiłoby to dla ciebie problemu?

Oparł się biodrem o toaletkę.

- To byłby twój problem, nie mój. Jeśli właśnie tego chcesz, możesz spać w wannie.

- Cóż, nigdy nie twierdziłeś, że jesteś dżentelmenem.

- Nie, ale będę trzymał ręce z dala od ciebie.

Przekrzywiła głowę, obserwowała go. Wyglądał niebezpiecznie, bardzo niebezpiecznie. Puls jej przyspieszył. Ciemny zarost, grzywa włosów, szare oczy płonące w surowej, pociągłej twarzy.

Myślał, że daje jej wybór.

Zastanawiała się, czy któreś z nich jest na tyle naiwne, by wierzyć, że ona ma jakiś wybór.

Uśmiechnęła się, powoli, wyniośle. Nie odrywając wzroku od jego oczu, opuściła ręce, wyciągnęła podkoszulek z džinsów. Widziała, jak jego spojrzenie przenosi się na jej dłonie i śledzi ich ruchy, podczas gdy ona zdejmuje podkoszulek przez głowę i odrzuca go na bok.

- Chciałabym widzieć, jak próbujesz trzymać ręce ode mnie z daleka - powiedziała cicho i odpięła dzinsy.

Wyprostował się na nagle miękkich nogach, kiedy zaczęła rozsuwać zamek błyskawiczny.

- Zostaw, ja chcę to zrobić.

- Proszę bardzo.

Jej ramiona były długimi zachwycającymi krzywiznami. Jej piersi, drobne i białe, zmieściłyby się z łatwością w męskiej dłoni. Powoli, starając się nie spieszyć, podszedł do niej, uchwycił metalowy języczek suwaka między kciuk a palec wskazujący i opuścił powoli w dół. Nie odrywając wzroku od jej twarzy, wsunął dłoń za rozpięte dzinsy i dotknął jej.

Czuł ją, gorącą, nagą. Czuł, jak drży z powstrzymywanej napiętości.

- Wiedziałem, że tak będzie.

Wypuściła ostrożnie powietrze i choć z trudem zaczerpnęła kolejny haust, nie odmówiła sobie ironicznego:

- Skąd ta pewność?

Zsunął jej dzinsy o kolejny centymetr i objął dłońmi pośladki.

- Jesteś stworzona do szybkości, MJ. To dobrze, bo nic nie będzie działało się wolno. Chyba nie potrafiłbym teraz zrobić tego powoli. - Mocno przycisnął ją do siebie, aby wiedziała, jak rozpaczliwie jej pragnie. - Po prostu będziesz musiała dotrzymać mi kroku.

Zatonęła roziskrzonymi oczami w jego wzroku, uniosła podbródek w wyzwaniu.

- Do tej pory nie miałam kłopotu z dotrzymywaniem ci kroku.

- Do tej pory tak - zgodził się, a kiedy unióś ją w powietrze i przycisnął zachłanne wargi do jej piersi, zabrakło jej tchu.

To było oszałamiające, wspaniałe doznanie, dreszcz, który zapowiadał największą rozkosz. Objęła Jacka za szyję, a nogi zacisnęła wokół jego pasa, oddając mu się cała. Ocieranie się jego brody o skórę, dotyk zębów, muskanie języka - wszystko wywoływało osobne, oszałamiające kolejne dreszcze rozkoszy.

Spleceni upadli na łóżko - szalony skok ze skały. Zaciśnięcie jego dłoni na jej - kolejne ogniwo łańcucha. Jego zachłanne usta na jej ustach - natarczywe pytanie, na które możliwa była tylko jedna odpowiedź.

Usiłowała ściągnąć mu koszulę. W końcu zniecierpliwiona, zdarła ją i rzuciła na podłogę. Teraz oboje byli nadzy do pasa.

Odkryła u Jacka stalowe mięśnie i liczne blizny - ślady potyczek. Jej dłonie i usta były nie mniej niecierpliwie niż jego. Jej pragnienia równie gwałtowne.

Ni to z przysięgą, ni modlitwą obrócił ją na wznak i zaczął się zmagać z jej obcisłymi dzinsami. Ściągając je, ustami zapamiętałe wytyczał ścieżkę w dół jej ciała. Pożądanie oślepiało go, odbierało mu oddech i brutalnie atakowało zmysły. Żaden głód nie był tak dokuczliwy, tak ostry i dojmujący jak głód jej ciała. Wiedział tylko, że jeśli za chwilę nie będzie jej miał, skona z pragnienia niczym zagubiony wędrowiec na pustyni.

Długie, nagie członki, energia pulsująca w każdym skrawku ciała, ten chrapliwy, zdyszany oddech, wszystko to sprawiało, że krew wrzała mu w żyłach i przepalała serce. Oszalały z pożądania, mocnym szarpnięciem unióś jej biodra i sięgnął po nią ustami.

Spazm spełnienia przeszedł przez MJ jedną grzmiącą, spiętrzoną falą. Szlochała z zaskoczenia i rozkoszy. Paznokciami drapała bezwiednie jego plecy, w górę i w dół, aż w końcu ukryła je w gęstej czuprynie o złotych końcach. Pozwoliła, żeby ją unicestwił, co więcej, przyjęła to z zachwytem. I z ciałem wciąż drżącym od tego gwałtownego ataku, przewróciła go na plecy, by zedrzeć z niego resztę ubrania.

Czuła, jak wali mu serce. Słyszała je. Ich ciała, śliskie od potu, ocierały się o siebie podczas miłosnych zapasów. Odnalazł jej kobiecość, doprowadził do tego, że nie mogła już dłużej czekać. Gdyby była w stanie mówić, powiedziałaaby mu o tym. Zamiast tego ścisnęła go mocno udami i wzięła w siebie, szybko i głęboko.

Jack doznał dojmującego uczucia szczęścia i spełnienia, choć był to dopiero oszałamiający początek miłosnych uniesień.

Wyzwolenie dopiero miało nadejść, a on już wiedział, należy do MJ, że zaprzedał jej ciało i duszę.

Potem zaczęła się poruszać, popędzając go bezlitośnie w szaleńczym wyścigu. Jej oddech przeszedł w łkanie, palce wplątała w jego włosy. W miłosnym zapamiętaniu zdał sobie sprawę, że ona należy do niego.

Unióśł się gwałtownie, jego nienasycone wargi błędziły po jej piersiach, po szyi, wszędzie, gdzie mógł jej posmakować, podczas gdy poruszali się razem w odwiecznym miłosnym rytmie.

Potem wziął ją w ramiona, wymawiając jej imię. Ich złączonymi ciałami wstrząsały dreszcze.

Pozostali w swoich objęciach, połączeni, drżący. Czas przestał dla niego istnieć. Poczuł, jak jej uścisk słabnie, a ręce ześlizgują się z jego pleców. Pocałował ją delikatnie w ramię. Położył się na plecach, pociągając ją za sobą tak że teraz spoczywała rozciągnięta na jego piersi.

Pogłaskał ją po głowie i mruknął:

- To był ciekawy dzień. Udało jej się słabo zachichotać.

- W sumie tak.

Niewykluczone, że są szaleni, pomyślała. To pewne, szaleństwem było czuć się tak szczęśliwie, tak doskonale, kiedy wszystko wokół się waliło.

Mogłaby mu powiedzieć, że nigdy przedtem nie poszła z mężczyzną do łóżka tak szybko albo że nigdy nie czuła takiej więzi i bliskości.

Ale miała wrażenie, że nie o to chodzi. To, co się z nimi działo, po prostu się działo. Otworzyła oczy, spojrzała na kamień spoczywający na blacie odrapanej toaletki. Czyżby świecił? - zastanowiła się. Czy to tylko gra świateł w pokoju?

Jaką moc miał naprawdę, poza wartością materialną? W końcu to tylko kawałek węgla, któremu pewne pierwiastki nadały ten niezwykle intensywny kolor. Rósł w ziemi, pochodził z ziemi i ludzkie ręce go stamtąd wyrwały.

A kiedyś trzymały go dłonie boga.

Drugi kamień symbolizował wiedzę, pomyślała i zamknęła oczy. Może o niektórych sprawach wie tylko serce.

- Powinnaś się przespać - powiedział cicho Jack. Ton jego głosu sprawił, że zaczęła się zastanawiać, dokąd zabłądziły jego myśli.

- Może. - Zsunęła się i wyciągnęła na brzuchu w poprzek łóżka. - Moje ciało jest zmęczone, ale nie potrafię wyłączyć głowy. - Znow się zaśmiała. - Albo nie mogę teraz, kiedy już jestem w stanie myśleć. Kochanie się z tobą naprawdę wyczerpuje mózg.

- To wspaniały komplement. - Usiadł, przesunął dłoń po jej ramieniu, w dół pleców, zatrzymując się na krótko na łagodnym zaokrągleniu pośladków. Zaintrygowany, zmrużył oczy, pochylił się bliżej. Po czym uśmiechnął się szeroko. - Niezły tatuaż, złotko.

Uśmiechnęła się, wtulona twarzą w rozgrzane, pomięte prześcieradła.

- Dzięki. Lubię go. - Zamrugnęła, kiedy zapalił nocną lampkę. - Hej! Zgaś światło.

- Chciałem tylko się przyjrzeć. - Rozbawiony, potarł kciukiem barwny rysunek na jej pośladku. - To gryf, prawda?

- Masz dobre oko.

- Symbol siły. I czujności.

Odwróciła głowę tak, żeby widzieć jego twarz.

- Wiesz najdziwniejsze rzeczy, Jack. Ale to prawda, właśnie dlatego go wybrałam. Grace wpadła na pomysł, żebyśmy zrobiły sobie tatuaż, wszystkie trzy, z okazji ukończenia studiów. Pojechałyśmy na weekend do Nowego Jorku i każda z nas zafundowała sobie malutki obrazek na pupie. Na myśl o przyjaciółkach spoważniała.

- To był szalony weekend. Zmusiłyśmy Bailey, by poszła pierwsza, ponieważ bałyśmy się, że stchórzy. Wybrała jednorożca. Pasuje do niej.

- Daj spokój, przestań o tym myśleć. - Był śmiertelnie przerażony, że MJ zacznie szlochać. - Z tego, co wiemy, wszystko z nią w porządku. Nie ma sensu doszukiwać się kłopotów tam, gdzie ich nie ma - ciągnął, masując jej plecy. - Mamy mnóstwo własnych. Za parę godzin zabierzemy się stąd, ruszymy w drogę, trochę pojeździmy i spróbujemy zadzwonić do Grace.

- Dobrze. - Opanowała się jakoś. - Może...

- Czy w college'u trenowałaś biegi?

- Słucham?

Właśnie o to mu chodziło. Ta nagła zmiana tematu oderwała ją od zmartwień.

- Czy trenowałaś biegi? Masz ciało biegaczki i jesteś szybka.

- Tak, rzeczywiście. Biegałam na tysiąc pięćset metrów. Nigdy nie przepadałam za sztafetą. Nie nadaję się też do gier zespołowych.

- Tysiąc pięćset metrów, mówisz? - Przekręcił ją na plecy i nie przestając się uśmiechać, czubkiem palca obrysował krzywiznę jej piersi. - Musisz być wytrzymała.

Ściągnęła brwi.

- To prawda.

- Wigor. - Przygniótł ją swoim ciałem.

- Absolutnie.

Pochylił głowę, muskał jej wargi.

- I chcesz wiedzieć, jakie tempo sobie nadać, żeby mieć wiatr na końcówce.

- A pewnie.

- To mi odpowiada. - Delikatnie ugryzł płatek jej ucha. - Bo tym razem ja zamierzam zadbać o odpowiednie tempo. Znasz to powiedzenie, MJ? To o tym, że wyścig wygrywa się powoli i spokojnie?

- Chyba coś o tym słyszałam.

- A może to sprawdzimy? - zapytał i przystąpił do działania.

Zasnęła. Miał nadzieję, że tak będzie. Z twarzą wtuloną w poduszkę, zadumał się, obserwując MJ, leżącą w poprzek łóżka. Poglądził ją po głowie. Po prostu nie miał dość dotykania jej. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek czuł taką potrzebę dotykania kobiety. Chociażby tylko muśnięcie ramienia, splecenie palców.

Obawiał się, że jest śmiesznie sentymentalny, i był zadowolony, że MJ śpi.

Mężczyzna o reputacji pozbawionego uczuć, zaprawionego w bojach cynika nie chciałby, żeby go przyłapano, jak po udanym zbliżeniu marzy na jawie u boku śpiącej kobiety.

Chciał znów się z nią kochać. To przynajmniej było dla niego zrozumiałe. Zatracić się w seksie, skoro tak doskonale do siebie pasowali, czemu nie?

Poddałaby mu się, wiedział o tym, gdyby o to poprosił. Mógł obudzić ją teraz, podniecić ją, zanim całkiem się rozbudzi. Otworzyłaby się dla niego, wzięła go w siebie, podążyła z nim do krainy rozkoszy. Rzecz w tym, że za bardzo do siebie pasowali. To go niepokoiło. Poza tym, MJ potrzebowała snu.

Pod oczami, tymi ciemnozielonymi oczami czarownicy, miała cienie. A kiedy z jej skóry znikł rumieniec namiętności, zauważył, że policzki ma blade i zapadnięte ze zmęczenia wyraźnie zaznaczone kości policzkowe podkreślone łukiem jedwabistej skóry.

Przycisnął palce do oczu. Tego tylko brakowało. Jeszcze trochę, a będzie komponował odę albo zajmował się czymś równie upokarzającym.

A więc przesunął ją delikatnie i ułożył się wygodniej. Połpi godzinę, pomyślał sennie, nastawiając swój wewnętrzny zegar. A potem powrócą do rzeczywistości.

Zamknął oczy i się wyłączył.

MJ obudził szum deszczu. Przypominał jej leniwe poranki, letnie deszcze. Wtuliła wtedy głowę w poduszkę, przechodząc od snu do snu.

Zrobiła to teraz, znów zapadając w drzemkę.

*Koń przeskoczył wąski, płytki strumień, w którym niebieszczyła się woda. Jej serce skoczyło wraz z nim. Chwyliła mężczyznę mocniej. Pachniał skórą i potem.*

*Wokół nich, niczym żołnierze na warcie, wznosiły się wprost w niebo pnie rozpalone olbrzymim, oślepiającym białym słońcem Upał był nie do zniesienia.*

*Mężczyzna miał czarny ubiór, ale nie był jej rycerzem. Twarz była ta sama - twarz Jacka - ukryta pod czarnym kapeluszem Z szerokim rondem. Na biodrach, zamiast srebrnego miecza, zwisał mu pas z kaburą.*

*Przednimi rozciągała się jałowa ziemia, rozległa jak morze, z falami skał, o krańcach ostrych jak naostrzone noże. Jeden nierozważny krok i ziemia byłaby zroszona ich krwią.*

*Ale on podązał bez leku naprzód, a ona czuła tylko moc i podniecenie pędem.*

*Kiedy ściągnął cugle i obrócił się w siodle, wpadła w jego ramiona. Przywitała twarde, zachłanne wargi swoimi ustami.*

*Podawała mu kamień, który oślepił błękitnym blaskiem.*

*- Pasuje do tamtych dwóch. Miłość potrzebuje wiedzy, a obie wymagają hojności.*

*Wziął go od niej, wsadził do kieszeni na sercu.*

*- Jeden znajduje drugi. Oba wskażą drogę do trzeciego. - Oczy mu zapłonęły, - A ty należysz do mnie.*

*W cieniu skały rozwinął się wąż, wysyczał ostrzeżenie. Zaatakował.*

MJ podskoczyła na łóżku ze zduszonym w gardle krzykiem. Obie dłonie przycisnęła do serca, które waliło jak oszalałe. Zachwiała się, wciąż walcząc z upadkiem we śnie.

Wąż, pomyślała, wstrząsając się. Wąż o oczach mężczyzny.

Boże. Usiłowała opanować lęk, który nią nagle zawładnął. Jak to się stało, że jej sny stały się tak wyraziste, tak realne i tak dziwne zarazem.

Zamiast znów się położyć, znalazła podkoszulek - Jacka - i nałożyła go. W głowie wciąż się jej kręciło, więc dobrą chwilę trwało, zanim zorientowała się, że dobiegający do niej dźwięk to nie deszcz, tylko szum prysznic.

Sama świadomość, że on jest po drugiej stronie drzwi, odpędziła resztki strachu.

Chlubiła się tym, że potrafi sobie poradzić w każdej sytuacji, ale jeszcze nigdy nie znalazła się w takim niebezpieczeństwie. Pomagała jej myśl, że jest ktoś, kto stanie u jej boku.

I tak będzie. Uśmiechnęła się i potarła zaspane oczy. On się nie cofnie, nie odejdzie. Będzie trwał i wraz z nią zmierzy się z potworami czającymi się w zaroślach, z węzami kryjącymi się w cieniu skał.

Wstała i przeciągnęła dłońmi przez włosy. W tym momencie otworzyły się drzwi łazienki.

Stanął w nich Jack, a za nim wysnuł się kłęb pary. Był owinięty w pasie starym białym ręcznikiem, a na jego ciele lśniły jeszcze krople wody. Mokre włosy sięgały mu do ramion, złoto przeświecało przez brąz.

Jack uprzytomnił sobie, że powinien się jeszcze ogolić.

MJ stała bez ruchu, z ciężkimi od snu powiekami, z potarganymi włosami, w zmiętym, postrzępionym na brzegu podkoszulku sięgającym jej do połowy uda.

Przez dobrą chwilę wpatrywali się w siebie bez słowa.

Była tu, tak realna i żywa w tym nędznym pokoiku. I lśniła tak jasno, tak żywo, jak kamień, który przywiódł ich do tego punktu.

Jack potrząsnął głową, jakby uwalniał się od resztek snu - być może równie realnego i niepokojącego jak ten, z którego przebudziła się MJ. Oczy mu pociemniały z irytacji.

- To głupie.

Gdyby podkoszulek miał kieszenie, wcisnęłaby w nie ręce. Zamiast tego skrzyżowała ramiona na piersi i spojrzała na niego, marszcząc czoło.

- Tak.

- Nie szukałem tego.

- A myślisz, że ja szukałam?

Uśmiechnęłyby się w odpowiedzi na oburzenie wyraźnie słyszalne w jej głosie, gdyby nie był zbyt zajęty rzucaniem gniewnych spojrzeń i desperackimi próbami ucieczki przed tym, co właśnie trafiło go prosto w serce.

- To miała być tylko cholerna praca.

- Nikt cię nie prosi, żebyś traktował to inaczej. Mrużąc oczy, zrobił krok ku niej.

- Cóż, wyszło inaczej.

- Tak, wyjątkowo się z tobą zgadzam. Co zamierzasz z tym zrobić?

- Rozwiążę to jakoś. - Podeszedł do toaletki, wziął do ręki kamień, znów go odłożył. - Myślałem, że to sprawa okoliczności, ale tak nie jest. - Odwrócił się i przyjrzał jej twarzy. - To mogłoby się zdarzyć i tak.

Jej serce zwolniło tempo, zamierało.

- Ja tak to czuję.

- Dobrze. Ty pierwsza.

- No, no. - Po raz pierwszy, odkąd otworzył drzwi, jej wargi zadrgały. - Ty.

- Do diabła. - Przeciągnął dłońmi przez mokre włosy, czuł się jak kompletny idiota. - Dobrze, dobrze - mruknął, chociaż czekała w milczeniu, cierpliwie. Nerwy wybijały mu rytm pod skórą, mięśnie napięły się, ale spojrzał jej prosto w oczy.

- Kocham cię.

W odpowiedzi wybuchnęła śmiechem, na dźwięk którego zacisnął zęby, aż mięsień zadrgał mu w policzku.

- Jeśli sądzisz, że uda ci się zrobić ze mnie idiotę, kotku, przemyśl to jeszcze raz.

- Przepraszam. - Stłumiła kolejny wybuch śmiechu. - Ale miałaś taką zboląłą, nieszczęśliwą minę. Romantyzm tej sceny poruszył najczulsze struny mego serca.

- Czyżbyś chciała, żebym to wyśpiewał?

- Może później. - Znów się roześmiała, jej radosny śmiech wypełnił pokój. - Teraz nie będę cię dłużej dręczyć. Ja też cię kocham. Tak lepiej?

- Mogłabyś przynajmniej spróbować być odrobinę poważniejsza. Nie uważam, że to powód do śmiechu.

- Popatrz na nas. - Przycisnęła dłoń do ust i usiadła w nogach łóżka. - Jeśli to nie jest powód do śmiechu, to nie wiem, co nim jest.

Tu go miała. Właściwie, uświadomił sobie, miała go, kropka. Teraz jego wargi wykrzywiły się w wyrazie zdecydowania.

- W porządku, kotku. Zamierzam właśnie zetrzeć ten drwiący uśmieszek z twojej twarzy.

- Zobaczymy, czy potrafisz.

Uśmiechnęła się prowokująco, kiedy pchnął ją z powrotem na łóżko.



## ROZDZIAŁ 8

Nie ma wyjścia, trzeba się nauczyć ustępować mu w pewnych sprawach, uznała MJ. Na tym polega kompromis, na tym polega związek dwojga ludzi, tłumaczyła sobie w duchu. Rzeczywiście, on ma większe doświadczenie niż ona w takich sytuacjach. Przecież jest rozsądną kobietą, potrafi wziąć sobie do serca wskazówki i posłuchać rad. Akurat.

- Co jest, Jack, czy musimy dotrzeć do granic Mongolii, żeby wykonać jeden głupi telefon?

Obrzucił ją szybkim spojrzeniem. Jechali dokładnie od dziesięciu minut. Jak na nią i tak długo powstrzymała się od narzekań. Jest niespokojna, tłumaczył sobie. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny były dla niej trudne. Postanowił być cierpliwy.

Niestety, nie bardzo mu się udało.

- Jeśli spróbujesz zadzwonić z tego telefonu, zanim ci pozwolę, wyrzucę go przez okno.

Zabębniła palcami o mały kieszonkowy aparat.

- Odpowiedz mi tylko na jedno pytanie. Jakim cudem ktoś zdołałby wyśledzić nas przez to urządzenie? Jesteśmy w środku buszu.

- Jesteśmy o niecałą godzinę drogi od Waszyngtonu, miejska dziewczyno. Byłabyś zaskoczona, gdybym powiedział ci, co i jak szybko można wyśledzić.

Na dobrą sprawę, sam nie był całkowicie pewny, czy rzeczywiście można to zrobić. Przypuszczał, że technicznie jest to możliwe. Jeśli telefon jej przyjaciółki jest na podsłuchu, a ci, którzy ich ścigają, mają odpowiedni sprzęt, częstotliwość jej komórki mogłaby posłużyć za ślad.

Nie chciał zostawiać śladów.

- W jaki sposób?

Bał się, że go o to spyta.

- Słuchaj, ta zabawka to rodzaj radia, mam rację?

- Tak, i co z tego?

- Radia mają częstotliwości. Nastawiasz na jakąś częstotliwość, prawda? - Na tym kończyły się jego wiadomości z elektroniki. Z ulgą zobaczył, że MJ ściąga wargi i zamyśla się. - Poza tym dobrze by było, żeby między miejscem, w którym się znajdujemy, a tym, gdzie się zatrzymamy, był pewien dystans. Gdyby na ogonie siedziało nam FBI, chciałbym zmusić ich do jeżdżenia w kółko.

- A czego mogłoby chcieć od nas FBI?

- To tylko przykład. - Z coraz większym trudem nad sobą panował. - Po prostu zastanów się nad tym, MJ, i zacznij myśleć racjonalnie.

Naprawdę próbowała. Usiłowała wytłumaczyć sobie, że przecież minął zaledwie dzień, jeden dzień.

Tak, tylko że tego jednego dnia zmieniło się całe jej życie.

- Mógłbyś przynajmniej powiedzieć mi, dokąd jedziemy.

- Chcę pojechać autostradą numer piętnaście na północ, do Pensylwanii.

- Do Pensylwanii?

- Stamtąd będziesz mogła zadzwonić. Później skierujemy się na południowy wschód, w kierunku Baltimore. - Rzucił jej spojrzenie. - Jeśli Orioles są w mieście, moglibyśmy skoczyć na mecz.

- Chcesz iść na mecz?

- Słuchaj, jest czwarty lipca. Mecze, piwo, parady i fajerwerki. Niektóre obyczaje są święte.

- Kibicuję Jankesom.

- Nie ma sprawy. Chodzi o to, że stadion to świetne miejsce, żeby zgubić się w tłumie na parę godzin. I dobre miejsce na spotkanie, jeśli uda ci się skontaktować z Grace.

- Grace na meczu baseballowym? - Parsknęła. - A to dobre.

- To niezły kamuflaż - zaczął. Nagle zmarszczył czoło. - Czy twoja przyjaciółka ma coś przeciwko uświęconym w Ameryce sposobom spędzania wolnego czasu?

- Sport jest niezupełnie w guście Grace. Do niej pasuje raczej wzbudzający sensację pokaz mody albo porywająca opera.

- Jakim cudem zostaliście przyjaciółkami? - Jack nie mógł wyjść z podziwu.

- Słuchaj, naprawdę chodzę do opery.

- Skuta łańcuchami? Musiała się roześmiać.

- Szczerze mówiąc, tak. Tak, jesteśmy przyjaciółkami. - Westchnęła. - Na pewno trudno zrozumieć, jak to jest możliwe, kiedy się patrzy na to z boku. Naukowiec, szalona Irlandka i księżniczka. Ale po prostu przypadłyśmy sobie do gustu i tyle.

- Opowiedz mi o nich. Zacznij od Bailey, bo, zdaje się, ona tkwi u źródła tego wszystkiego.

- W porządku. - Wzięła głęboki oddech, popatrzyła przez okno, za którym szybko przesuwały się drzewa i wzgórza, typowe wiejskie krajobrazy. - Jest urocza, sprawia wrażenie niezwykle delikatnej. Blondynka, z brązowymi oczami, o cerze koloru płatków róży. Ma

słabość do ładnych rzeczy, różnych uroczych drobiazgów, jak na przykład słonie. Kolekcjonuje je. W ubiegłym miesiącu podarowała jej słonia wyrzeźbionego w steatycie.

Na wspomnienie tego zwyczajnego, prostego gestu zacisnęła wargi.

- Lubi stare filmy, zwłaszcza z gatunku *film noir* i czasami bywa odrobinę marzycielska, ale potrafi dążyć do celu. Z nas trzech w college'u ona była jedyną, która dokładnie wiedziała, czego chce, i robiła wszystko, żeby to osiągnąć.

Bailey z tego opisu podobała się Jackowi.

- A czego chciała?

- Gemmologii. Fascynuje się skałami, kamieniami. Nie tylko ozdobnymi. Od czasu do czasu rozmawiamy o tym, jak to na parę tygodni wybierzemy się do Paryża, wszystkie trzy, ale w ubiegłym roku wylądowałyśmy w końcu w Arizonie, szukając kamieni. Była w swoim żywiole. Życie Bailey nie było usłane różami. Jej ojciec zmarł, kiedy była dzieckiem. Zajmował się handlem antykami - więc to jest jej kolejna słabość, piękne starocie. Uwielbiała ojca. Matka po jego śmierci próbowała utrzymać interes, ale to nie było łatwe. Mieszkały w Connecticut. Wciąż ma akcent Nowej Anglii. To stylowe.

Przez chwilę milczała, usiłując opanować dręczący ją niepokój.

- Matka po paru latach wyszła ponownie za mąż, sprzedała firmę i przeniosła się do Waszyngtonu. Bailey lubiła ojczyma. Traktował ją dobrze, rozbudził w niej zainteresowanie kamieniami szlachetnymi, to była jego dziedzina, i posłał ją do college'u. Była jeszcze nastolatką, kiedy jej matka zginęła w wypadku samochodowym. Jej ojczym zmarł trochę później. To był niełatwy czas dla Bailey.

- To trudne, wciąż tak tracić bliskich.

- Tak. - Spojrzała na Jacka, pomyślała o tym, że on stracił ojca, brata, matkę. Być może nigdy nie miał ich naprawdę. - Ja nigdy nikogo nie straciłam.

Odgadł, dokąd podążyły jej myśli, i wzruszył ramionami.

- Można to znieść. Po prostu życie toczy się dalej. Czy z Bailey tak nie było?

- Tak, ale to ją zraniło. Takie odejścia zostawiają ślady, Jack.

- Ludzie jakoś z tym żyją.

Zdała sobie sprawę, że on nie chce o tym rozmawiać, i powróciła do przerwane go wątku.

- Ojczym zostawił jej w spadku udziały w firmie. Co nie przypadło do gustu tym padalcom.

- Rozumiem, padalcom.

- Thomas i Timothy Salvini, nawiasem mówiąc, to bliźniacy, podobni do siebie jak dwie krople wody. Oślizgłe typy w drogich garniturach i z fryzurami po sto dolarów.

- To jeden powód, by ich nie lubić - zauważył Jack. - Ale dla ciebie nie najważniejszy.

- Nie. Nigdy nie podobał mi się ich stosunek do Bailey i do kobiet w ogóle. Najprościej można ująć to tak. Bailey od początku uważała ich za swoją rodzinę, ale jej uczucie nie zostało odwzajemnione. Zwłaszcza Timothy bywał wobec niej przykry. Mam wrażenie, że przed śmiercią ojca starali się ją ignorować, a potem wściekli się, kiedy na mocy testamentu odziedziczyła część przedsiębiorstwa Salvinich.

- Co to za przedsiębiorstwo?

- Szanowna, z tradycjami firma jubilerska. Projektują, kupują, sprzedają kamienie i biżuterię, przygotowują wyceny, opracowują ekspertyzy.

- Salvini... Nie mogę powiedzieć, żebym o nich słyszał, ale nie kupuję zbyt wielu świecidełek.

- Sprzedają wspaniałe - zwłaszcza te, które wymyśla Bailey. Prowadzą też konsultacje dla muzeów i prywatnych właścicieli. Tym zajmuje się przede wszystkim Bailey. Chociaż uwielbia projektować biżuterię.

- Jeśli Bailey zajmuje się projektowaniem i sporządza ekspertyzy, co robią kochani braciszkanie?

- Thomas zajmuje się sprawami organizacyjnymi przedsiębiorstwa: księgowość, sprzedaż, podróże mające na celu rozpoznawanie źródeł klejnotów. Timothy, kiedy ma na to ochotę pracuje w laboratorium, a poza tym lubi przechadzać się salonie wystawowym, udając ważniaka.

Nerwowo wyciągnęła rękę w stronę guzików przy stereo i dostała po łapach.

- Ręce z daleka.

- Przewrażliwiony na punkcie zabaweczek, mam rację? - mruknęła. - Wracając do tematu, to dość snobistyczna niewielka firma o ustalonej renomie. To dzięki kontaktom Bailey ze Smithsonian Institute Salvini dostali do oceny Trzy Gwiazdy Mitry. Kiedy udało się jej to załatwić, skakała do sufitu. Wprost nie mogła się doczekać, kiedy dotknie diamentów, zbada je na tych wszystkich tajemniczych urządzeniach w pracowni.

- A więc to jej powierzono potwierdzenie ich autentyczności i wycenę.

- Właśnie. Nie mogła się doczekać, żeby je nam pokazać, więc w zeszłym tygodniu Grace i ja wybrałyśmy się do niej do laboratorium. Wtedy zobaczyłam kamienie po raz pierwszy - ale wyglądały dziwnie znajomo. Imponujące, prawie nierzeczywiste, a jednak znajome. Pewnie dlatego, że Bailey opisała je nam tak dokładnie. - Poruszyła ramionami,

chcąc otrząsnąć się z wrażeń i wspomnień niedawnych snów. - Widziałeś jeden z nich, dotykałeś go. Jest wspaniała. Widok wszystkich trzech wprost zapiera dech.

- Zdaje się, że również uśpiły czyjeś sumienie. Jeśli Bailey jest tak uczciwa, jak mówisz...

- Jest uczciwa - przerwała mu MJ.

- W takim razie będziemy musieli przyjrzeć się uważniej jej przyrodnim braciom.

Uniosła brwi.

- Czy oni odważyliby się na próbę kradzieży Trzech Gwiazd? - myślała głośno. - Czy to dlatego Ralph mógł szantażować jednego z nich, a nie z powodu hazardu?

- Nie.

- Cóż, dlaczego nie? - Po chwili pokręciła głową, odpowiadając na swoje pytanie. - Nie mogło tak być. Płatności zaczęły się parę miesięcy temu, a oni stosunkowo niedawno zawarli tę umowę ze Smithsonian.

- Właśnie.

Zastanawiała się nad tym jeszcze przez chwilę.

- A może zamierzali ukraść brylanty? Gdyby próbowali oszukać Smithsonian, zniszczyłyby to ich firmę... firmę, którą ich ojciec budował w trudzie przez całe życie - dodała z namysłem. - I zniszczyłyby Bailey. Wystarczyłaby sama myśl o tym. Bailey zrobiłaby niemal wszystko, żeby do tego nie dopuścić.

- Na przykład coś takiego jak przesłanie kamieni dwóm osobom na świecie, do których mogła mieć pełne zaufanie.

- Tak. A potem stanęłaby twarzą w twarz z braćmi. Sama. - Strach ścisnął ją za gardło. - Jack...

- Myśl logicznie. - Jego głos był oschły, jakby chciał w ten sposób pokonać drzenie jej głosu. - Jeśli są zamieszani w tę sprawę, a na moje oko to całkiem możliwe, to znaczy, że mają klienta, kupca. I potrzebują wszystkich trzech diamentów. Bailey jest bezpieczna, dopóki ich nie mają. Jest bezpieczna, dopóki my jesteśmy nieuchwytni.

- Może są gotowi na wszystko. Może ją gdzieś przetrzymują. Może jest ranna.

- Zranienie to jeszcze nie zabicie. Potrzebują jej żywej, MJ. Tak długo, jak nie będą mieć w ręku wszystkich trzech kamieni. A z informacji, które właśnie mi dostarczyłaś, wynika, że twoja przyjaciółka może jest wrażliwa i naiwna, ale nie jest głupia.

- Masz rację. - Wzięła się w garść i spojrzała na aparat spoczywający na jej kolanach. Uprytomniła sobie, że telefon był ryzykiem nie tylko dla niej, ale dla nich wszystkich. - Jeśli zechcesz pojechać do Nowego Jorku, zanim będę mogła go użyć, nie będę protestować.

Uściskał jej dłoń.

- Nie pojedziemy na stadion Jankesów, choćbyś mnie nie wiem jak o to prosiła.

- Teraz jestem ci wdzięczna nie tylko za siebie. Powinam wcześniej zdać sobie z tego sprawę. Jestem ci wdzięczna za Bailey i za Grace. Złożyłam ich los w twoje ręce, Jack.

Odsunął rękę, zacisnął ją na kierownicy.

- Nie bądź taka sentymentalna, kotku. To mi działa na nerwy.

- Kocham cię.

To niespodziewane wyznanie zrobiło na Jacku wrażenie.

- Domyślam się, że chcesz, bym powiedział to znów. I to teraz.

- Tak.

- Niech ci będzie, kocham cię. Co oznaczają te inicjały, MJ? Zgodnie z jego przewidywaniami uśmiechnęła się.

- Posłuchaj, Jack, namiętny seks i deklaracje miłości to jedna sprawa. Ale nie znam cię na tyle długo, żeby odpowiedzieć na twoje pytanie.

- Martha Jane. Jestem przekonany, że to Martha Jane. Wydała z siebie paskudny bzyczący dźwięk.

- Pudło. Co oznacza, że tę rundę pan przegrał, życzymy szczęścia następnym razem.

Gdzieś przecież musi być świadectwo chrztu, zadumał się. W końcu je znajdzie. Przecież jest ekspertem w takich sprawach.

- Dobrze, opowiedz mi o Grace.

- Grace to skomplikowana kobieta. Jest absolutnie, niewiarygodnie piękna. To nie przesada. Widywałam dorosłych mężczyzn, którzy zmieniali się w jękających kretyńców po jednym spojrzeniu jej błękitnych, niewinnych oczu.

- Nie mogę się doczekać spotkania z nią.

- Prawdopodobnie na jej widok zapomnisz języka w gębie, ale nie szkodzi, nie jestem zazdrosna. A to całkiem zabawne widzieć, jak faceci topnieją przy Grace. Zwróciłeś uwagę na zdjęcia w moim portfelu, kiedy przeszukiwałeś mi torebkę, prawda?

- Tak, rzuciłem okiem.

- Jest tam kilka moich zdjęć z Grace i Bailey.

Pogrzebał w pamięci, skupił się. Nie zamierzał się przyznawać, że zaledwie zauważył blondynkę i brunetkę. Całą jego uwagę przyciągnęła ruda.

- Brunetka, w wielkim idiotycznym kapeluszu.

- Tak, to było na tej wyprawie w poszukiwaniu kamieni w ubiegłym roku. Poprosiliśmy jakiegoś turystę, żeby pstryknął nam fotkę. W każdym razie, ona jest

ośniewająca i uprzywilejowana. I osierocona. W dzieciństwie straciła obydwój rodziców i zamieszkała z ciotką. Fontaine'owie są obrzydliwie bogaci.

- Fontaine... Fontaine... - Mózg pracował mu intensywnie. - Tak jak domy towarowe Fontaine?

- Zgadłeś za pierwszym razem. To bogate, nudne, nadęte snoby. Grace uwielbia ich szokować. Oczekiwano od niej, że skończy studia na Radcliffe, wybierze się w obowiązkową podróż po Europie i usidli stosownie bogatego, nudnego, nadętego snoba. Nie wyraziła najmniejszej ochoty na współpracę, a ponieważ ma góry własnych pieniędzy, naprawdę nie dba ani trochę o to, co myśli o niej rodzina. - Przerwała i zamyśliła się. - Myślę, że nie dbałaby również wówczas, gdyby była spłukana. Pieniądze nie robią na niej wrażenia. Bawi się nimi, jest rozrzutna, ale nie szanuje ich.

- Ludzie, którzy zarabiają swoje pieniądze, szanują je.

- Ona nie jest nierobem, dziedziczką - najeżyła się natychmiast MJ, stając w obronie przyjaciółki. - Po prostu nie obchodzi jej, jeśli ludzie tak ją widzą. Prowadzi dyskretnie działalność charytatywną. Nie nadaje temu rozgłosu. Jest jedną z najhjojniejszych osób, jakie znam. I jest lojalna. Jak również pełna sprzeczności i humorzasta. Wyjeżdża na całe tygodnie, kiedy przychodzi jej ochota. Rusza w drogę i już. Celem podróży może być Rzym - albo Duluth. Po prostu musi jechać. Ma takie miejsce w zachodnim Maryland, coś w rodzaju wiejskiej posiadłości. Niewielki dom, ale za to hektary ziemi, z dala od cywilizacji.

Żadnych telefonów, żadnych sąsiadów. Zdaje się, że miała się tam wybrać w ten weekend.

Zamknęła oczy, próbując je sobie przypomnieć.

- Nie wiem, czy zdołałabym odnaleźć to miejsce. Byłam tam tylko raz, a w dodatku Bailey prowadziła. Kiedy wyjeżdżam z miasta, wszystkie te wiejskie drogi wydają mi się takie same. To gdzieś w górach, w pobliżu jakiegoś stanowego lasu.

- Może warto byłoby tam podjechać. Pomyślimy o tym. Czy wybrałaby się do rodziny w razie kłopotów?

- To ostatnie miejsce.

- A mężczyzna?

- Dlaczego liczyć na kogoś, kogo można jednym uśmiechem owinać wokół palca?

Nie, nie ma mężczyzny, do którego mogłaby się zwrócić.

Przez chwilę rozważał je słowa. Wtem kiwnął głową i ukazał zęby w uśmiechu.

- Grace Fontaine - Miss Kwietnia. To ten kapelusz na zdjęciu w twoim portfelu mnie zmylił. Nigdy nie zapomniabym tej... twarzy.

- Naprawdę? - wycedziła, poruszyła się na siedzeniu i spojrzała na niego znad okularów przeciwsłonecznych. - Czy spędzasz dużo czasu, ślaniąc się nad zdjęciami króliczków, Dakota?

- Robiłem to w przypadku Miss Kwietnia - przyznał pogodnie i położył rękę na sercu.

- O kurczę, jesteś kumpelką Miss Kwietnia.

- Ona ma na imię Grace i pozowała do tamtego zdjęcia całe wieki temu, kiedy byliśmy w college'u. Zrobiła to, żeby zirytować rodzinę.

- Dzięki Bogu. Zdaje się, że gdzieś mam to zdjęcie. Teraz przyjrzę mu się jeszcze dokładniej. Co za ciało - wspominał z lubością. - Kobiety zbudowane w ten sposób to dar dla męskiego rodu.

- Może zechciałbyś zjechać na pobocze i pomilczeć przez chwilę.

Spojrzał na nią, cały czas uśmiechając się łobuzersko.

- O rany, MJ, twoje oczy zrobiły się zieleńsze. A mówiłaś, że nie jesteś zazdrosna.

- Nie jestem. Na ogół. To sprawa godności. Snujesz jakieś obrzydliwe, lubieżne fantazje na temat mojej najlepszej przyjaciółki.

- Wcale nie obrzydliwe, zapewniam cię. Może lubieżne, ale na pewno nie obrzydliwe.

- Bez skargi przyjął uderzenie w ramię. - Ale to ciebie kocham, kotku.

- Przymknij się.

- Jak myślisz, czy podpisze dla mnie to zdjęcie? Może dokładnie w ...

- Ostrzegam cię.

Żarty żartami, pomyślał, ale mężczyzna podejmując niepotrzebne ryzyko, może wpaść w kłopoty. Na wiele sposobów. Zjechał z autostrady i skierował się na wschód.

- Poczekaj, myślałam, że jedziemy do Pensylwanii, żeby zadzwonić.

- Właśnie powiedziałaś, że Grace ma posiadłość w zachodnim Maryland. Nie byłoby mądrze jechać w tę stronę właśnie teraz. Zmiana planów. Najpierw skoczmy do Baltimore. Nie zastanawiaj się, tylko dzwoń. Myślę, że już na dobre pożegnaliśmy się z naszym małym rajem w motelu. - Uśmiechnął się i poklepał jej dłoń. - Nie martw się, kotku. Znajdziemy coś innego.

- Mam nadzieję, że nie uda się znaleźć takiego samego - mruknęła i pospiesznie wystukała numer. - Dzwonię.

- Nie rozmawiaj zbyt długo, nie mów, skąd dzwonisz. Powiedz jej tylko, żeby poszła do automatu w jakimś publicznym miejscu i oddzwoniła do ciebie.

- To ja... - zakłęła. - Automatyczna sekretarka. Tego właśnie się obawiałam. - Uderzyła niecierpliwie pięścią w kolano, kiedy ze słuchawki popłynął nagrany głos Grace. -



Grace, odbierz, do diabła. To pilne. Jeśli sprawdzisz wiadomości, nie wracaj do domu. Znajdź jakiś automat i zadzwoń na moją komórkę. Mamy kłopoty, poważne kłopoty.

- Streszczaj się, MJ.

- O Boże. Grace, uważaj na siebie. Zadzwoń. - Rozłączyła się. Z trudem łapała oddech. - Musi być w górach albo coś ją napadło i postanowiła spędzić święto w Londynie. Albo jest na plaży w Indiach Zachodnich. Albo... już ją znaleźli.

- Nie wygląda na damę, którą łatwo wytropić. Skłaniam się ku twojej pierwszej hipotezie. - Zawrócił samochód na autostradzie międzystanowej i skierował się na północ. - Pokręcimy się tu trochę, potem zatrzymamy i zatankujemy. I kupimy mapę. Zobaczmy, czy uda nam się pobudzić twoją pamięć i znaleźć kryjówkę Grace w górach.

Ta perspektywa uśmierzyła jej niepokój.

- Dzięki.

- Na uboczu, mówisz?

- W środku jakiegoś lasu, a las jest gdzieś na pustkowiu.

- Hm, nie przypuszczam, że chodzi tam nago. - Zaśmiał się cicho, kiedy go uderzyła. -

Tak sobie tylko pomyślałem.

Znaleźli stację benzynową i kupili mapę. Zatrzymali się na lunch w barze na postoju ciężarówek tuż obok autostrady międzystanowej, rozłożyli mapę na stoliku i zabrali się do dzieła.

- Cóż, popatrzmy, w zachodnim Maryland jest zaledwie jakieś pół tuzina stanowych lasów - zauważył Jack i nabrał na widelec trochę pieczeni rzymskiej. - Czy któryś z nich coś ci przypomina?

- A czym się różnią? Drzewa wyglądają zawsze tak samo.

- Prawdziwy z ciebie mieszczuch, wiesz?

Wzruszyła ramionami i odgryzła kęs sandwicza z szynką.

- A z ciebie nie?

- Chyba tak. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego lud chcą mieszkać w lasach czy w górach. Zawsze się zastanawia gdzie jedzą.

- W domu.

Spojrzeli na siebie, pokręcili głowami.

- Wieczorami przeważnie też - przytaknął. - A gdzie idą się rozerwać, odpocząć po pracy? Na patio. To przerażające.

- Żadnych ludzi, samochodów, żadnych restauracji i barów ani kin. Żadnego życia.

- Zgadzam się z tobą. Najwidoczniej nasza przyjaciółka Grace jest innego zdania.

- Moja przyjaciółka - podkreśliła MJ. - Ona lubi samotność. Uprawia ogród.

- Co sadi, pomidory?

- Nie tylko, kwiaty też. Wtedy, jak przyjechałyśmy, grzebała w ziemi, sadząc - nie mam pojęcia, petunie czy coś takiego. Lubię kwiaty, ale przecież można je po prostu kupować. Nikt nic mówi, że musisz je hodować. W lasach były jelenie. Było całkiem fajnie. Bailey od razu poczuła się jak u siebie w domu. To dobre na parę dni, ale ona nie ma tam nawet telewizora.

- To barbarzyństwo.

- Właśnie. Słucha tylko kompaktów i jednoczy się z naturą czy coś w tym rodzaju. W okolicy jest mały sklepik - przynajmniej parę kilometrów od domu. Można w nim kupić chleb, mleko i gwoździe. Wyglądał jak z serialu telewizyjnego o Mayberry, tylko że tamto miasteczko jest w Karolinie Północnej. Był tam bank, jak mi się zdaje, i poczta.

- Jak się nazywa to miasteczko?

- Nie mam pojęcia. Dogpatch?

- Zabawne. Spróbuj przypomnieć sobie drogę, przynajmniej w przybliżeniu. Jechałyście szosą numer dwieście siedemdziesiąt.

- Tak. A potem skręciłyśmy w siedemdziesiątą, zdaje się w pobliżu... Frederick. Ja na trochę się wyłączyłam. Chyba nawet przysnęłam. Ta jazda zdawała się nie mieć końca.

- Zatrzymywałyście się po drodze - odpowiedział. - Dziewczeta na takich wyprawach robią mnóstwo krótkich postojów.

- Czy to krytyka?

- Skądże, stwierdzam po prostu fakt. Gdzie się zatrzymałyście? Co robiłyście?

- Gdzieś przy siedemdziesiątej. Byłam głodna. Chciałam coś przekąsić w barze szybkiej obsługi.

Zamknęła oczy, usiłując odtworzyć w pamięci tamten dzień.

*Wciąż jesz jak nastolatka, MJ. I co z tego?*

*Dlaczego dla odmiany nie mogłybyśmy wziąć sałatki? Ponieważ dzień bez frytek to ponury, zmarnowany dzień.*

Na myśl o tym, jak przyjaciółka wzniosła oczy do nieba, a w końcu dała za wygraną, MJ uśmiechnęła się.

- Och, poczekaj. Zjadłyśmy szybki lunch, a potem Bailey zobaczyła afisz sklepu z antykami. Pomieszczenie wielkości stodoły wypełnione starociami. Oczywiście natychmiast się podnieciła, musiała to zobaczyć. To było nieopodal autostrady, miało jakąś głupią nazwę, typowo wiejską. Mam to na końcu języka. Rabbit Hutch, Chicken Coop. Nie, coś z wodą w

nazwie. Trout Stream. Beaver Creek! - wykrzyknęła z triumfem. - Zatrzymałyśmy się, żeby pobuszować na gigantycznym pchlim targu, czy jak to nazywają w Beaver Creek. Spędziłyśmy tam cały weekend, gdybym nie wyciągnęła jej siłą. Kupiła Grace starą wazę i dzban. No, wiesz, podarunek dla domu. Ja kupiłam jej bujany fotel na werandę. Omal nie padłyśmy trupem, kiedy ładowałyśmy go do samochodu Bailey.

- W porządku. - Skinął głową i złożył mapę. - Pojedziemy do Beaver Creek. Stamtąd będziemy szukać dalej.

Później, kiedy stali na parkingu pchlego targu, MJ popijała napój bezalkoholowy z puszki. To samo zrobiła podczas tamtej wyprawy z Bailey i miała nadzieję, że to w jakiś sposób pobudzi jej pamięć.

- Jestem pewna, że wróciliśmy na siedemdziesiątą. Bailey coś trajkotała o jakimś szkle - z czasów Wielkiego Kryzysu, Zamierzała wrócić i wykupić cały targ. Wpadł jej też w oko pewien stół. Była zła na siebie, że nie capnęła go i nie kazała przesłać pod swój adres. Ja wygrałam stację.

- Co?

- Stację. Bailey lubi muzykę klasyczną. No, wiesz, Beethoven i takie tam. Kiedy podróżujemy razem, rzucamy monetą, żeby ustalić, kto nastawi radio. Ja wygrałam, więc słuchałyśmy Aerosmith - mojej wersji muzyki długowłosych.

- Myślę, że jesteśmy dla siebie stworzeni. To zaczyna się robić przerażające. - Pochylił się, musnął jej wargi swoimi. - Jak była ubrana?

- Skąd ta nagła obsesja na punkcie strojów moich przyjaciółek?

- Po prostu chodzi o to, żebyś sobie wszystko przypomniała. Wypełniła obraz. Im więcej szczegółów, tym łatwiej powinno ci pójść.

- Aha, rozumiem. - Udobruchana, ściągnęła wargi i wpatrzyła się w niebo. - Miała na sobie spodnie w odcieniu beżu. Bailey unika śmiałych barw. Grace zawsze nad tym ubolewa. Jedwabna bluzka, szyta na miarę, blad różowa. W uszach miała wspaniałe kolczyki. Sama je zrobiła. Duże bryłki różowego kwarcu. Przymierzyłam je w samochodzie. Nie było mi w nich do twarzy.

- Róż nie mógłby pasować, nie przy tych włosach.

- To mit. Rudowłose mogą się ubierać na różowo. Z międzystanowej skrzyliśmy na zachód. Nie pamiętam numeru drogi, Jack. Bailey miała go w głowie. Zabrałyśmy plan, ale ona nie potrzebowała mnie jako pilota.

Zerknął na mapę.

- Sześćdziesiąta ósma kieruje się na zachód od Hagerstown. Zobaczmy, czy coś ci się przypomni.

- Pamiętam, że stąd było jeszcze ze dwie godziny jazdy - powiedziała, wsiadając z powrotem do samochodu. - Mogłabym na jakiś czas się za kółkiem.

- Nie, nie mogłabyś.

Prześliznęła się wzrokiem po samochodzie, zauważając, że tylne drzwi są przymocowane drutem.

- Z tym starym gratem naprawdę trudno czuć się jak dumny właściciel, Jack.

Zacisnął szczękę. Ten stary grat do niedawna był jego jedyną prawdziwą miłością.

- Jest bardziej prawdopodobne, że przypomnisz sobie to miejsce, jeśli będziemy trzymać się planu.

- Niech ci będzie. - Wyciągnęła przed siebie nogi, kiedy wyjeżdżali z parkingu. - Myślałeś kiedyś o tym, żeby go pomalować?

- Ten samochód ma charakter właśnie taki, jaki jest. A liczy się to, co jest pod maską, nie lśniąca powierzchnia.

- To, co jest pod maską. - Zerknęła na zestaw stereo. - Założę się, że ta zabawka kosztowała cię przynajmniej cztery kawałki.

- Lubię muzykę. A co z tą zabaweczką, którą ty jeździsz?

- Mój MG to klasyka.

- To samochód dla dzieci. Musisz chyba składać nogi, kiedy siadasz za kółkiem.

- Przynajmniej kiedy parkuję, nie przypomina to dokowania parowca w porcie.

- Skup się na drodze, dobrze?

- Uważam. - Podała mu resztę swego napoju. - Wiem, że tak to wygląda, ale ty chyba nie mieszkasz w tym samochodzie, prawda?

- Kiedy muszę. Poza tym mam mieszkanie na Mass Avenue. Dwa pokoje.

Zakurzone bezosobowe meble, pomyślał teraz, stosy książek, ale za to żywej duszy. Żadnych korzeni, niczego, czego nie mógłby bez wahania zostawić.

Zupełnie tak samo wyglądało jego życie, aż do wczoraj.

Co on, u diabła, wyprawia? Nie stało za nim nic, co nawet na wyrost można byłoby nazwać podstawą. Nic, na czym można byłoby budować. Nic do zaoferowania.

Ona ma rodzinę, przyjaciół, bar, który sama otworzyła i z sukcesem prowadzi. Bez udziału ich woli los postawił ich w niebezpiecznej sytuacji. Co ich łączy poza podobnymi upodobaniami, jeśli chodzi o muzykę, i tym, że oboje woleli mieszkać w mieście?

I faktem, że jest w niej zakochany po uszy.

Spojrzał na MJ. Pochylała się w skupieniu do przodu, wyglądała ze zmarszczonym czołem przez okno, próbując tropić punkty orientacyjne.

Nie jest piękna, pomyślał. Mógł być ślepo zakochany, ale nigdy nie określiłby jej tak prostym terminem. Ta dziwna, trójkątna twarz przyciągała uwagę - zwłaszcza męską uwagę. Była seksowna, niezwykła, z kontrastem płaszczyzn i kątów i wygięciem tych zmysłowych warg.

Jej ciało było stworzone do szybkości i ruchu, nie do marzeń. A jednak zatracił się w nim. I w niej.

Wiedział, że kiedy ją spotkał, w jego życiu nastąpił przełom, ale nie miał pojęcia, jak ta historia się zakończy.

- To ta droga. - Odwróciła się i uśmiechnęła do niego, aż serce mu załomotało. - Jestem tego pewna.

## ROZDZIAŁ 9

Droga prowadziła przez sam środek góry. MJ pomyślała, że to jakieś nadzwyczajne osiągnięcie nowoczesnej myśli technicznej, ale nie czuła się zbyt pewnie. Jej niepokój budziły zwłaszcza znaki ostrzegające przed spadającymi głazami i strzeliste poszczerbione ściany skał po obu stronach szosy.

Mogła zrozumieć i przewidywać zachowania oszustów, ale kto zdołałby przewidzieć zachowanie matki natury? Co miałyby ją powstrzymać od drobnego napadu złego humoru i zrzucenia paru otoczek na ich samochód? A ponieważ był na tyle duży, że mogło się w nim wygodnie pomieścić osiem osób, stanowił świetny cel.

Ostrożnie wyglądała przez boczne okienko, zaklinając skały, żeby tkwiły w miejscu, póki oni nie przejadą przez przełęcz.

Na horyzoncie wznosiły się kolejne góry, których zbocza porastała bujna zieleń pełni lata. Upał i wilgoć zlały się w jedno, powietrze było gęste jak ulepek. Opony szumiały na szosie.

Od czasu do czasu jej oczom ukazywały się domy, zza przydrożnych drzew. Zupełnie jakby się skrywały przed wścibskim wzrokiem. Rozmyślała o nich, tych ledwo widocznych domach, bez wątplenia z czyściutkimi podwórkami strzeżonymi przez ujadające psy, z dobrze utrzymanymi ogrodami i bujanymi ławeczkami, pomostami i patiami, na których stały grille i wygodne fotele.

Niewątpliwie był to jakiś sposób na życie, ale trzeba było dbać o ogród, strzyc trawnik, dokonywać napraw.

MJ nigdy nie mieszkała w domu z ogrodem. Do jej trybu życia zawsze bardziej pasował miejski apartament. Na niektórych ludziach mieszkanie sprawiało pewnie wrażenie pudełka wciśniętego wraz z innymi pudełkami w duże pudło, ale ona była zadowolona. Gdy zamykała drzwi, była u siebie, a przy tym wiedziała, że za ścianą mieszkają inni, co dawało poczucie bezpieczeństwa.

Po co chcieć trawnika i huśtawki, jeśli nie ma się dzieci?

Na tę myśl poczuła lekki niepokój. Czy kiedykolwiek przedtem myślała o tym, żeby mieć dzieci? O kołysaniu dziecka, obserwowaniu, jak rośnie, wiązaniu sznurowadeł i wycieraniu nosa?

Przecież to Grace uwielbia dzieci. Nie znaczy to, że ona sama ich nie lubi. Miała całe mnóstwo kuzynów, którzy z zapamiętaniem zaludniali świat, i spędzała wiele czasu na

odwiedzinach w ich domach, rozplątując się w zachwytach nad kolejnym niemowlakiem, bawiąc się na podłodze z parolatką czy podając piłkę świeżo upieczonemu zawodnikowi Małej Ligi.

Nie przypuszczała, że wygląda to tak samo, kiedy ma się własne dzieci. Ciekawe, jakie to uczucie, kiedy twoje własne dziecko opiera ci główkę na ramieniu i ziewa albo kiedy berbecić na niepewnych nogach unosi rączki do góry, żeby go wziąć na ręce?

Co ona, na litość boską, wyprawia, myśląc o dzieciach w takiej chwili? Wsunęła palce za okulary i przycisnęła je do zmęczonych oczu.

A potem uważnie spojrzała na profil Jacka. Ciekawe, co on sądzi o dzieciach.

To niewiarygodne, poczuła, jak na policzki wypełza jej rumieniec. Szybko odwróciła twarz do okna. Idiotka, powiedziała sobie w duchu. Znasz faceta od niedawna, a zaczynasz rozmyślać o pieluszkach i bucikach.

Właśnie, skonstatowała ponuro, oto co się przydarza kobiecie, kiedy przywiąże się do jakiegoś faceta. Staje się słaba, miękka i sentymentalna.

Nagle wydała okrzyk, który zaskoczył ich obydwójce.

- Tutaj! To ta droga! Właśnie tu skręciłyśmy, jestem tego pewna.

- Następnym razem mnie zastrzel - zaproponował Jack, skręcając w prawo. - Z pewnością będzie to mniejszy szok niż atak serca.

- Przepraszam.

Wziął zakręt wolno, dając jej czas, by się rozejrzała, kiedy wjeżdżali na dwupasmową szosę.

- W lewo - powiedziała po chwili. - Jestem prawie pewna, że skręciłyśmy w lewo.

- Dobrze, i tak muszę zatankować. - Skierował się do najbliższej stacji benzynowej i zatrzymał samochód przy dystrybutorach. - O czym myślałaś przed chwilą, MJ?

- O czym myślałam?

- Wydawałaś się taka odległa.

Fakt, że potrafił to rozpoznać, wprowadził ją w zakłopotanie. Poruszyła się niespokojnie, wzruszyła ramionami.

- Po prostu się koncentrowałam, to wszystko.

- Nie, to nieprawda. - Ujął dłonią jej podbródek i odwrócił ją twarzą do siebie. - Tego właśnie nie robiłaś. - Potarł kciukiem jej wargi. - Nie martw się. Odnajdziemy twoje przyjaciółki. Nic im nie będzie.

Skinęła głową, przejęta nagłym wstydem. Powinna myśleć o Grace i Bailey, a tymczasem śniła na jawie o dzieciach jak jakaś usychająca z miłości kretyńka.

- Grace na pewno jest w domku. Musimy tylko go odnaleźć.

- Tego się trzymaj. - Pochylił się, musnął ustami jej wargi. - A teraz idź i kup mi batonik.

- Ty masz całą forszę.

- Faktycznie. - Wysiadł z samochodu, sięgnął do kieszeni i wyciągnął stamtąd zwitek banknotów. - Możesz zaszać - zasugerował - i dla siebie też kupić jednego.

- Ojej, dzięki, tatusiu.

Uśmiechnął się, kiedy odeszła, wyciągając długie nogi. Wąskie biodra poruszały się pod dopasowanym materiałem džinsów. Ale sztuka, zadumał się, wsuwając dyszę dystrybutora do wlewu paliwa. Nie zamierzał narzekać na los, który postawił ją na jego drodze.

Zastanawiał się, jak długo będą razem. Czy jest im pisana wspólna przyszłość? Ludzie nie zostawali w jego życiu na długo - przychodzili i odchodzili. Dotychczas wszystko przebiegało według tego samego schematu i stracił nadzieję, iż może być inaczej. Być może przestał pragnąć, by było inaczej.

Wiedział jednak, że gdyby ona zdecydowała się odejść, nigdy by się z tym nie pogodził. Dlatego też postanowił dołożyć starań, by go nie porzuciła.

Napełniając żarłoczny bak oldsmobile'a, patrzył, jak MJ w drodze powrotnej kieruje się do automatu z napojami. Zauważył, że nie on jeden ją obserwuje. Nastolatek tankujący zardzewiałego pick - upa przy sąsiednim dystrybutorze również zwrócił na nią uwagę.

Nie można cię winić, kolego, pomyślał Jack. Jest naprawdę niezła. Może kiedy dorośniesz, poszczęści ci się i znajdziesz sobie kobietę, która będzie choć w połowie tak doskonała.

Zaklinając swoje szczęście, zakręcił wlew i podszedł do MJ. Korzystając z tego, że miała ręce zajęte batonikami i napojami, przyciągnął ją do siebie i nakrył ustami jej wargi w długim, płomiennym, oszałamiającym pocałunku.

Kiedy ją wreszcie puścił, brakowało jej tchu.

- Za co to?

- Bo mam ochotę - powiedział po prostu i dumnym, rozkołysanym krokiem poszedł zapłacić za benzynę.

MJ pokręciła głową. Spozrzęła, że nastolatek zagapił się; i przelał bak.

- Na twoim miejscu nie używałabym teraz zapalek, kolego - rzuciła, mijając go i wsiadła do samochodu.



Kiedy Jack do niej dołączył, poszła za głosem impulsu, wsunęła dłonie w jego włosy i przyciągnęła go do siebie, by oddać mu pocałunek.

- To dlatego, że ja też mam ochotę.

- Tak. - Był pewny, że z uszu wydobywa mu się dym. - Dobrana z nas para.

Chwilę trwało, zanim zapanował nad pożądaniem i przypomniał sobie, jak się przekręca kluczyk w stacyjce.

Poruszona i rozbawiona reakcją Jacka wyciągnęła w jego stronę czekoladowy batonik.

- Masz ochotę na coś słodkiego? Mruknął twierdząco, wziął go, ugryzł.

- Uważaj na drogę - powiedział. - Spróbuj znaleźć coś znajomego.

- Wiem, że nie jechałyśmy tą drogą zbyt długo - zaczęła.

- Wkrótce skręciłyśmy na jakieś boczne dróżki. Tak jak powiedziałam, Bailey miała to wszystko w głowie. Bailey! - Wtem doznała olśnienia. Przycisnęła obie dłonie do ust.

- O co chodzi?

- Przez cały czas zastanawiałam się, dokąd by się wybrała, gdyby miała kłopoty, gdyby uciekała. - Z płonącym wzrokiem gwałtownie odwróciła się ku niemu. - A odpowiedź jest prosta. Ona wie, jak dojechać do domku Grace. Podobał jej się. Czułaby się tam bezpieczna.

- To możliwe - zgodził się.

- Na pewno zwróciłyby się do jednej z nas. - Potrząsnęła głową, gwałtownie, desperacko. - A nie mogła zwrócić się do mnie. To znaczy, że skierowała się tutaj, może autobusem czy pociągiem, tak daleko, jak zdołała, a potem wynajęła samochód.

- Ciężar spadł jej z serca. - Tak, to jest racjonalne i pasuje do niej. Obie są tutaj, w środku lasów, zastanawiają się, co robić i martwią się o mnie.

A on niepokoił się o nią, ponieważ jej nadzieje mogły okazać się płonne. Nie miał jednak serca jej o tym powiedzieć.

- Jeśli tak jest w istocie - zasugerował - musimy jeszcze je znaleźć. Cofnij się pamięcią do tamtej wyprawy, postaraj się wszystko odtworzyć.

- Dobrze. - Z nową energią przyglądała się mijanym widokom. - To było wiosną - zadumała się. - Wokół było pięknie. Wszystko kwitło. Derenie, zdaje się, i żółte krzewy w takim neonowym kolorze. I coś, co Bailey nazwała judaszowcem. Mijałyśmy ogród - przypomniała sobie nagle. - No wiesz, szkółkę.

Bailey chciała tam zajrzeć i kupić Grace jakiś krzak czy coś w tym rodzaju, a ja powiedziałam, że powinnyśmy wpierw do niej pojechać i zobaczyć, co już ma.

- A więc szukamy szkółki.

- Miała taką idiotyczną nazwę. - Zamknęła na moment oczy, usiłując ją sobie przypomnieć. - Sentymentalną. Była przy samej szosie i było tam pełno ludzi. Między innymi dlatego nie chciałam się zatrzymywać. To zajęłoby całe wieki. Buds and Blooms. - Zaklaskała w dłonie, kiedy wreszcie sobie przypomniała. - Jakies półtora kilometra za nią skręciłyśmy w prawo.

- Znakomicie. - Ujął jej dłoń, uniósł do ust i pocałował. Obydwoje speszyli się tym gestem. Jeszcze nigdy w życiu nie pocałował kobiety w rękę.

MJ poczuła dziwne ssanie w żołądku. Odchrząknawszy, położyła dłoń na kolanie.

- Cóż... W każdym razie Grace i Bailey pojechały do tej szkółki. Ja zostałam w domku. Obie przepadają za zakupami. Wszystko jedno jakimi. Przypuszczałam, że wykupią cały towar, co nie było dalekie od prawdy. Wróciły obładowane plastikowymi tacami z kwiatami, kwiatami w doniczkach i paroma krzewami. Grace ma tam pick - upa. Wyobrażam sobie, co by pisali w kolumnie poświęconej modzie w „Post” o tym, jak Grace Fontaine prowadzi pick - upa.

- Przejęłaby się tym?

- Uśmiełaby się. Ale zachowuje to miejsce w tajemnicy. Jej krewni - właśnie tak mówi o swojej rodzinie: krewni - nic o nim nie wiedzą.

- Powiedziałbym, że to działa na naszą korzyść. Im mniej ludzi o nim wie, tym lepiej.

- Uśmiechnął się, widząc szyld. - Oto i nasz ogród, kotku. Interes kręci się doskonale.

Twarz jej pojaśniała zadowoleniem na widok sznura samochodów osobowych i ciężarówek zaparkowanych na poboczu i tłumy krążącego wokół stołów z kwiatami.

- Założę się, że mają świąteczną wyprzedaż. Dziesięć procent zniżki za czerwone, białe czy niebieskie bukiety.

- Boże, błogosław Amerykę. Półtora kilometra, mówisz?

- Tak, a potem skręciłyśmy w prawo. Jestem pewna.

- Nie lubisz kwiatów?

- Co? - Spojrzała na niego z roztargnieniem. - Jasne, są w porządku. Lubię te pachnące. Wiesz, takie jak goździki. Nie pachną za słodko i nie więdną po dwóch dniach.

Zaśmiał się cicho.

- Muskularne kwiaty. Czy to ta droga?

- Nie... chyba nie. Trochę dalej. - Pochyliła się do przodu, zabębniła palcami o deskę rozdzielczą. - Ta! Skręcaj teraz. Jestem prawie pewna.

Zwolnił, wziął zakręt w prawo. Droga wznosiła się i skręcała. Ogrodzenie wzdłuż niej powoli zarastało kapryfolium, a za nim pasły się krowy.

- Wydaje mi się, że to ta. - Przygryzła wargi. - Wszystkie te cholerne drogi wyglądają tak samo. Pola, kamienie i drzewa. Skąd ludzie wiedzą, jak trafić?

- Jechaliście tą drogą do samego końca?

- Nie, znów skręciłyśmy. Na prawo czy na lewo? - zastanawiała się.

- W prawo czy w lewo?

- Wjechaliśmy głębiej i wyżej w leśne ostępy. Może tutaj. Zwolnił, by dać jej czas do namysłu. Skrzyżowanie było wąskie, z jednej strony na rogu stał dom z kamienia. Na podwórzu, w cieniu starego klonu drzemał pies. Po trawie dreptały szare kaczki.

- To mogła być ta droga, w lewo. Przepraszam, Jack, to jest takie mgliste.

- Posłuchaj, mamy pełen bak benzyny i mnóstwo czasu do zmroku. Nie przejmuj się tak.

Skręcił w lewo, na krętą drogę, która wznosiła się i opadała. Domy były teraz daleko jeden od drugiego, a pola porastała gęsto kukurydza sięgająca mężczyźnie do pasa. Po polach zaczęły się lasy, gęste i zielone, a przydrożne drzewa pochylały konary nad drogą, tworząc cienisty tunel dla przedzierającego się samochodu.

Wjechali na wzniesienie i ich oczom ukazał się oszałamiający widok. Porywająca przestrzeń zielonych gór i falującej u ich podnóża ziemi.

- Tak. Bailey o mało nie wykończyła samochodu, zanim wjechaliśmy na to wzgórze. Jeśli to jest to wzgórze - dodała. - Myślę, że to część lasu stanowego. Ten widok zrobił na niej niesamowite wrażenie. Ale znów skręciłyśmy. W jedną z tych wąskich drózek między drzewami.

- Dobrze sobie radzisz. Powiedz mi, w którą mam skręcić.

- Na tym etapie twój wybór jest równie dobry jak mój. - Czuła się kompletnie bezradna. - Teraz wszystko wygląda inaczej. Drzewa są gęste. Wtedy okrywała je tylko zielona mgiełka.

- Spróbujmy tę - postanowił, rzuciwszy metalowy pieniążek, i skręcił na prawo.

Tylko dziesięć minut zajęło im stwierdzenie, że się zgubili, a kolejne dziesięć wydostanie się na główną drogę. Przejechali przez małe miasteczko, którego MJ nie pamiętała, i wrócili do punktu wyjścia.

Po godzinie błędzenia MJ czuła, że jej wytrzymałość jest na wyczerpaniu.

- Jak możesz być tak spokojny? - zapytała. - Przysięgłabym, że przedarliśmy się przez wszystko, co przypomina drogę, w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Przez każdą uliczkę, drózkę i ścieżkę dla krów. Zaczynam wariować.

- Moja praca wymaga cierpliwości. Czy opowiadałem ci, jak ścigałem Dużego Billa Bristola?

Poruszyła się, pewna, że od tej wielogodzinnej jazdy porobiły jej się odciski na pupie.

- Nie, nie opowiadałeś mi o tym, jak ścigałeś Dużego Billa. Czy zamierzasz to zmyślić?

- Nie muszę.

Chcąc dać im obojgu trochę wytchnienia, zjechał z drogi. Na poboczu był niewielki parking, a przy nim coś, co można było nazwać stawkiem. Drzewa zwieszające się nad ciemną wodą przepuszczały niewiele promieni słonecznych, które padały na powierzchnię wody i odbijały się od niej.

- Duży Bill był poszukiwany za napaść. Stracił cierpliwość przy grze w siedem kart i próbował ograć przeciwnika. To było po tym, jak złamał mu nos i znokautował go. Duży Bill ma blisko dwa metry wzrostu, waży sto trzydzieści kilo i ma ręce jak bochny. Nie lubi przegrywać. Wiem to na pewno, bo spędziłem z nim pewien wieczór przy automatach do gry.

MJ uśmiechnęła się czarująco.

- Do licha, Jack, nie mogę się doczekać, kiedy poznam twoich znajomych.

Nie musiał się wysilać, żeby dosłyszeć sarkazm w jej głosie. Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

- W każdym razie Ralph złożył za niego kaucję, ale Duży Bill dowiedział się o pewnej grze w Jersey i nie chciał, żeby go ominęła. Prawo jest przeciwne nie tylko nie licencjonowanym grom hazardowym, ale również ucieczkom, kiedy za kogo wpłacono kaucję. Zwolnienie cofnięto i Bill znalazł się na liści uciekinierów.

- A ty ruszyłeś za nim.

- Właśnie. - Jack potarł podbródek. Przemknęło mu przez głowę, że warto byłoby się ogolić. - To miała być prosta robota Znaleźć zdobycz, przypomnieć Billowi, że ma się stawić w sądzie, przyprowadzić go z powrotem. Ale, zdaje się, Bill wygrał w Jersey sporo forsy i wyruszył w drogę, by pograć gdzie indziej. Powinienem dodać, że Bill jest wprawdzie duży, ale za to mało przewidujący. A poza tym karta mu szła, więc podróżował od gry do gry, od stanu do stanu.

- Z Jackiem Dakotą, łowcą nagród, tuż za nim.

- W każdym razie na jego tropie. Przeważnie tuż za nim. Jeśli głupek zamierzał mnie zgubić, powinien lepiej się do tego zabrać. Przemierzyłem północny wschód Stanów, brałem udział w każdej grze.

- Ile przegrałeś?

- Za mało, żeby o tym mówić - odparł, widząc jej szeroki uśmiech. - Około północy dotarłem do Pittsburgha. Czułem, że coś wisi w powietrzu, ale ani groźbą, ani łapówką nie mogłem od nikogo wyciągnąć, gdzie się gra. Śledziłem Billa od czterech dni, mieszkałem w samochodzie i grałem w pokera z facetami o imionach Bats i Fast Charlie. Byłem zmęczony, brudny i miałem przy sobie ostatnie sto dolarów. Poszedłem do baru.

- Naturalnie.

- To ja opowiadam - zauważył, wicherząc jej włosy. - Wybrałem go na chybił trafił, bez namysłu, bez planu. I zgadnij, kto był w pomieszczeniu na tyłach, trzymając parę asów i zgarniając kasę?

- Pomyślmy... Czy mógł to być... Duży Bill Bristol?

- We własnej osobie. Cierpliwość i logika zawiodły mnie do Pittsburgha, ale instynktowi zawdzięczam, że wszedłem w środek gry.

- Jak go skłoniłeś, żeby wrócił z tobą?

- Miałem wybór. Zastanawiałem się, czy nie walnąć go krzesłem w głowę. Ale było bardziej niż prawdopodobne, że to by go tylko rozdrażniło. Myślałem też o tym, żeby zaapelować do jego poczciwości, przypominając, że ma dług u Ralpha. Ale on wciąż był na fali i nic by go to nie obeszło. A więc wypilem drinka i przyłączyłem się do gry. Po paru godzinach wytłumaczyłem całą sytuację Billowi i przemówiłem do niego na jego poziomie. Jedno rozdanie. Ja wygrywam, on wraca ze mną, bez protestu. On wygrywa, ja zostawiam go w spokoju.

- I wygrałeś?

- Tak. - Znów podrapał się w podbródek. - Oczywiście miałem asa w rękawie, ale jak już mówiłem, rozum nie jest mocną stroną Dużego Billa.

- Oszukiwałeś?

- Jasne. To było najrozsądniejsze wyjście z sytuacji. W rezultacie wszyscy byli zadowoleni.

- Z wyjątkiem Dużego Billa.

- Nie, on też był zadowolony. Miał dobrą passę i zgromadził na tyle dużo gotówki, żeby zapłacić facetowi, któremu rozbił głowę. Oskarżenie wycofano. I po sprawie.

Przekrzywiła głowę na bok.

- A co byś zrobił, gdyby postanowił nie wracać posłusznie z tobą?

- Rozbiłbym krzesło na jego głowie i miałbym nadzieję, że jakoś to przeżyje.

- Ależ ty życie prowadzisz, Jack.

- Lubię to. A morał z tej historii jest taki, że w życiu trzeba się kierować rozumem. A kiedy rozum nie wystarcza, wówczas pozostaje instynkt. - Sięgnął do kieszeni i wyjął kamień.

- Drugi kamień to wiedza. - Spojrzał jej w oczy. - Co wiesz, MJ?

- Nie rozumiem.

- Znasz swoich przyjaciół. Znasz ich lepiej niż ja Dużego Billa, niż kogokolwiek innego, jeśli już przy tym jesteśmy.

- Uświadomił sobie, że może jej tego zazdrościć. Pomyśli o tym później. - Są częścią twego świata, tego, kim byłaś, kim jesteś tak się domyślasz, kim będziesz. Poczula ucisk w piersiach.

- Próbujesz na mnie swoich filozoficznych sztuczek, Dakota.

- Czasami to też się przydaje. Zawierz swemu instynktowi, MJ. - Położył jej na dłoni brylant i zacisnął na nim jej palce.

- Zaufaj temu, co znasz.

Miała nerwy napięte jak struny.

- Oczekujesz ode mnie, że potraktuję ten kamień jak coś w rodzaju kompasu? Różdżki?

- Czujesz to, prawda? To tak jak oddychanie. Wiesz, na czym polegają mity? Jeśli sięgniesz wystarczająco głęboko, dotrzesz do prawdy. Drugi kamień to wiedza. - Odchylił się do tyłu, położył dłonie na kierownicy. - W którą stronę chcesz jechać?

Było jej zimno, tak zimno, że dostała dreszczy. Jednak kamień płonął jej w dłoni niczym słońce.

- Na zachód. - Słyszała siebie, jak to mówi, zdała sobie sprawę, że to dziwne dla mieszkanki miasta wskazywać kierunek w ten sposób, zamiast mówić po prostu: w prawo czy w lewo. - To idiotyczne.

- Normalność zostawiliśmy za sobą wczoraj. Nie ma sensu szukać tamtego tropu. Powiedz mi tylko, w którą stronę chcesz jechać. Jaki kierunek wydaje ci się właściwy?

A więc trzymała kamień zaciśnięty w dłoni i kierowała go przez kręte drogi wśród drzew i nagich skał, wzdłuż wijącego się płytkiego strumienia, który, na wpół wyschnięty, sączył się leniwie, obok małego brązowego domku stojącego tak blisko drogi, że jego drzwi otwierały się niemal wprost na nią.

- Na prawo - wychrypiała. W gardle jej zupełnie wyschło. - Musisz uważać, żeby jej nie przegapić. My ją minęliśmy, musieliśmy zawracać. To wąski podjazd. Przecinka przez las. ledwie można ją dojrzeć. Nie ma skrzynki na listy. Grace jeździ do miasteczka i odbiera listy na pocztę. Tam. - Jej dłoń drżała nieco, kiedy wskazywała mu kierunek. - Właśnie tam.

Wjechał w prześwit. Dróżka była rzeczywiście wąska. Gałęzie muskały i rysowały boki samochodu, podczas gdy toczyli się powoli w górę po żwirze, za zakręt ukryty wśród drzew.

Tuż za zakrętem, pośrodku dróżki stał jeleń, nieruchomy niczym kamienny posąg, a jego sierść świeciła ciemnym złotem w blasku słońca.

To na pewno biała łania, pomyślał głupio Jack. Biała łania to symbol poszukiwań.

Łania patrzyła na zbliżający się samochód z głową uniesioną w górę, z szeroko otwartymi, czujnymi oczami. Po czym, z błyskawicznym ruchem ogona, szybkim skrętem wspaniałego ciała, pognąła w las na cienkich, pełnych gracji nogach. I niemal bezszelestnie znikła.

Dom wyglądał właśnie tak, jak pamiętała MJ. Przytulony do wzgórza ładny piętrowy budynek, położony nad małym szemrzącym strumykiem, wtapiał się w okoliczne lasy. Był z drewna i szkła, o prostych kształtach, z długą werandą od frontu, pomalowaną na jaskrawoniebieski kolor. Stały na niej dwa białe fotele na biegunach oraz miedziane donice, z których wprost kipiały płożące się kwiaty.

- Wykonała kawał roboty - mruknęła MJ, ogarniając spojrzeniem ogród. Kwiaty rosły wszędzie, szalone, zupełnie jak nie planowane. Powódź kolorów i kształtów staczała się po wzgórzu niczym rzeka. Szerokie drewniane schody przecinały ten kwietny dywan, skręcały w lewo i prowadziły w dół, do drogi.

- W domu przy Potomacu wynajęła architekta krajobrazu. Wiedziała, czego chce, ale wynajęła kogoś, żeby zrobił to za nią. Tutaj postanowiła zająć się wszystkim sama.

- Wygląda jak z bajki. - Poruszył się niespokojnie, zdziwiony własnymi wrażeniami. Nie przepadał za swoimi bajkami - Wiesz, co mam na myśli.

- Tak.

Na końcu dróżki stał lśniący niebieski pick - up, ale nigdzie nie było śladu samochodu, którym Grace mogłaby przyjechać do swego wiejskiego domu, ani też zakurzonego wynajętego samochodu świadczącego o obecności Bailey.

Właśnie pojechały do sklepu, powiedziała sobie MJ. Zaraz wrócą.

Nie mogła uwierzyć, że odbyli tak daleką podróż, odszukali dom, a nie odnaleźli Grace i Bailey.

Gdy tylko Jack zatrzymał samochód przy pick - upie, wyskoczyła, chcąc biec w stronę domu.

- Poczekaj. - Chwyił ją za ramię i przytrzymał. - Najpierw schowajmy sól ziemi. - Delikatnie rozgiął jej palce, wyjął kamień. Kiedy już włożył go do kieszeni, wziął ją za rękę. - Mówiłaś, że pick - upa zostawia tutaj.

- Tak. Przyjeżdża mercedesem ze składanym dachem, albo małym beemerem.

- Twoja przyjaciółka ma trzy bryki?

- Grace na ogół ma wszystkiego więcej niż jedną sztukę. Twierdzi, że nie wie, na co będzie miała nastrój w danej chwili.

- Są tu jeszcze jakieś drzwi?

- Tak, jedno z kuchni, a drugie z boku domu. - Wskazała na prawo, usiłowała nie zwracać uwagi na ciężar gniotący jej piersi. - Prowadzą na małe patio i w las.

- Najpierw rozejrzemy się wokół domu.

Była tam ogrodowa szopa, w której znajdowały się porządnie ułożone narzędzia: kosiarka, grabie i łopaty. Pomiędzy trawnikami umieszczono kamienne płytki, które porastał sprężysty mech. I znów kwiaty - kwietniki w rozkwicie i zieleń zarastająca ciemną ścianę, a w tle skała porośnięta bluszczem.

Nad jaskrawoczerwonym karmnikiem krążył koliber, którego opalizujące skrzydła tworzyły w powietrzu mglistą różnobarwną plamę. Kiedy się zbliżyli, wystrzelił w niebo jak pocisk, a do ich uszu dobiegł trzepot skrzydeł.

Jack nie dostrzegł wybitych okien czy innych śladów włamania, kiedy obeszli tyły domu, przeszli ogród ziołowy pełen zapachu rozmarynu i mięty. Miedziane dzwonki wisiały cicho przy tylnych drzwiach. Nie poruszył się żaden liść.

- To okropne. - Potarła gęsią skórkę na ramieniu. - Podkradać się w ten sposób.

- Przyczajmy się jeszcze przez chwilę.

Przeszli na drugą stronę domu z niewielkim patiem. Stał tam szklany stolik, wyściełana leżanka, kolejne kwiaty w betonowych kwietnikach i glinianych donicach. Tuż obok domu spostrzegli mały staw z młodymi ozdobnymi trawami.

- To coś nowego. - MJ przystanęła, żeby mu się przyjrzeć. - Wtedy go nie było. Ale mówiła o nim. Wygląda na świeżo zrobiony.

- Powiedziałbym, że twoja przyjaciółka w tym tygodniu była ogrodnikiem. Jak myślisz, jest gdzieś jakaś roślina albo kwiat, który umknął jej uwagi?

- Prawdopodobnie nie. - MJ uśmiechnęła się blado i tak wrócili do frontowych drzwi. - Chcę wejść do środka, Jack. Muszę tam wejść.

- Rzućmy okiem. - Jednym susem przeskoczył schody werandy i sprawdził, czy frontowe drzwi są zamknięte. - Czy ona ma jakieś schowanko na kluczy?



- Nie. - Mimo przykrego gorąca gęsia skórka na jej ramionach nie znikąca. Tu jest zbyt spokojnie. Stanowczo zbyt spokojnie. - Kiedyś trzymała zapasowy klucz do swego domu nad Potomakiem w doniczce z kwiatami przy drzwiach, ale jej kuzynka Melissa znalazła go i rozgościła się w nim, kiedy Grace wyjechała do Mediolanu. To ją naprawdę wkurzyło.

Przykucnął, przyjrzał się zamkom.

- Dobre zamki. Łatwiej byłoby stłuc szybę.

- Nie stłuczesz żadnej z jej szyb. Westchnął i wyprostował się.

- Bałem się, że to powiesz. Dobrze, zadamy sobie trochę trudu.

Jack poszedł do samochodu, otworzył bagażnik. W środku było pełno narzędzi, ubrań, książek, starych czasopism, słoików, papierów i wszelkich możliwych szpargałów. Grzebał, dopóki nie znalazł tego, czego szukał.

- Czy jest tu system alarmowy?

- Nie. Przynajmniej ja nic o tym nie wiem. - MJ oglądała uważnie zawartość skórzanego worka. - Co zamierzasz zrobić?

- Spróbuję się włamać. To może trochę potrwać, dawno tego nie robiłem. - Zatarł ręce, z ochotą przyjmując wyzwanie. - Może tymczasem obejdiesz dom jeszcze raz. Na wszelki wypadek. Może znajdziesz jakieś nie domknięte okno.

- Jeśli zamknęła jedno okno, zamknęła wszystkie. Ale niech ci będzie.

Ponownie przeszła wokół domu, zatrzymując się przy każdym oknie, szarpiąc, zaglądając do środka przez szyby. Zanim zatoczyła koło, Jack pracował już przy drugim zamku.

Zaintrygowana patrzyła, jak umiejętnie go otwiera. Było tu chłodniej niż w mieście, ale i tak gorąco nie do zniesienia. Pot przesiąkał mu przez podkoszulek, lśnił na szyi.

- Możesz mnie nauczyć, jak to się robi? - spytała.

- Słucham? - Wytarł dłonie o dzinsy, mocniej chwycił swój wytrych. - Zrobione. Zimny prysznic - mruknął. - Zimne piwo. Ucałuję stopy twojej przyjaciółki, jeśli ma jedno i drugie.

- Grace nie pija piwa. - MJ już wchodziła do środka, wyprzedzając Jacka.

Wnętrze było przytulne, bardzo czyste, ale dom wyglądał na zamieszkały. W salonie stała sofa w szerokie pasy, a obok niej przepastne fotele w odcieniach głębokiego błękitu. W miedzianej donicy ustawionej na ceglany kominku pyszniła się zielona paproć. MJ przebiegła przez pokoje, po podłogach wyłożonych szeroką orzechową klepką i wystanych barwnymi dywanami, zajrzała do wyłożonej białymi kafelkami słonecznej kuchni, z blatami w kolorze leśnej zieleni, i do przytulnego saloniku, który Grace przerobiła na bibliotekę.

Wydawało się, że dom rozbrzmiewa wokół niej, kiedy pobiegła na górę, zajrzała do sypialni, do łazienek.

Lśniące mosiężne łoże Grace było porządnie zasłane, bieli ręcznie robionej koronkowej narzuty, którą kupiła w Irlandii, kontrastowała z barwnymi plamami poduszek. Na nocnym stoliku leżała książka o ogrodnictwie.

Łazienka była pusta, wyszorowana do czysta umywalka w kolorze kości słoniowej lśniła w swojej pudrowobłękitnej obudowie. Na półkach wysokiej wiklinowej etażerki leżały starannie ułożone ręczniki.

Zdając sobie sprawę, że to nie ma sensu, zajrzała do garderoby obok sypialni. Niewielkie pomieszczenie było nieprawdopodobnie zapchane, ale panował w nim wzorowy porządek.

- Nie ma ich tutaj, MJ. - Jack dotknął jej ramienia, ale odskoczyła jak oparzona.

- Chyba mam oczy, prawda? - burknęła, po czym głos jej się załamał. - Ale Grace tu była. Była właśnie tu. Czuję jej zapach.

- Zamknęła oczy, wciągnęła powietrze. - Jej perfumy. Jeszcze się niej ulotniły. To jej zapach. Jakiś król perfum, który się w niej zakochał, skomponował je specjalnie dla niej. Czuję je tutaj.

- W porządku. - Sam też wyczuł ten zapach, zmysłowy, z nutą dzikości. - Może pojechała po coś do miasta, albo wybrała się na przejażdżkę.

- Nie. - Podeszła do okna i ciągnęła: - Nie zamykałaby wówczas domu. Zawsze mówi, jakie to miłe, że tutaj nie trzeba się martwić o zamykanie drzwi. Robi to tylko, kiedy wyjeżdża na dłużej. Bailey tu nie ma. Grace też nie ma i przez jakiś czas j nie zamierza wrócić. Minęliśmy się z nią.

- Myślisz, że wróciła nad Potomac?

Pokręciła głową. Ucisk w jej piersi był nie do zniesienia, zupełnie jakby jakieś zachłanne ręce ścisnęły jej serce i płuca.

- To niezbyt prawdopodobne. W święto unikałaby miasta. Za duży ruch, zbyt wielu turystów. To dlatego byłam pewna, że zostanie tu przynajmniej do jutra. Może być wszędzie.

- Co oznacza, że gdzieś wynurzy się na powierzchnię. - Ruszył w jej kierunku, zauważył smugę wilgoci na jej policzku i zatrzymał się gwałtownie jak ktoś, kto nadział się twarzą na szklaną ścianę. - Co ty wyprawiasz? Czyżbyś płakała? - W jego głosie dało się słyszeć paniczny strach.

MJ, milcząc, skrzyżowała ręce na piersi. Dotychczasowe podniecenie i napięcie, obawy i lęk, nadzieje i oczekiwania zmieniły się w rozpacz.

Dom był pusty.

- Chcę, żebyś przestała. Natychmiast. Mówię poważnie. Pochlipywanie nie przyniesie ci nic dobrego.

I z pewnością nie przyniesie nic dobrego jemu. Przeraziło go, sprawiło, że czuł się głupio, niezręcznie i nieswojo.

- Po prostu zostaw mnie samą - powiedziała, a jej głos przeszedł w zduszony szloch. - Idź sobie.

- Właśnie to zamierzam zrobić. Jeśli nie przestaniesz, odejdę. Mówię serio. Nie będę stał tu i patrzył, jak beczysz. Weź się w garść. Gdzie twoja duma?

W tej chwili duma była daleko stąd. Poddając się, przycisnęła czoło do szyby i dała upust rozpaczy.

- Idę sobie, MJ - ostrzegł i ruszył ku drzwiom. - Zrobię sobie drinka i wezmę prysznic. A kiedy doprowadzisz się do porządku, zastanowimy się, co robić dalej.

- A więc idź. Po prostu idź.

Doszedł do progu, po czym klnąc siarczyście, odwrócił się gwałtownie.

- Tylko tego mi brakowało - mruknął.

Nie miał pojęcia, co począć na widok kobiecych łez. Zwłaszcza łez silnej kobiety, która była najwidoczniej u kresu wytrzymałości. Zaklął ponownie i wziął ją w ramiona, przygarnął z całych sił. Nie przestając jej wymyślać, wziął ją na ręce i usiadł z nią w fotelu z szerokim oparciem.

Kołysał ją i gładził.

- A więc wypłacz się i miej to za sobą. - Pocałował jej skroń. - Proszę. Zabijasz mnie.

- Boję się. - Oddychanie sprawiało jej trudność, kiedy wtuliła twarz w jego mocne, szerokie ramię. - Jestem taka zmęczona i boję się.

- Wiem. - Pocałował jej włosy, przytulił mocniej. - Wiem.

- Nie przeżyłabym, gdyby cokolwiek im się stało. Po prostu nie przeżyłabym.

- Nie. - Objął ją mocniej, zupełnie jakby mógł w ten sposób zdusić te gorące, przerażające łzy. Jego usta prześlizgnęły się po jej policzku, odnalazły wargi i muskały je z czułością. - Będzie dobrze. Wszystko będzie dobrze. - Niezręcznie otarł jej łzy kciukami. - Obiecuję.

Zwróciła ku niemu zalane łzami oczy.

- Byłam taka pewna, że je tu zastanę.

- Wiem. - Odgarnął włosy z jej twarzy. - Masz prawo się załamać. Nie znam nikogo innego, kto doszedłby tak daleko jak ty bez chwili słabości. Ale już nie płacz, MJ. Czuję się rozdzierany na strzępy.

- Nie cierpię płaczu. - Pociągnęła nosem, otarła łzy pięściami.

- Miło mi to słyszeć. - Wziął jej dłonie, pocałował obie. - Tylko pomyśl. Była tu dziś, może godzinę temu. Posprzątała, pozamykała okna i drzwi. To znaczy, że kiedy wyjeżdżała, wszystko było z nią w porządku.

- Masz rację. Nie myślę rozsądnie.

- To dlatego, że potrzebujesz przerwy. Przyzwoitego posiłku, odrobiny odpoczynku.

- Tak. - Znów oparła głowę na jego ramieniu. - Czy moglibyśmy po prostu posiedzieć tu przez chwilę? Tak jak teraz?

- Oczywiście. - Z łatwością przyszło mu przytulić ją do siebie i trzymać w mocnym uścisku.

## ROZDZIAŁ 10

Wy tłumaczył jej, że nie ma sensu jechać do miasta, przedzierać się przez korki spowodowane przez miłośników fajerwerków. Zwłaszcza że wiejski dom Grace idealnie nadawał się na nocleg i kryjówkę.

W gruncie rzeczy chodziło mu o to, że skoro MJ załamała się raz, mogłaby zrobić to ponownie. Przyzwoity posiłek i pokrzepiający sen być może pozwolą jej odzyskać równowagę.

W każdym razie tego dnia spędzili w samochodzie przeszło pięć godzin po drzemce, która trwała niewiele ponad godzinę. Gdyby natychmiast ruszyli w powrotną drogę, na pewno czuliby się tak, jakby wysiłek włożony w odnalezienie domu Grace został zmarnowany.

Poza tym chciał mieć trochę czasu, by spokojnie popracować nad planem, który zaczął rodzić się w jego głowie.

- Weź prysznic. Pożycz podkoszulek czy co tam chcesz od twojej przyjaciółki. Od razu poczujesz się lepiej.

- To nie powinno zaszkodzić. - Zdobyła się na uśmiech. - Zdawało mi się, że też masz ochotę na prysznic. Nie chcesz zaoszczędzić wody?

- Cóż... - To było kuszące. Mógł z łatwością wyobrazić sobie, jak wchodzi wraz z nią pod chłodny natrysk, namydłą siebie - namydłą ją - i pozwala, by sprawy przybrały swój własny interesujący bieg.

Przyszło mu również do głowy, że MJ od wielu godzin nie była sama nawet przez pięć minut. Mniej więcej tyle potrafił jej w tej chwili dać.

- Najpierw poszukam czegoś do picia. Zobaczymy, czy twoja przyjaciółka ma tu jakieś puszki, które zdołam otworzyć. - Pocałował ją czule w czubek nosa. - Nie zastanawiaj się i zacznij beze mnie.

- Zgoda, a skoro mowa o czymś do picia, możesz poszukać drinka również dla mnie, ale nie licz na to, że w lodówce znajdziesz piwo. I Bóg jeden wie, co ona trzyma w tych puszkach.

MJ ruszyła do łazienki, ale po drodze zatrzymała się i odwróciła.

- Jack? Dzięki, że pozwoliłeś mi to z siebie wyrzucić. Wcisnęła ręce w kieszenie. Jej oczy, te piękne skośne kocie oczy, były jeszcze zapuchnięte od płaczu, a policzki blade z wyczerpania.

- Domyślałam się, że właśnie tego potrzebowałam.

- Tak, a dzięki tobie nie czuję się jak kompletna idiotka. A więc dziękuję - powtórzyła i weszła do łazienki.

Rozebrała się z zadowoleniem, niemal siłą odrywając bawełnę i dzins od lepkiej, rozgrzanej skóry. Pełen prostoty styl, który Grace wybrała dla reszty domu, nie obowiązywał w jej łazience. Była to czysta ekstrawagancja.

Dzięki kafelkom o barwach bladego błękitu i mglistej zieleni wyglądała jak chłodna nadmorska łąka. Olbrzymia niczym jezioro biała wanna pośrodku była zaopatrywana w wodę przez tryskające z jej ścianek strumyki i obramowana szerokim skrajem, na którym bujnie rosły paprocie w donicach w kolorze herbatników.

Przy jednej ze ścian stała olbrzymia toaletka z imponującym postumentem służącym jako stołek i lustrem do makijażu w miedzianych ramach. Górne oświetlenie dawały liczne lampy z matowego szkła w kształcie tulipanów. Lustrzane drzwi, za którymi ukryto bieliznę i ręczniki wielkości prześcieradeł, powiększały i tak spore wnętrze, potęgując wrażenie rozległości i luksusu.

Choć MJ przez chwilę zastanawiała się nad kąpielą w wannie z perlistymi strumykami, po namyśle ruszyła do bloku z falistego szkła, za którym krył się prysznic. Końcówki natryskowe umieszczono w trzech ścianach na różnych poziomach. Rozkręciła je wszystkie do oporu, a potem z głębokim westchnieniem sięgnęła po kosztowne mydło i szampon Grace.

Znajomy zapach sprawił, że znów zachciało jej się płakać. Tak bardzo przypominał Grace.

Jednak nie pozwoliła sobie na płacz, już żałowała wcześniejszych łez. W niczym jej nie pomogły. Zwykłe codzienne czynności były o wiele skuteczniejsze. Prysznic, posiłek, odrobina wytchnienia, wszystko to przywróci jasność jej myślom. Bez wątplenia potrzebowała paru godzin snu, by naładować baterie. Nie tylko wskutek tego idiotycznego napadu płaczu chwiała się na nogach i kręciło jej się w głowie.

Należało działać, trzeba było wykonać jakiś ruch, i to szybko. Aby to uczynić, musi być wypoczęta i sprawna.

Właściwie nie miało znaczenia, że upłynął zaledwie dzień. Każda godzina, w której nie mogła skontaktować się z Bailey czy Grace, była dla niej torturą.

Najwyższy czas wszystko uporządkować. Jej świat musi wrócić na swoje miejsce. A kiedy to się stanie, będzie musiała zmierzyć się z tym, co się dzieje, i tym, cokolwiek się będzie działo między nią a Jackiem.

Była w nim zakochana, nie miała co do tego wątpliwości. Tempo, w jakim uległa jego urokowi, tylko spotęgowało to uczucie. Nigdy, wobec żadnego mężczyzny nie czuła tego, co wobec Jacka - to uczucie przenikało ją na wskroś. A namiętności, którą mogłaby powściągnąć, towarzyszyło całkowite zaufanie, głębokie przywiązanie, pomieszany z dumą szacunek i pewność, że mogłaby spędzić z nim całe życie - jeśli nie w absolutnej zgodzie, to w obopólnym zadowoleniu.

Podsunęła twarz pod najwyżej umieszczony natrysk. W tym momencie uświadomiła sobie, że rozumie Jacka. Wątpiła, czy on zdaje sobie z tego sprawę, ale była to szczerą prawdą. Rozumiała jego samotność, zabliźniony ból i dumę z własnych umiejętności.

Był zarazem dobry i cyniczny, cierpliwy i impulsywny. Miał umysł badacza, wdzięk poety - i więcej niż domieszki nonkonformisty. Żył na swój własny sposób, ustalając własne reguły i łamiąc je, kiedy tak postanowił.

Miał wszystkie cechy mężczyzny, z którym chciałaby dzielić życie.

Właśnie to ją niepokoiło. To, że zaczęła myśleć o małżeństwie, trwałości i stworzeniu rodziny z mężczyzną, który w tak oczywisty sposób unikał wszystkich tych rzeczy i uciekał przed nimi przez większość życia.

Być może jednak, ponieważ te pomysły narodziły się tak niedawno, mogła zdusić je w zarodku. Miała swoją firmę, swoje życie. Pragnienie, żeby Jack stał się jego częścią, nie musiało zmieniać podstawowego porządku rzeczy.

Przynajmniej taką miała nadzieję.

Zakręciła prysznic, owinęła się ręcznikiem i, tylko ze względu na Jacka, nie pożałowała pachnącego balsamu do ciała. I znów poczuła się jak kobieta. Wycierając ręcznikiem włosy, powędrowała nago do sypialni, by pobuszować w szafach.

Przynajmniej na wsi garderoba Grace skłaniała się ku prostocie. MJ nałożyła bluzeczkę z krótkimi rękawami w drobną białą - niebieską kratkę, a w szufladzie komody znalazła parę bawełnianych szortów. Były na nią trochę za obszerne. Grace wciąż mogła pochwalić się figurą fotomodelki, którą kiedyś była, a MJ natura nie obdarzyła krągłymi biodrami. Spodenki były również za krótkie, ponieważ MJ miała o parę centymetrów dłuższe nogi niż jej przyjaciółka.

Ale przyjemnie chłodziły skórę i kiedy je nałożyła, przestała się czuć jak kobieta, która od dwóch dni nie zmieniała ciuchów.

Miała zamiar rzucić ręcznik w kąt, ale wzniosła oczy do góry na myśl o tym, jak zareagowałaby na taki postępek przyjaciółka. Posłusznie wróciła do łazienki i przerzuciła go

przez obudowę prysznic. Po czym na bosaka, z wilgotnymi włosami zwijającymi się w pierścionki wokół twarzy, ruszyła na poszukiwanie Jacka. Znalazła go w kuchni.

- Nie tylko zaczęłam bez ciebie - powiedziała. - Skończyłam też bez ciebie. Jesteś powolny, Dakota.

Odwrócił się, wciąż wpatrując się ze zmarszczonym czołem w trzymany w dłoni mały słoik.

- Znalazłem tylko... - Zamilkł, oszołomiony. Powiedział sobie przedtem, że MJ nie jest piękną, i była to prawda. Ale robiła wrażenie. Działała na niego tak samo jak poprzednio, ten ponętny, zmysłowy wygląd, niewiarygodne nogi, jeszcze dłuższe w maleńkich błękitnych szortach. Zatknęła kciuki za ich przednie kieszenie, twarz rozświetlał jej szeroki, na wpół prowokujący uśmiech, a wilgotne włosy kręciły się idiotycznie, zakrywając uszy.

- Ładnie się umyłaś, kotku.

- Trudno byłoby tego nie zrobić pod tym wymyślnym prysznicem Grace. Poczekaj, aż go zobaczysz. - Przekrzywiła głowę, kiedy poczuła, że przyjemne gorąco zaczyna wędrować w górę od jej palców u nóg. - Nie wiem, dlaczego tak na mnie patrzysz, Jack. Widziałeś mnie bez ubrania.

- Cóż. Może mam słabość do smukłych kobiet w króciutkich szortach. Czy pożyczyles od niej również bieliznę?

- Nie. Niektórych rzeczy nie dzielą nawet najbliższe przyjaciółki. Na samej górze listy są mężczyźni i bielizna.

Odstawił słoik.

- W takim razie...

Uniosła dłoń i uderzyła go lekko w pierś.

- Raczej nie, kolego. Pachniesz w tej chwili niezupełnie jak róża. A poza tym jestem głodna.

- Kiedy kobieta się umyje, robi się wybredna. - Ponownie przejechał dłonią po podbródku, odnotował w pamięci, żeby tym razem wyjąć z bagażnika maszynkę do golenia. - Nie powiedziałbym, że mamy tu wielki wybór. Ta twoja Grace trzyma jakiegoś wyszukanego francuskiego szampana w lodówce i luksusowe francuskie wino na półce w schowku. Ponadto trochę krakersów w puszkach oraz jakieś makarony w szklanych słojach. Znalazłem też pastę pomidorową. Myślę, że można potraktować to jako zaczątek spaghetti.

- Czy to oznacza, że któreś z nas musi gotować?

- Obawiam się, że tak.

Wpatrywali się w siebie przez pełne dziesięć sekund.



- W porządku - postanowił. - Będziemy rzucać monetę.

- To uczciwe. Orzeł, ty gotujesz. - MJ wyciągnęła ćwierć - dolarówkę. - Reszka, ja.

Tak czy inaczej, mam wrażenie, że potem będziemy musieli poszukać czegoś na żołądek.

Syknęła, kiedy moneta upadła reszką do góry.

- Nie ma tu nic innego? Czegoś, co moglibyśmy po prostu zjeść z puszki?

- Ty gotujesz - podkreślił, ale wyciągnął jeszcze jeden słoik. - Są rybie jaja.

- Nie lubisz kawioru?

- Daj mi pstrąga, usmaż go, to rozumiem. Ale dlaczego, u diabła, miałbym jeść jakieś rybie jaja? - Rzucił jej słoik. - Poczęstuj się. Pójdę się umyć, a ty tymczasem zrobisz coś z tą pastą pomidorową.

- Prawdopodobnie nie będzie ci smakowało - powiedziała ponuro, ale po jego wyjściu z kuchni wyciągnęła rondel.

Po trzydziestu minutach pojawił się ponownie. Włosy miał zaczesane do tyłu, twarz starannie ogoloną. Uznał, że zapachy unoszące się z rondla nie są takie straszne. Drzwi kuchenne były otwarte, a MJ siedziała w patiu, wpychając do ust krakersa z kawiozem.

- Niezły - skomentowała, widząc Jacka. - Po prostu udajesz, że to coś innego, a potem splukujesz go tym. - Popiła szampana, wzruszyła ramionami. - Grace lubi takie rzeczy. Zawsze tak było. Właśnie tak została wychowana.

- Otoczenie może zepsuć charakter - zgodził się, po czym otworzył usta i pozwolił MJ wpełznąć w niego krakersa. Skrzywił się, chwycił jej kieliszek i splukał smak. - Wolałbym hot doga i dobre ciemne piwo.

Westchnęła, w pełni się z nim zgadzając.

- Faktycznie, ale cóż, żebracy nie mogą grymasić, kolego. Tutaj na powietrzu jest całkiem miło. Trochę się ochłodziło. Ale wiesz, na czym polega kłopot? Po prostu niczego nie słychać. Żadnych pojazdów, żadnych głosów, żadnego ruchu. Skóra mi od tego cierpie.

- Ludzie, którzy mieszkają w takich miejscach, tak naprawdę nie przepadają za towarzystwem. - Był na tyle głodny, że sam przyrządził sobie kolejnego krakersa z kawiozem.  
- Ty i ja, MJ, jesteśmy zwierzętami towarzyskimi. Najlepiej czujemy się w tłoku.

- Tak, właśnie dlatego przez większość wieczorów pracuję w pubie. Lubię godziny szczytu. - Zamyśliła się, obserwując słońce, które szybko chowało się za drzewami. - Dziś w nocy będzie spokojnie. Niedziela, i do tego święto. Wszyscy będą się zastanawiać, gdzie się podziałam. Na szczęście mam znakomitą główną kelnerkę. Poradzi sobie.

Poruszyła się niespokojnie, sięgnęła po kieliszek.

- Pewnie policja przyszła do pubu, porozmawiali z nią i z barmanami, a także niektórymi stałymi gośćmi. Na pewno wszyscy się niepokoją.

- To nie potrwa długo. - Już od jakiegoś czasu pracował nad udoskonaleniem swego planu, szukając ewentualnych niebezpieczeństw. - Twój pub przez kilka dni da sobie radę bez ciebie. Chyba od czasu do czasu robisz sobie wakacje, prawda?

- Parę tygodni tu czy tam.

- Następny ma być Paryż. Była zdziwiona, że to zapamiętał.

- Taki mamy plan. Byłeś tam kiedyś?

- Nie. A ty?

- Nie. Kiedy byłam dzieckiem, wybraliśmy się do Irlandii. Ojciec stał się strasznie sentymentalny. Dorastał na West Side na Manhattanie, ale pomyślałbyś, że urodził się i wychował w Dublinie i został porwany przez Cyganów. Poza tym jednym wypadem, nie wyjeżdżałam za granicę.

- Ja byłem w Kanadzie, w Meksyku, ale nigdy nie leciałem nad oceanem. - Uśmiechnął się i znów wziął od niej kieliszek. - Zdaje się, że twój sos się przypala, kotku.

Zakłęła, zerwała się na równe nogi i pognąła do kuchni. Podczas gdy mruzczała coś pod nosem, sprawdził wzrokiem, ile jeszcze zostało w butelce. W innych okolicznościach nie zalecałby alkoholu jako środka uspokajającego, ale czasami zdarzają się trudne momenty. Kiedy wspomniał o Paryżu - i tym samym przypomniał jej o przyjaciółkach, zauważył w jej oczach cierpienie.

Przez parę godzin, przez tę jedną noc zamierzał sprawić, by o wszystkim zapomniała.

- Zdażyłam - powiedziała, odgarniając włosy, gdy znów wyszła do patia. - I nastawiłam wodę na makaron. Nie wiem, jak długo trzeba gotować ten sos - pewnie ze trzy dni, ale my zjemy, go jako półprodukt.

Uśmiechnął się szeroko i podał jej kieliszek, który właśnie napełnił.

- To mi odpowiada. Zdaje się, że została jeszcze jedna butelka tego chłodzącego napoju.

- Tak, zwrócę go jej przy okazji. Mój dostawca wprost je uwielbia. - Wypiła trochę i zachichotała wprost w delikatne bąbelki. - Wyobrażam sobie, co by powiedzieli moi klienci, gdybym umieściła Brother Dom w karcie.

- Ja zaczynam się do niego przyzwyczajać. - Wstał, przejechał dłonią po jej włosach. - Nastawię jakąś muzykę. Tu jest stanowczo zbyt spokojnie.

- Dobry pomysł. - Ostrożnie zerknęła przez ramię. - Wiesz, Grace, zdaje się, mówiła, że są tu niedźwiedzie i tak dalej.

Spojrzał podejrzliwie na las.

- Chyba pójde po mój rewolwer.

Wziął nie tylko rewolwer. Ku jej zaskoczeniu przyniósł do kuchni świece, nastawił cicho radio i odnalazł stację nadającą bluesa. Zatknał jej za ucho różowy kwiat, który trochę przypominał mu goździk.

- Tak, chyba rzeczywiście rudowłose mogą nosić różowe rzeczy - uznał z uśmiechem, przyjrzawszy się jej uważnie. - Wyglądasz interesująco.

Odgarnęła włosy z uszu i odcedziła makaron.

- Co to jest? Nutka romantyzmu?

- Mam jedną w zapasie. - Korzystając z tego, że ma zajęte ręce, pochylił się i skubnął wargami jej szyję. - Przeszkadza ci to?

- Nie. - Przechyliła głowę, rozkoszując się zmysłowym dreszczem przebiegającym wzdłuż kręgosłupa. - A ty, by dopełnić nastroju, zjesz to i będziesz udawał, że ci smakuje. - Zmarszczyła czoło, kiedy wyjął z lodówki kolejną butelkę szampana. - Czy ty masz pojęcie, ile kosztuje butelka, kolego? Nawet w hurcie?

- Żebracy nie mogą pozwolić sobie na wybrzydzenie - przypomniał jej i wyciągnął korek.

Jeśli chodzi o kolację, obydwójce jadali już lepiej - gorzej też. Makaron był odrobinę rozgotowany, sos bez smaku, ale do zniesienia. A ponieważ byli głodni, rzucili się na dokładki bez narzekań.

Postarał się skierować rozmowę na tematy odległe od wszystkiego, co ją niepokoiło.

- Może powinnam użyć tych ziół, które uprawia Grace - zastanawiała się MJ. - Ale nie mam pojęcia, co jest co.

- Jedzenie jest w porządku. - Ujął jej dłoń, pocałował wewnątrz, aż pokręciła głowę ze zdziwienia. - Jak się czujesz?

- Lepiej. - Wzięła do ręki kieliszek. - Do pełna, proszę. Nerwy? Zabawne, pomyślał, nie okazywała zdenerwowania, kiedy zakuł ją w kajdanki ani kiedy jechał jak szalencie ulicami Waszyngtonu, uciekając przed ścigającymi ich bandziorami.

Ale pocałuj ją w rękę, a ona trzęsie się jak dziewicza panna młoda podczas nocy poślubnej. Ciekawe, do jakiego stanu uda się ją doprowadzić.

- Lubię na ciebie patrzeć - szepnął.

Pospiesznie wypila szampana, odstawiła kieliszek, znów wzięła go do ręki.

- Patrzysz na mnie od dwóch dni.

- Nie w świetle świec. - Ponownie napełnił jej kieliszek.

- One dodają płomiennego blasku twoim włosom. I oczom. Płomienna gwiazda. -  
Uśmiechnął się leniwie, podał jej kieliszek.

- Jak to idzie? „A piękna jak samotna iskra gwiazdy w wieczornym mroku”.\*

- Tak. - Przełknęła trunek, poczuła, jak zaszczypał ją w gardle. - Chyba tak.

- Jesteś niepowtarzalna, MJ. - Odsunął talerze na bok, by móc muskać wargami jej  
palce. - Ręka ci drży.

- Wcale nie - zaprzeczyła, ale wyszarpnęła rękę na wypadek, gdyby jednak miał rację.  
Upiła kolejny łyk i zmrużyła oczy. - Próbujesz mnie upić, Dakota.

Uśmiechnął się leniwie, pewny siebie.

- Chciałem, żebyś się odprężyła. I byłaś odprężona, MJ. Zanim zacząłem cię uwodzić.

- Tak to nazywasz?

- Dojrzałaś do uwiedzenia. - Odwrócił jej dłoń, teraz skubał zębami wewnętrzną stronę  
nadgarstka. - W głowie ci się kręci od szampana, puls bije nierówno. Gdybyś miała wstać,  
nogi by cię nie podtrzymały.

Nie potrzebowała wstawać, żeby się o tym przekonać. Nawet teraz, kiedy siedziała,  
kolana jej się trzęsły.

- Nie musisz mnie uwodzić. Wiesz o tym.

- Wiem, że mi się to spodoba. Chcę, żebyś drżała, była słaba i moja.

W obawie, że to już się stało, szarpnęła się do tyłu, nagle wytracona z równowagi.

- To głupie. Jeśli chcesz iść do łóżka...

- Znajdziemy się tam, kiedy przyjdzie pora. - Podniósł się i pociągnął ją za sobą, po  
czym jednym władczyim gestem przejechał dłońmi po jej ciele. - Boisz się tego, co mogę z  
tobą zrobić.

- Nie boję się ciebie.

- Ależ boisz się. - Przycisnął ją do siebie, na chwilę zawisł wargami nad jej ustami, ale  
przesunął je i musnął policzek. - I to bardzo.

Oddychała szybko, nierówno.

- Ugotuj mężczyźnie jeden posiłek, a on już myśli, że jest najważniejszy na świecie -  
powiedziała zgryźliwym tonem, a kiedy zaśmiał się cicho, owiewając ciepłym oddechem jej  
policzek, zadrżała. - Pocałuj mnie, Jack. - Odwróciła twarz, szukając jego warg. - Po prostu  
mnie pocałuj.

---

\* William Wordsworth: Żyła w ustroniu, gdzie ślad ścieżek... Tłum. Stanisław Barańczak. W: Miłość  
jest wszystkim, co istnieje. Poznań 1992, s. 334

- Nie boisz się ognia. - Uciekł przed jej wargami, usłyszał jęk, gdy przesunął ustami po szyi. - Ale ciepło odbiera ci odwagę. Możesz mieć i to, i to. - Musnął wargami jej usta, wycofał się. - Dziś w nocy będziemy mieli jedno i drugie. Nie mamy wyboru.

Szampań wirował jej w głowie, właśnie tak jak zapowiedział. Drżała i przenikały ją obezwładniające dreszcze, i ledwie trzymała się na nogach.

I była bezsilna, tak jak zapowiedział.

Próbowała sięgnąć po ogień, ale płomień tańczył poza jej zasięgiem. Czowała tylko ciepło, pozbawiające sił, słodkie, narkotyczne.

- Dlaczego to robisz? - spytała, gdy wziął ją na rękę.

- Bo tego potrzebujesz - szepnął, - I ja też.

W drodze do sypialni rozgrzał jej skórę drobnymi pocałunkami. W głowie mu wirowało od zmysłowego, pełnego tajemniczości zapachu kobiecego ciała.

Dom był mroczny, pusty, schody na górę oświetlało srebrne księżycowe światło. Jack położył MJ na łóżku i nakrył swoim ciałem. I nareszcie, nareszcie, przyłgął ustami do jej ust.

Członki zrobiły jej się słabe, pocałunek wyczerpał ją, obezwładnił. Broniła się, próbowała trzymać się powierzchni. Ale Jack pogłębił pocałunek tak powoli, tak umiejętnie, tak czule, że , zapadła w pułapkę, którą na nią zastawił.

Wyszeptała jego imię, usłyszała, jak odbiło się echem w jej głowie. W końcu uległa.

Wyczuł zmianę, całkowite poddanie. Ten dar podsycał jego pożądanie, sprawił, że mroczne fale rozkoszy przeniknęły go do głębi, pragnienie prawie pozbawiało go oddechu. Oderwał usta od warg MJ i delikatnie badał nimi tętno bijące mocno i szybko w zagłębieniu jej szyi.

- Poddaj się temu - powiedział cicho. - Po prostu poddaj się i pozwól mi zabrać cię w podróż.

Jego dłonie delikatnie muskały ciało MJ, obrysowując krzywizny i łuki. To dlatego wzdycha, pomyślał. I dlatego jęczy. Zupełnie, jakby mieli przed sobą całą wieczność, uczył się z zapałem jej cudownego ciała. Mocna krzywizna ramienia, długie mięśnie uda, zaskakująco kruche linie szyi.

Rozebrał ją powoli, przyciskając wargi do dłoni, które wyciągały się ku niemu, aż znów opadły bezwładne.

Nie pozostawił jej niczego, czego mogła się uchwycić. Poza zaufaniem. Nie dał nic poza przyjemnością. Czulość przełamała jej opory, a świat skurczył się do burzy, zbierającej się powoli w jej ciele.

Były tam ogień, błyskawice i nieprawdopodobne gorąco, wycie wiatru i huk grzmotów. Ale Jack chronił ją przed żywiołami wszystkowiedzącymi dłońmi i cierpliwymi ustami, prowadząc bezpiecznie ścieżką, którą dla nich wybrał.

Odwrócił ją na brzuch i masował mięśnie jej ramion, aż stały się elastyczne. Ustami wytyczał ścieżkę pocałunków wzdłuż kręgosłupa i sprawił, że drżała na całym ciele.

Słyszała szelest prześcieradeł, kiedy poruszał się nad nią, słyszała jego szeptane obietnice.

A z zewnątrz, z zapadającej nocy dobiegło przejmujące pohukiwanie polującej sowy.

Nie zapomniał o żadnej części jej ciała. Nie pominął żadnego elementu sztuki miłosnej. Leżała pod nim bezradna, otwarta na każde żądanie.

Ukrył twarz między jej piersiami, starając się nie spieszyć teraz, kiedy prowadził ją tak zmysłowo na szczyt.

- Chcę jeszcze więcej - szepnął. - Chcę ciebie całe. Chcę wszystkiego.

Zamknął usta na jej piersi, aż znów się pod nim poruszyła, chwytając gorączkowo powietrze. Kiedy głos MJ załamał się przy wymawianiu jego imienia, Jack połączył się nią i powoli wypełnił ją sobą.

Patrzyli sobie w oczy, biorąc się w posiadanie. W poświacie księżyca widziała tylko jego twarz, ciemne oczy, stanowcze usta, grzywę włosów przetykanych złotem.

Porwana gwałtownym przypływem namiętności uśmiechnęła się do niego.

- Weź więcej. - Czuła drżenie jego palców splecionych z jej palcami. - Weź mnie cała. - Ujrzała w jego oczach błysk triumfu i pragnienia zarazem. - Weź wszystko.

Ogień sięgnął i ogarnął obydwójce.

Kiedy zasnęła, tulił ją do siebie i dopracowywał ostatnie szczegóły planu. W końcu doszedł do wniosku, że szanse na to, czy się powiedzie, czy nie, są takie same.

Dla niej zaryzykowałby o wiele więcej. Tylko dlatego, żeby już nigdy po jej policzkach nie popłynęły łzy. Czekał na to trzydzieści lat i pewnie dlatego zakochał się tak mocno, tak szybko.

Chyba że zechciałby przyjąć bardziej tajemnicze wytłumaczenie i uwierzyć, że to po prostu przeznaczenie - czas, kamień, MJ. Tak czy inaczej, znalazł się w tym samym punkcie. Była pierwszą i jedyną osobą, którą kiedykolwiek kochał i zrobiłby wszystko, żeby ją chronić.

Nawet jeśli oznaczało to utratę jej zaufania.

Nawet jeśli teraz leżał przy niej po raz ostatni, nie powinien narzekać. Nie miał prawa. W ciągu tych dwóch dni dała mu więcej, niż otrzymał przez całe życie.

Kochała go, a to starczało za odpowiedź na wszystkie pytania.

Kiedy Jack leżał w kompletnych ciemnościach, takich, które zdarzają się tylko na wsi, rozmyślając o swoim życiu, zastanawiając się nad przyszłością, inny mężczyzna siedział w pokoju zalanym światłem. Jego pracowity dzień dobiegł końca. Był zmęczony. Ale jego umysł nie potrafił się wyłączyć. A poza tym nie mógł sobie pozwolić na zmęczenie.

Patrzył, jak fajerwerki rysują smugi na niebie. Uśmiechał się, rozmawiał, popijał szlachetne wino, ale przez cały czas od wewnątrz zżerała go wściekłość, jak rak.

Teraz był na szczęście sam, w pokoju, który koił jego duszę. Napawał wzrok obrazem Renoira. Cudowne, delikatne kolory. Subtelne muśnięcia pędzla. I tylko on będzie patrzył na tę świetność.

Tam szkatułka chińskiego cesarza. Lśniące laka, czerwony smok mknący po niej wprost w czarne niebo. Bezcenna, pełna sekretów. A klucz ma tylko on.

Tutaj pierścień z rubinem, który kiedyś ozdabiał królewski palec Ludwika XIV. Wsunął go na swój mały palec. Obrócił kamień do światła i patrzył, jak rzuca ogień. Z królewskiej ręki na jego dłoń, pomyślał. Nie obyło się bez paru przygód po drodze, ale teraz był tu, gdzie jest jego miejsce.

Zazwyczaj takie rzeczy sprawiały mu głęboką, subtelną rozkosz.

Ale nie dziś.

Niektórzy zostali ukarani, pomyślał. Niektórych kara nie dosięga. Ale to mu nie wystarczało.

Jego skarbiec był pełen oszałamiających, unikatowych dzieł sztuki. Ale to mu nie wystarczało.

Trzy Gwiazdy były jedyną rzeczą, która go mogła zadowolić. Oddałby za nie wszystkie swoje bogactwa. Mając je, nie potrzebowałby niczego innego.

Ci głupcy wierzyli, że je rozumieją. Wierzyli, że mogą nad nimi panować. I wymknąć się mu. A one były przeznaczone dla niego. To oczywiste. Ich moc była mu przeznaczona od zawsze.

A ich stratę odczuwał równie boleśnie jak szklany pył w gardle.

Wstał, zdarł rubin z palca i rzucił go przez pokój jak dziecko rzuca zepsutą zabawkę. Dostanie je z powrotem. Był tego pewny. Ale najpierw trzeba złożyć ofiarę. Bogu, pomyślał z powolnym uśmiechem. Naturalnie bogu.

Krwawą ofiarę.

Wyszedł z pokoju, zostawiając w nim zapalone światło. I resztki rozumu.

## ROZDZIAŁ 11

Jack zastanawiał się, czy nie zostawić kartki. Kiedy MJ się obudzi, przy jej boku nie będzie nikogo. Z początku pewnie pomyśli, że wybrał się na poszukiwanie tego małego sklepiku, o którym przedtem mówiła.

Będzie zniecierpliwiona, trochę zirytowana. Po godzinie czy dwóch może zacznie się martwić, czy nie zabłądził na bocznych drogach.

Ale wkrótce zda sobie sprawę, że odjechał na dobre.

Kiedy o pierwszym brzasku schodził cicho po schodach, wyobrażał sobie, że wtedy MJ wpadnie we wściekłość. Przebiegnie jak burza przez cały dom, przeklinając go i złorzecząc. Prawdopodobnie na czymś się wyładuje.

Niemal żałował, że tego nie zobaczy.

Może przez chwilę będzie go nienawidzić. Ale tutaj będzie bezpieczna. To liczyło się przede wszystkim.

Wyszedł na dwór, wprost w chłodną, poranną mgłę, która okryła płaszczem drzewa i przysłoniła niebo. Kilka ptaków zbudziło się wraz z nim i teraz stroiły gardła. Kwiaty Grace nasyciły powietrze cudownym zapachem, a na trawie lśniły krople rosy. Na skraju lasu zobaczył jelenia. Możliwe, że to ta sama łania, która stała na drodze poprzedniego dnia.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, obydwójce zaciekawieni, a zarazem obawiający się obcych. Wreszcie łania, zbywając go, pobiegła niemal bezszelestnie skrajem lasu i powoli została przezeń wchłonięta.

Spojrzał na dom, w którym zostawił śpiącą MJ. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, wróci po nią przed zapadnięciem zmroku. Zdawał sobie sprawę, że to nie będzie proste, musiał jednak wierzyć, że w końcu uda mu się ją przekonać, iż zrobił tylko to, co uważał za najsluszniejsze w tej sytuacji. A jeśli przy tym zranił jej uczucia, trudno, zranione uczucia to jeszcze nie koniec świata.

Znów zastanowił się, czy nie zostawić kartki - coś zwięzłego i do rzeczy. Ostatecznie postanowił tego nie robić. Ona sama wystarczająco szybko domyśli się, co się stało. Bystra z niej kobieta.

Jego kobieta, pomyślał, wsuwając się za kierownicę. Cokolwiek stanie się z nim tego dnia, ona będzie bezpieczna.



Niczym żołnierz gotowy do bitwy, rycerz gotów do ataku, uzbroił się w męstwo, by zostawić swą damę i ruszyć wprost w mgłę. W tak podniosłym nastroju obrócił kluczyk w stacyjce. Silnik odpowiedział tępym trzaskiem.

Jego nastrój opadł jak żagiel nagle pozbawiony wiatru.

Wspaniale, doskonale, właśnie tego mu było trzeba. Wyskoczył z samochodu, z trudem powstrzymując się przed zatrzaśnięciem drzwi, i okrążył maskę. Mamrocząc przekleństwa, otworzył ją gwałtownie i wsadził głowę do środka.

- Zgubiłeś coś, kolego?

Powoli wysunął głowę spod maski. MJ stała na werandzie, rozstawiwszy szeroko nogi, ze zwiniętymi w pięści rękami na biodrach, z jadem w oczach. Wystarczyło rzucić okiem, żeby się zorientować, że znikła głowica rozdzielacza. Nie musiał nawet patrzeć na MJ, by wiedzieć, że go załatwiła.

Zachował spokój. Na swej pełnej wybojów drodze życia radził sobie z trudniejszymi przeszkodami niż jedna rozwścieczona kobieta.

- Na to wygląda. Wcześniej wstałaś, M J.

- Ty też, Jack.

- Byłem głodny. - Wyszczерzył radośnie zęby, ale trzymał się z dala od niej, na wszelki wypadek. - Myślałem, że uda mi się upolować jakieś śniadanie.

- A masz maczugę w samochodzie?

- Maczugę?

- Chyba tak właśnie postępowali jaskiniowcy, prawda? Brali maczugę i ruszali w las, by grzmotnąć niedźwiedzia na piecyste.

Kiedy zeszła po schodach w jego kierunku, Jack, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, oparł się o zderzak.

- Miałem na myśli coś bardziej cywilizowanego. Coś takiego jak jajka na bekonie.

- Tak? Ciekawe, gdzie o tej porze zamierzałeś znaleźć jajka i bekon?

Załatwiła go.

- No... myślałem, że mógłbym, no wiesz, znaleźć jakiegoś farmera i... - Powietrze ze świstem uszło mu z płuc, kiedy dostał pięścią w brzuch.

- Nie waż się mnie okłamywać. Czy ja wyglądam na idiotkę?

Zakaszła, odzyskała oddech i zdołał się wyprostować. Nie, posłuchaj...

- Sądzisz, że w nocy nie domyślałam się, co się dzieje? To, w jaki sposób się ze mną kochałeś, mówiło samo za siebie.

Myślisz, że rozrzewniłeś mnie na tyle, że nie zorientuję się, że to wielka scena pożegnania? Ty skurczybyku! - Znów się zamachnęła, ale tym razem zdążył się uchylić, więc minęła jego szczękę o parę centymetrów.

Teraz on zaczął się irytować. Nigdy jeszcze nie potraktował kobiety z taką atencją, z jaką obchodził się ostatniej nocy z MJ, a teraz ona wykorzystuje to przeciwko niemu.

- A co ty zrobiłaś? Podkradłaś się tu w środku nocy i zniweczyłaś moje plany.

Ujrzał odpowiedź na swoje pytanie w oszczędnym, pełnym zadowolenia uśmiechu, który pojawił się na jej twarzy.

- O, to miłe. Naprawdę miłe. Pełne zaufanie.

- Jak śmiesz mówić o zaufaniu! Zamierzałeś mnie tu zostawić.

- Tak, to prawda. Gdzie jest głowica rozdzielacza? - Wziął ją stanowczo pod rękę, zanim zdołała zadać mu kolejny cios. - Gdzie?

- A dokąd to się wybierałeś? Jaki znowu idiotyczny plan obmyśliłeś w tym swoim małym, głupim mózdzku?

- Zamierzam zadbać o interesy - powiedział ponuro. - Wrócę po ciebie, jak skończę.

- Wrócisz po mnie? Kim ja dla ciebie jestem, jakaś maskotka? - Szarpnęła się, ale udało jej się oswobodzić dopiero, gdy wbiła mu obcas w środek stopy. - A ty chciałeś wrócić do miasta, prawda? Szukać kłopotów.

Był na nią tak wściekły, że tylko przez moment zastanawiał się, ile mogła mu złamać kości w stopie.

- Wiem, co robię. J właśnie to robię. A ty oddasz mi głowicę i zaczekasz tu na mnie.

- Ani myślę. Zaczęliśmy to razem i razem skończymy.

- Nie. - Odwrócił ją i przycisnął jej plecy do samochodu. - Nie będę cię narażał.

- A odkąd to jesteś za mnie odpowiedzialny? Sama decyduję, czy mogę ryzykować, czy nie. Zabierz ode mnie te łapy.

- Nie. - Pochylił się, splótł jej dłonie ze swoimi. - Raz w życiu zrobisz to, co ci mówię. Zostaniesz tutaj. Bez ciebie będę mógł się poruszać szybciej i niech mnie diabli, jeśli pozwolę sobie na to, by rozpraszało mnie martwienie się o ciebie.

- Nikt cię nie prosi, żebyś się o mnie martwił. A co właściwie zamierzasz?

- Zmarnowałem już dość czasu, pozwalając, by mnie ścigali. Pora wyciągnąć ich z cienia i zmierzyć się z nimi na moim terenie, na moich warunkach.

- Wyruszasz na poszukiwanie tych dwóch maniaków w furgonetce? - Serce skoczyło jej do gardła, ale nie pozwoliła, żeby owładnął ją strach. - Świetnie. Dobry pomysł. Jadę z tobą.

- Zostaniesz tutaj. Jeżeli do tej pory nie znaleźli tego miejsca, to już nie znajdą. Tu będziesz bezpieczna. - Podciągnął ją, aż stanęła na palcach i potrząsnął. - MJ, nie mogę tak cię narażać. Jesteś wszystkim, co ma dla mnie znaczenie. Kocham cię.

- A ja mam siedzieć tu jak jakaś bezradna kobietka i pozwalać, żebyś ryzykował sam?

- Właśnie.

- Ty arogancki kretynie! A co według ciebie powinnam zrobić, jeśli dasz się zabić? Chciałam ci przypomnieć, że to mój problem, moja sprawa. To ty jesteś ze mną i nigdzie beze mnie nie pojedziesz.

- Będziesz mi przeszkadzała.

- To kompletna bzdura. Jakoś sobie do tej pory radziłam.

Jadę, Jack, a jeśli nie chcesz wracać do Waszyngtonu autostopem, możesz jechać ze mną, masz to załatwione.

Odskoczył, mrucząc coś pod nosem, po czym zaczął chodzić tam i z powrotem. Przez chwilę rozważał, czy nie przykuć jej kajdankami w domu. To byłaby brutalna walka - i on by wygrał. A gdyby sprawy nie ułożyły się po jego myśli...? Nie potrafił przewidzieć, ile czasu by upłynęło, zanim ktoś by ją znalazł.

Nie, nie mógł zostawić jej samej, skutej kajdankami w pustym domu na odludziu.

Mógł skłamać. Zgodzić się na jej warunki, a potem wyrzucić ją po drodze. Nie byłoby łatwo pozbyć się jej, ale to było jakieś wyjście. Mógł też całkiem zmienić taktykę.

Odwrócił się, uśmiechnął ujmująco.

- No, dobrze, kotku. Powiem ci całą prawdę. Mam dość.

- Masz dość?

- To było zabawne, a nawet pouczające, ale robi się nudne. Nawet pięćdziesiąt tysięcy, które mi obiecałaś, nie jest warte nadstawiania karku. A więc pomyślałem sobie, że skoczę na parę tygodni na północ, przeczekać, aż wszystko się uciszy. - Wzruszył niechętnie ramionami, czując na sobie jej wzrok. - Między tobą a mną zaczynało się robić gęsto. To nie w moim stylu. A więc doszedłem do wniosku, że się zmyję po cichu, unikając obowiązkowej sceny rozstania. Na twoim miejscu wezwałbym gliny, dał im kamień i uznał ten weekend za jeden z bardziej interesujących.

- Zostawiasz mnie - powiedziała głosem, który sprawił, że poczuł się jak śmieć.

- Powiedzmy po prostu, że ruszam w dalszą drogę. Facet musi dbać przede wszystkim o własne interesy.

- A to wszystko, co mi mówiłeś...

- No, kotku, obydwójce jesteśmy wolnymi strzelcami. Obydwójce wiemy, co jest grane. Podrzucę cię do najbliższego miasta i dam parę dolców na dalszy transport.

Bez słowa ruszyła chwiejnie do werandy. Każdy jej krok odczuwał jak cios w samo serce. Kiedy ciężko usiadła i ukryła twarz w dłoniach, miał ochotę zapaść się pod ziemię.

Będzie bezpieczna, powtarzał sobie. Liczy się tylko to, że będzie...

Śmiała się jak szalona. Patrzył z otwartymi ustami, jak odrzuca głowę do tyłu i pokłada się ze śmiechu. Dłonie przycisnęła do brzucha, nie w obronie przeciwko atakowi serca, ale żeby nie pęknąć z uciechy.

- Ty kretynie - wykrztusiła wreszcie. - Naprawdę myślałeś, że dam się na to nabrać? - Z trudnością wyrzucała słowa między kolejnymi atakami niepohamowanego śmiechu. Im bardziej ponurą miał minę, tym dziksza radość ją ogarniała. - Domyślam się, że teraz powinnam ze łzami w oczach wręczyć ci głowicę i pozwolić zostawić mnie gdzieś, gdzie mogłabym pielęgnować moje złamane serce. - Wytarła zażawione oczy. - Tak bardzo mnie kochasz, Dakota, że nie myślisz jasno.

Myślał wystarczająco jasno. Właśnie się zastanawiał, jak by jej się podobało, gdyby zacisnął jej ręce na gardle i obdarzył ją miłym, kochającym uściskiem.

- Mógłbym sobie z tym poradzić - mruknął.

- Nie, nie mógłbyś. Walnęło cię prosto między oczy. Znam to uczucie. Jesteśmy skazani na siebie, Jack. Żadne z nas nie mogłoby sobie z tym poradzić. - Odetchnęła głęboko, potarła dłonią bolące zębra. - Powinnam ci dokopać za to, że próbowałeś, ale to było zbyt głupie. I zbyt słodkie.

Wecisnął ręce w kieszenie. To ostatnie słowo sprawiło, że czuł się jak kompletny idiota. Zrozumiał, że próba przechrzenia MJ zdała się na nic. Gniew ani groźby nie zmieniły jej postanowienia ani na jotę, a kłamstwa tylko ją rozbawiły.

Zdecydował więc, że spróbuje prawdy. Prostej, nagiej prawdy. I będzie bronił swego stanowiska.

- Zgoda, masz rację. - Podeszedł do niej, usiadł obok i wziął ją za rękę. - Nigdy dotąd nikomu nie powiedziałem, że go kocham - zaczął. - Nigdy nikogo nie kochałem. Ani kobiety, ani rodziny, ani przyjaciela - dodał.

- Jack. - Przepełniona uczuciem, odgarnęła mu włosy z czoła. - Po prostu nigdy nie dano ci szansy.

- Nieważne - powiedział gwałtownie, zaciskając palce na jej palcach. - Naprawdę myślałem to, co mówiłem w nocy. Jesteś tylko ty, MJ. - Przycisnął jej dłoń do warg,

przytrzymał ją tak przez chwilę. - Nie potrafiłabyś tego zrozumieć, nie do końca. Przez całe życie otaczali cię ludzie, którzy wiele dla ciebie znaczyli.

- To prawda. - Wzruszona, pochyliła się ku niemu, pocałowała w policzek. - Są ludzie, których kocham. Może ty nie jesteś jedyny, Jack, ale to, co do ciebie czuję, różni się od wszystkiego, co kiedykolwiek czułam w stosunku do drugiego człowieka.

Patrzył przez chwilę na ich złączone dłonie.

- Tak dobrze do siebie pasują prawda? - zauważył. - Po prostu połączyły się, zupełnie jakby każda z nich czekała na parę. Przez długi czas żyłem na swój własny sposób - ciągnął. - Stroniłem od niepotrzebnych komplikacji. Unikanie stałych związków nie było trudne. Dopóki nie poznałem ciebie.

Spojrzał jej w oczy i musnął dłonią policzek.

- Wczoraj płakałaś zaniepokojona losem przyjaciółek, z którymi jesteś tak blisko związana. To mnie zważyło z nóg.

Kiedy cię obejmowałem płaczącą, uświadomiłem sobie, że zrobiłbym dla ciebie wszystko. Pozwól mi na to.

- Zamierzałaś mnie tu zostawić dlatego, że płakałam?

- To całkiem proste. W końcu pełni zdałem sobie sprawę z tego, ile znaczą dla ciebie twoje przyjaciółki i jak bardzo to w sobie tłumiłaś. Chcę ci pomóc. I im też.

Na chwilę odwróciła głowę, by ukryć łzy. To nie była stosowna pora do okazania słabości. Słowa Jacka i głębokie uczucie, które wyczuwała za nimi, poruszyły ją bardziej niż cokolwiek do tej pory.

- Pokochałam cię, Jack. - Westchnęła głęboko. - Teraz jestem bliska tego, by cię wielbić.

- A więc zostaniesz?

- Nie - ujęła w dłonie jego twarz - ale nie jestem już na ciebie wściekła.

- Wspaniale. - Zerwał się ze schodków i znów zaczął chodzić tam i z powrotem. - Czy nie słyszałaś ani słowa z tego, co powiedziałem? Nie mogę cię wystawiać na takie ryzyko. Nie mógłbym znieść, gdyby coś ci się stało.

- A ja mam uporać się z tym, jeśli coś stanie się tobie? To nie działa w taki sposób, Jack. - Podniosła się i stanęła na wprost niego. - Nie dla mnie. To, co ty czujesz wobec mnie, ja czuję wobec ciebie. Tkwimy w tym razem. Na równych prawach. - Uniosła rękę, zanim zdołał się odezwać. - I nie mów mi żadnych bzdur o tym, że ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą.

Szczerze mówiąc, miał te słowa na końcu języka.

- Nie przyniosłoby mi to wielkiego pożytku.

- A więc ustalone. - Przechyliła głowę na bok. - I pozwól, że dodam coś jeszcze na wypadek, gdyby przyszedł ci do głowy wspaniały pomysł pozbycia się mnie gdzieś po drodze. Jeśli spróbujesz to zrobić, udam się do najbliższej budki telefonicznej i wezwę gliny. Powiem im, że mnie porwałś i wykorzystałeś. Opiszę im ciebie, to, co nazywasz samochodem, i podam im twój numer rejestracyjny. Zanim przejedziesz trzydzieści kilometrów, będziesz się gęsto tłumaczył dzielnemu szeryfowi i jego ludziom.

- Zrobiłabyś to, naprawdę?

- Możemy się założyć. I zrobiłabym to dobrze, tak dobrze, że prawdopodobnie zdefasonowałiby ci tę przystojną buźkę, przed wrzuceniem do celi. Teraz wiemy, na czym stoimy?

- Tak. - Zrozumiał, że nie ma wyjścia. - Wiemy, na czym stoimy. Zabezpieczyłaś się, kotku.

- Masz to jak w banku. - Podeszła do niego, położyła mu dłonie na ramionach. - Możesz liczyć na mnie, Jack. Nie opuszczę cię. - Nie oczekując odpowiedzi, dotknęła wargami jego ust. - Nie odejdę od ciebie - szepnęła i ujrzała błysk zrozumienia w jego oczach. - I nie zawiodę cię. - Znów musnęła ustami jego wargi. - Nie odejdę i nie zostawię cię.

Uświadomił sobie, że ona widzi zbyt wiele. Może więcej niż on sam.

- To nie jest o mnie.

- Ależ jest. Nikt przy tobie nie trwał, ale ja będę. Nikt nie kochał cię wystarczająco, ale ja kocham, - Przesunęła dłonie wzdłuż jego ramion, aż w końcu objęła nimi jego twarz. - Dlatego to wszystko dotyczy nas. Zamierzam być tu dla ciebie, nawet jeśli spróbujesz grać bohatera i odtrącis mnie.

Przegrywał i zdawał sobie z tego sprawę.

- Mogłabyś zacząć od jutra.

- Już jestem przy tobie. No więc, zamierzasz mnie pocałować czy nie?

- Może.

- Pragnę cię - szepnęła, ocierając się o niego zmysłowo. - Teraz, zanim wyruszymy... - przechyliła głowę - na szczęście.

W głowie mu zawirowało, kiedy przyłgnęła do niego tak, że czuł ją całą.

- Trochę dodatkowego szczęścia nie zaszkodzi. Roześmiała się, odciągnęła go od samochodu. Upadli na ziemię i potoczyli się po trawie jeszcze wilgotnej od rosy.

- Pozwól mi... - dyszał i szarpał jej dzinsy. - Nie mogę...

- Tutaj. - Jej ręce splątały się z jego rękami, odciągały materiał na bok. - Pospiesz się.

Znów się obróciła i przejechała ustami po jego nagiej piersi. Chciała się nim nasycić, jego zapachem, smakiem skóry. Przysięgłaby, że ziemia się zatrzęsała, gdy zawładnął jej ustami w namiętym pocałunku, jedną dłonią ujął jej pierś, a drugą...

- Co ty... jak ty... - Pociągnął ją gwałtownie na skraj przepaści. Z trudem chwytając powietrze, odrzuciła głowę, uniosła ręce, oplótła nimi szyję Jacka i bez reszty poddała się namiętności.

Jej mocne, zwinne ciało odpowiadało na każdy ruch jego ciała. Jej pragnienia były tak zachłanne i tak pierwotne jak jego. Być może w tym pośpiechu ją podrapał, ale jej dłonie były nie mniej śmiałe, nie mniej spragnione.

- Teraz - zażądała, a jej oczy lśniły jak oczy kota na polowaniu. - Właśnie teraz.

Z trudem wracali do rzeczywistości i odnajdowali znajome barwy i kształty otoczenia. Mgła się podniosła, słońce zaczęło przygrzewać, rozeszły się cudowne, kwiatowe wonie. A oni trwali w objęciach, wyczerpani i szczęśliwi.

- Kocham cię. - Jego wargi złączyły się z jej ustami, piły z nich jak ze źródła. - Boże, jak ja cię kocham.

- Wiem. - A kiedy wtulił twarz w jej włosy, cały drżący, i całkiem się z nią połączył, nie musiała wiedzieć nic więcej.

- Jack. - Zwichrzyła mu włosy. Słońce świeciło jej w oczy, była przygnieciona ciałem Jacka, a pod plecami czuła wilgotną trawę. Pomyślała, że to jedna z najwspanialszych chwil w jej życiu. - Jack - powtórzyła i westchnęła.

Był niemal gotów na powtórkę.

- Może jednak życie na wsi ma pewien urok. - Oparł się na łokciach. - Dlaczego płaczesz? Chcesz mnie zabić?

- Nie. Słońce świeci mi prosto w oczy. - Czując się głupio, starła pojedynczą łzę. - W każdym razie to nie ten rodzaj płaczu. Nie bój się, nie zamierzam beczeć.

- Czy cię uraziłem? Słuchaj, przepraszam, ja...

- Jack. - Znów westchnęła. - To nie ten rodzaj płaczu, rozumiesz? A w ogóle już w porządku.

Nieufny, wpatrywał się bacznie w te lśniące oczy.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Uśmiechnęła się. - Ty tchórze.

- Wiem. - I nie było mu wstyd przyznać się do tego. Pocałował ją w nos. - Teraz, kiedy mamy to dodatkowe szczęście, ruszajmy lepiej w drogę.

- Nie będziesz próbował żadnych sztuczek, prawda? Pomyślał o tym, jak ujęła jego twarz w dłonie i powiedziała mu, że go nie zostawi. Dotąd w jego życiu nie było nikogo, kto złożyłby mu taką obietnicę.

- Nie. Rozumiem, że stanowimy zespół.

- Dobrze rozumiesz.

MJ poczekała, aż wrócą na autostradę prowadzącą do cywilizacji, zanim spytała:

- No, dobrze, Jack, jaki masz plan?

- Nic wymyślnego. Prostota oznacza mniej pułapek. Tak jak ja to widzę, musimy dotrzeć do tego kogoś, kto pociąga za sznurki. Nasze jedyne powiązanie z nim czy z nią to chłopcy z furgonetki i może bracia Salvini.

- Na razie zgadzam się z tobą.

- Chcę uciąć sobie z nimi małą pogawędkę. Aby to zrobić, muszę ich gdzieś zwabić, utrzymać przewagę i przekonać, że w ich interesie leży udzielenie mi paru informacji.

- W porządku, ci dwaj faceci są uzbrojeni, w dodatku jeden z nich jest mniej więcej tak duży jak Washington Monument. A ty zamierzasz ich przekonać, żeby z tobą pogawędzili. - Uśmiechnęła się do niego promiennie. - Jestem pełna podziwu dla twego optymizmu.

- Wszystko jest kwestią argumentów - powiedział i wyjaśnił, w jaki sposób zamierza osiągnąć cel.

Grzmot przetaczał się po pociemniałym niebie, kiedy Jack zajechał przed firmę Salvinich. Był to dostojny budynek oddzielony od pasażu handlowego dużym parkingiem. Na mniejszym, dobrze utrzymanym prywatnym parkingu Salvinich stał samotny mercedes.

- Wiesz, czyj to wóz?

- Jednego z tych padalców, zdaje się, Thomasa. Bailey mówiła, że zamykają firmę na świąteczny weekend. Jeśli Thomas jest w środku, nie mam pojęcia dlaczego.

- Pomyszkujmy tu trochę.

Jack wysiadł i podszedł do samochodu. Był dokładnie zamknięty, a wewnątrz mrugało światelko alarmu. Najpierw obejrzał frontowe drzwi budynku i zerknął do zaciemnionego salonu wystawowego, ale nie zauważył niczego podejrzanego.

- Czy biura są na górze? - spytał MJ.

- Tak. Bailey, Thomasa i Timothy'ego, - Serce zaczęło jej bić szybciej. - Może ona tam jest, Jack. Bailey rzadko jeździ do pracy samochodem. W końcu mieszkamy tuż obok.



- Hm, hm. - i chociaż nie należało to do jego planu, troska w głosie MJ sprawiła, że zadziałał zgodnie z impulsem i nacisnął brzęczyk przy drzwiach. - Sprawdźmy tyły - powiedział po chwili.

- Może trzymają ją w środku. A może jest ranna? Powinam pomyśleć o tym wcześniej. - Niebo od zachodu rozdarł postrzępiony zygzak błyskawicy. - Może jest w środku, ranna i...

- Posłuchaj, jeśli mamy przeprowadzić nasz plan, musisz się trzymać. Nie ma czasu na załamywanie rąk i snucie przypuszczeń.

- Dobrze. Przepraszam.

Przyjrząwszy się uważnie jej twarzy, skinął głową, po czym podjął marsz na tyły budynku, gdzie dokładnie obejrzał stalowe drzwi awaryjne.

- Ktoś majstrował przy zamkach.

- Co masz na myśli? - Kiedy przykucnął, pochyliła się nad jego ramieniem. - Chodzi ci o to, że ktoś otwierał je wytrychem?

- I to niedawno, żadnej rdzy, żadnego kurzu w zadrapaniach. Ciekawe, czy udało mu się wejść. - Wstał, obejrzał krawędzie, framugi. - Nie próbował wyważać ich łomem ani nie walił w nie f młotkiem. Powiedziałbym, że wiedział, co robi. W innych okolicznościach uznałbym, że to zwyczajne włamanie, ale to coś więcej.

- Potrafisz wejść do środka?

To również nie mieściło się w jego najbliższych planach, ale pomyślał chwilę.

- Chyba tak. Orientujesz się, jaki system alarmowy tu mają?

- Za drzwiami jest skrzynka. Kodowany. Nie znam kodu. Jack... — Z trudem panowała nad głosem. - Ona może tam być. Może jest ranna. Jeśli tego nie sprawdzimy i coś pójdzie nie tak...

- Zgoda. Ale jeśli nie uda mi się wyłączyć alarmu, i to szybko, zostaniemy aresztowani.

Jednak wyjął narzędzia z bagażnika i zabrał się do pracy.

- Obserwuj, co dzieje się za mną dobrze? Upewnij się, że żaden z tych ludzi robiących zakupy w sąsiedztwie, nie interesuje się tym, co się tu dzieje.

Odwróciła się, obrzuciła wzrokiem parking i pobliski pasaż handlowy. Panował duży ruch. Pasaż przemierzały tłumy ludzi, najwyraźniej zbyt zaabsorbowanych korzystnymi zakupami, które już porobili, czy okazjami, na które polowali, by zwracać uwagę na mężczyznę przycupniętego przy drzwiach awaryjnych zamkniętego budynku.

Burza przybliżyła się i z nieba lunął długo oczekiwany deszcz. MJ nie miała nic przeciwko zmoknięciu, a nawet uznała, że ulewa da im lepszą osłonę. Odetchnęła jednak z ulgą, kiedy dał jej znak, że skończył.

- Kiedy otworzę, będę miał prawdopodobnie minutę, najwyżej półtorej, zanim włączy się alarm. Jeśli nie uda mi się rozłączyć przewodów, będziemy musieli uciekać, i to szybko.

- Ale...

- Nie będę słuchał żadnych sprzeciwów, MJ. Jeśli Bailey rzeczywiście jest w środku, gliny będą tu w ciągu paru minut i znajdą ją.

Czy miała jakiś wybór?

- Zgoda.

- W porządku. - Odgarnął mokre włosy z oczu. - Masz zostać tutaj. Jeśli powiem, że masz biec, ruszaj prosto do samochodu.

Biorąc jej milczenie za zgodę, wszedł do środka. Natychmiast zobaczył urządzenie alarmowe. Ze zdziwieniem uniósł brwi.

- Ciekawe - mruknął, po czym ręką dał MJ znak, że może wejść za nim. - Wyłączony.

- Nie rozumiem. Zawsze jest włączony.

- To po prostu nasz szczęśliwy dzień. - Wziął ją za rękę, a drugą zapalił swoją latarkę wielkości długopisu. - Najpierw pójdziemy na górę, zobaczymy, czy znów będziemy mieli szczęście.

- Tymi schodami - powiedziała. - Gabinet Bailey jest na prawo w głąb holu.

- Niezła buda - zauważył, obejmując wzrokiem kosztowne dywany, gustowne kolory, łowiąc jednocześnie uchem dźwięki. Nie było słychać nic poza bębniącym o dach deszczem. Powstrzymał MJ wyciągniętą ręką a sam uchylił drzwi do gabinetu Bailey, po czym omiół pokój światłem latarki.

Wnętrze było uporządkowane, eleganckie i puste. Usłyszał urywany oddech MJ.

- Żadnych śladów walki - uspokoił ją - Sprawdzimy pozostałe pokoje na piętrze, a potem zejdziemy na dół i przejdziemy do realizacji pierwszej fazy planu A.

Przeszedł dalej i na metr przed następnymi drzwiami zatrzymał się.

- Wracaj do jej gabinetu i zczekaj tam na mnie.

- Dlaczego? O co chodzi? - Wtem poczuła ciężki zapach w powietrzu, rozpoznała, co to może być.

- Bailey! O mój Boże!

Jack przycisnął ją plecami do ściany i nie puszczał, aż przestała się szamotać.

- Zrobisz tak, jak powiedziałem - mruknął przez zęby. - Zostaniesz tutaj.

Zamknęła oczy, przyznała w myśli, że z pewnymi rzeczami nie czuje się na siłach zmierzyć. Skinęła głową.

Usatysfakcjonowany, puścił ją. Powoli, ostrożnie otworzył drzwi.

Nigdy w życiu nie widział czegoś takiego, choć śmierć rzadko bywa piękna. Ale to, pomyślał, przesuwając światłem latarki po zniszczeniach dokonanych przez walkę na śmierć i życie, było obłędem.

Życie przegrało.

Odwrócił się szybko, wrócił do MJ. Opierała się o ścianę, blada jak Wosk.

- To nie Bailey - powiedział natychmiast. - To jakiś mężczyzna.

- Nie Bailey?

- Nie. - Dotknął dłonią jej policzka, poczuł, że jest lodowaty, ale z jej oczu zniknął szklisty wyraz. - Sprawdź pozostałe pokoje. Nie chcę, żebyś tam wchodziła, MJ.

- Czy zrobili to co z Ralphem?

- Nie. - Miał beznamiętny, twardy głos. - Znacznie gorzej. Zostań tutaj.

Wszedł do każdego pokoju; sprawdził kąty i szafy, uważając, by niczego niepotrzebnie nie dotknąć, i staranie wycierał powierzchnie, których musiał dotknąć. W milczeniu sprowadził MJ po schodach i szybko, dokładnie przeszukał parter.

- Ktoś tu był - mruknął, kucając, by oświetlić małą wnękę pod schodami. - Kurz jest naruszony. - Z namysłem potarł podbródek. - Powiedziałbym, że jeśli ktoś jest bystry i potrzebuje szybko jakiegoś miejsca, w którym mógłby się ukryć, to byłby dobry wybór.

Jej mokre ubranie kleiło się do skóry. Ale nie dlatego drżała.

- Bailey jest bystra.

Skinął głową, wyprostował się.

- Pamiętaj o tym. Teraz zrobmy to, po co przyszliśmy.

- Dobrze. - Rzuciła ostatnie spojrzenie przez ramię, wyobraziła sobie, jak Bailey kryje się w ciemnościach. Przed czym? - zastanawiała się. Przed kim? I gdzie jest teraz?

Kiedy wyszli na zewnątrz, Jack zaniknął drzwi i wytarł gałkę.

- Myślę, że jeśli zajdzie potrzeba, dostaniesz się do pasażu na tych swoich nogach w trzydzieści sekund.

- Nie mam zamiaru uciekać.

- Będziesz uciekać, jeśli ci każę. - Schował latarkę do kieszeni. - Zrobisz dokładnie to, co ci powiem. Żadnych pytań, żadnych dyskusji, żadnych wahań. - Jego oczy błysnęły niebezpiecznie, a ją znów przeszył dreszcz. - Ktokolwiek zrobił to, co widziałem na górze, to zwierzę, nie człowiek. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętać - obiecała, rozumiejąc, że znaleźli się w poważnym niebezpieczeństwie. - A ty pamiętaj, że jesteśmy razem.

- Mam zamiar dać tym facetom nauczkę, po kolei. Jeśli zdołasz dobiec do furgonetki, jak będę odwracał ich uwagę, i uszkodzisz samochód, to dobrze. Ale nie ryzykuj.

- Już ci powiedziałam, że nie będę.

- Jak tylko ich unieszkodliwię - ciągnął, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie w jej głosie - możemy wykorzystać furgonetkę do naszych celów. Mógłbym w niej z nimi pogawędzić. Myślę, że uda mi się wyciągnąć od nich nazwisko szefa. - Popatrzył na swoją pięść, po czym uśmiechnął się przebiegle, spojrzawszy w oczy MJ. - I trochę podstawowych informacji.

- Ooo... - mimo wszystko zdobyła się na lekką drwinę - jaki męski.

- Przymknij się. W zależności od nazwiska i informacji, jakie uzyskamy, no i od sytuacji, możemy albo iść na policję - co byłoby moim wariantem numer dwa - albo przejść do następnego etapu.

- Zgoda.

Otworzył drzwiczki oldsmobile'a, zczekał, aż MJ wślizgnie się na siedzenie, i podał jej telefon.

- Dzwon. Przeciągnij to przynajmniej do minuty, na wszelki wypadek.

Wystukała numer, po czym zaczęła mówić do automatycznej sekretarki Grace w jej domu przy Potomacu, nie odrywając wzroku od Jacka. Kiedy skinął głową, rozłączyła się.

- Etap drugi? - spytała, z trudem zachowując spokój.

- Czekamy.

Nie minęło piętnaście minut, a na parking Salvinich wjechała furgonetka. Deszcz się zmniejszył, ale nie ustał. Jack, ukryty za podstarzałym kombi, kulił ramiona i obserwował ruchy przybyszów.

Z furgonetki wysiedli dwaj mężczyźni, którzy rozdzielili się i zaczęli powoli obchodzić budynek.

Celem Jacka był większy z nich.

Wykorzystując zaparkowane samochody jako osłonę, przedostał się bliżej. Widział, jak mężczyzna pochylił się, podniósł z ziemi telefon MJ. To był niezły pomysł, uznał Jack. Dał osiłkowi do myślenia. Gdy facet o ptasim mózdzku dumał nad telefonem, Jack skoczył i zaatakował go z rozbiegu, uderzając z całej siły w nerki.

Zdażył jeszcze zapiąć kajdanki na jednym potężnym stalowym nadgarstku i został odrzucony jak mucha.

Poczuł piekący ból, kiedy jego ciało otarło się o wilgotny, ziarnisty asfalt i zwinął się, zanim but o rozmiarze 45 uderzył go w twarz. Wyciągnął rękę, a kiedy natrafił na gigantyczną stopę, spróbował ją unieść.

MJ, która obserwowała walkę z ukrycia, drgnęła, gdy Jack uderzył o ziemię, pomodliła się, kiedy się potoczył po asfalcie, syknęła, kiedy pięści chrupnęły o kość. W końcu zaczęła przekradać się w kierunku furgonetki, co chwila zerkając do tyłu, by obserwować przebieg starcia.

Został pokonany, pomyślała z rozpaczą. W najlepszym razie skreca mu kark. Zbierała się w sobie, zamierzając rzucić mu się z odsieczą, kiedy zauważyła, że drugi mężczyzna okrąża dalszy róg budynku.

Będzie przy nich za chwilę. Plan Jacka, by unieszkodliwić ich obu, jednego po drugim, walił się w gruzy. Nabrała powietrza, chcąc wykrzyknąć ostrzeżenie, ale zmrużyła oczy. Może jest jeszcze sposób, żeby uratować sytuację.

Wyskoczyła zza swej osłony i pognęła w kierunku budynku Salvinich. Pośliznęła się i zahamowała. W tym momencie zorientowała się, że drugi mężczyzna ją zobaczył. Jej oczy rozszerzył strach. Mężczyzna wsadził rękę pod marynarkę, ale MJ ani drgnęła, czekając, aż zacznie się do niej zbliżać.

Potem pobiegła w tworzący zasłonę deszcz, odciągając napastnika od Jacka.

Zarówno Jack, jak i ten drugi usłyszeli krzyk. Obaj instynktownie unieśli głowy. Zobaczyli kobietę o płomiennych włosach i biegnącego za nią mężczyznę.

Nigdy nie słucha, pomyślał Jack z ostrym ukłuciem przerażenia. Po czym odwrócił się i zobaczył, jak wielkolud szczyrzy do niego zęby.

Jack w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko, a jego spuchnięte lewe oko zalśniło wściekłością.

- Muszę cię unieszkodliwić, i to szybko - powiedział lekkim tonem, wbijając pięść w usta faceta. - To moją kobietę goni twój kumpel.

Wielkolud otarł krew z twarzy.

- Jesteś martwy.

- Czyżby?

Nie było czasu na żarty. Modląc się, żeby nogi MJ i jego kark wytrzymały, pochylił głowę i zaatakował jak szarżujący byk. Siła tego ataku odrzuciła faceta do tyłu, aż uderzył boleśnie głową o stalowe drzwi. Zakrwawiony, potłuczony i ledwie żywy Jack uniósł wysoko kolano. Po sekundzie do jego uszu dobiegł przyjemny syk powietrza uchodzącego z już niegroźnej kupy tłuszczu.

Mrugając, by pozbyć się z oczu piekącego potu i ciepłego deszczu, Jack wykręcił ramiona mężczyzny do tyłu i zacisnął kajdanki na drugim ręku.

- Wrócę po ciebie - obiecał, po czym zabrał telefon i pognął na poszukiwanie MJ.

## ROZDZIAŁ 12

Jack przykazał jej, żeby, jeśli coś pójdzie nie tak, uciekała w stronę sklepów i starała się zgubić w tłumie. Skoro uzna to za konieczne, niech narobi krzyku.

Mając w pamięci jego wskazówki, MJ skręciła w stronę pasażu. Chciała przede wszystkim odwrócić uwagę mężczyzny od Jacka, który wówczas miałby szansę rozprawić się ze swoim przeciwnikiem, drugim gangsterem.

Biegąc w kierunku sklepów z olbrzymimi zapowiedziami wyprzedaży, zobaczyła pary, rodziny, dzieci prowadzone za rękę, niemowlęta w wózkach. I przypomniał jej się sposób, w jaki ścigający ją mężczyzna wsunął dłoń pod marynarkę.

Pomyślała o ofiarach, jakie mogłaby spowodować strzelanina w tłumie.

Odwróciła się błyskawicznie, gwałtownie zmieniła kierunek i popędziła do oddalonego krańca parkingu.

Nie zmniejszając tempa, rzuciła szybkie spojrzenie przez ramię. Mężczyzna wciąż biegł za nią, ale teraz znacznie wolniej, na pewno zgrzany w tym workowatym garniturze i skórzanych butach, ślizgających się po mokrej nawierzchni. Ciekawe, jak długo będzie ją ścigał, zanim da za wygraną i zdecyduje się wrócić do kumpla.

A wówczas natknie się na Jacka.

Rozmyślnie zwolniła kroku, zmniejszając tym samym dystans między nimi, by zachęcić go do dalszej pogoni. Nie mogła uwolnić się od myśli, że on po prostu użyje tego rewolweru i wpakuje jej kulę w nogę albo w plecy. Z tym obrazem kołującym się po głowie błyskawicznie wślizgnęła się w rząd zaparkowanych samochodów.

Słyszała swój własny świszający oddech. W końcu zdobyła się na wysiłek potrzebny do pięćdziesięciometrowego biegu z piłką podczas meczu rugby, i to podczas upalnej letniej burzy. Przykucnęła za niewielką furgonetką, otarła pot z czoła i próbowała myśleć.

Czy zdoła wrócić okrężną drogą, znaleźć jakiś sposób, by pomóc Jackowi? Czy ten goryl już wgniół go w ziemię i ruszył na pomoc kumplowi? Jak zapobiec temu, żeby jakaś niewinna czteroosobowa rodzina po udanych okazyjnych zakupach nie znalazła się wprost na linii ognia, uciekając przed deszczem do samochodu?

Starając się poruszać jak najciszej, okrążyła z pochyloną głową furgonetkę. Musiała złapać oddech, musiała zobaczyć, co się dzieje za budynkiem Salvinich.

Zebrawszy się w sobie, położyła drżącą rękę na zderzaku i zaryzykowała szybkie spojrzenie w kierunku napastnika.

Był bliżej, niż przypuszczała. Cztery samochody za nią z lewej. Nie spieszył się. Szybko pochyliła głowę, przycisnęła plecy do zderzaka. Czy gdyby została tu, gdzie jest, przeszedłby obok czy dostrzegłby ją?

lepiej zginąć w biegu, pomyślała, albo z pięściami wzniesionymi do ciosu, niż dostać kulkę podczas skrywania się za jakiś samochód.

Wzięła głęboki oddech, zmówiła kolejną błyskawiczną modlitwę za Jacka i ruszyła w drogę. Świszt kuli o asfalt tuż obok nappełnił ją przerażeniem. Poczuła, jak ostra krawędź kamyka otarła się o materiał džinsów.

Strzelał do niej. Gdy sobie to uświadomiła, strach sparaliżował jej ruchy. Już w następnym momencie wzięła się w garść i z powrotem, jak piłeczka pingpongowa, schowała za zaparkowany samochód. Jeszcze trzy, najwyżej cztery centymetry i kula wbiłaby się w jej ciało.

Zdała sobie sprawę, że ją namierzył. A teraz chodzi mu tylko o to, by ją dopaść, zapędzić w pułapkę bez wyjścia. Cóż, już ona się tym zajmie.

Zaciskając zęby, wczołgała się pod samochód, nie zwracając uwagi na mokry żwir, zapach benzyny i oleju, wślizgnęła się jak wąż pod podwozie, a następnie, precyzyjnie się przemieszczając, przeszła przez wąską przestrzeń pod sąsiedni pojazd.

Teraz go słyszała. Ciężko oddychał, sapiąc przy każdym wdechu, rżąc przy wydychaniu. Widziała jego buty. Małe stopy, pomyślała lekceważąco, wystrojone w lśniące czarne pantofle o dziurkowanych noskach i bokach i skarpety w barwną kratę.

Zamknęła oczy na jedną krótką chwilę, próbując zapamiętać wygląd napastnika. Sto siedemdziesiąt parę centymetrów wzrostu, może siedemdziesiąt kilo. Przed czterdziestką. Bystre oczy, spory nos. Dość muskularny, ale niezbyt wysportowany. A już na pewno nie typ biegacza.

Do diabła, pomyślała zuchowato. Mogła sobie z nim poradzić.

Przesunęła się o kolejny centymetr. Właśnie przygotowywała się, by wykonać swój ruch, gdy ujrzała, jak te lśniące pantofle znikają.

Przed jej oczami pojawiła się znajoma para wytartych wysokich butów Jacka, a do uszu dotarły zdyszane przekleństwa. Wzrok zamglili jej się z ulgi i przerażenia, kiedy usłyszała stłumione głucho uderzenie, które oznaczało, że z rewolweru z tłumikiem znów oddano strzał.

Obdzierając ze skóry łokcie i kolana, wyszła spod samochodu. W samą porę, żeby zobaczyć, jak rewolwerowiec ucieka, szukając jakiegóż kryjówki, a Jack zaczyna za nim biec.

- Jack!



Zatrzymał się natychmiast, odwrócił gwałtownie, a na jego umęczonej twarzy jaśniała ulga. I wtedy zobaczyła krew na jego koszuli.

- O Boże! Postrzelił cię. - Nogi się pod nią ugięły, potykając się, doszła do niego, podczas gdy patrzył z roztargnieniem w dół, przyciskając rękę do boku.

- Do diabła. - Poczul stłumiony ból, kiedy wziął ją w ramiona. - Samochód - udało mu się powiedzieć. - Idź do samochodu. On może odciąć nam odwrot.

Jego dłoń, mokra od krwi i deszczu, zamknęła się na jej dłoni.

Później MJ przypomniał sobie, że biegli. Ale kiedy to się działo, nie wydawało się realne. Stopy uderzające o śliską nawierzchnię, nierówne walenie jej serca, narastające poczucie strachu i wściekłości, przerażone oczy kobiety niosącej torby z zakupami, której o mało nie przewrócili w pośpiechu.

I Jack, przeklinający ją jednostajnie, że nie zastosowała się do jego poleceń.

Kiedy pośliznęli się na pochyłości, furgonetka właśnie wyjeżdżała z piskiem opon z parkingu.

- Niech to diabli! - Płuca go paliły, bok piekł żywym ogniem. Gwałtownie wyszarpnął kluczyki z kieszeni. - Do samochodu! Natychmiast!

Prawie zanurkowała przez okno, ledwie utrzymując równowagę, podczas gdy on błyskawicznie cofał samochód.

- Jesteś ranny. Pozwól mi...

Odepchnął jej troskliwe ręce i skręcił z całej siły kierownicę.

- Zabrał też tego swojego trzytonowego przyjaciela. Po tych wszystkich kłopotach nie umkną nam teraz.

Samochód zatańczył na jezdni, zakołysał się, a potem koła wgrzyły się w asfalt. Ruszyli w pościg.

- Wyjmij pistolet ze schowka na rękawiczki. Daj mi go.

- Jack, ty krwawisz. Na litość boską...

- Czy nie powiedziałem ci, że masz uciekać? - Wcisnął gaz i otarł się o tylny zderzak furgonetki, gdy gnali w kierunku głównej drogi. - Mówiłem ci, że masz biec w stronę ludzi, żeby cię stracił z oczu. Mógł cię zabić. Daj mi ten cholerny pistolet.

- Dobrze, już dobrze. - Walila pięścią o schowek na rękawiczki, aż lepkie od brudu drzwiczki gwałtownie się otworzyły. - Kieruje się na obwodnicę.

- Widzę.

- Nie będziesz do niego strzelał. Mógłbyś uszkodzić samochód jakiegoś biedaka.

Jack wyrwał jej pistolet z ręki, ostro skręcił na zjazd, aż zarzuciło samochodem na mokrym asfalcie.

- Trafiam w to, w co strzelam. Teraz zapnij pas i siedź cicho. Tobą zajmę się później.

Bała się o niego tak bardzo, że nawet nie mrugnęła, słysząc te słowa. Przemykał przez zatłoczoną jezdnię jak szalowiec, wpatrzony w zderzak furgonetki niczym stęskniony kochanek. A kiedy zwiększył szybkość do stu pięćdziesięciu, ogarnęło ją zimne odrętwienie, zupełnie jakby jej organizm dostał potężną dawkę nowokainy.

- Możesz kogoś zabić - powiedziała spokojnie. - Nie chodzi mi nawet o nas.

- Potrafię poradzić sobie z samochodem. - To przynajmniej była szczerą prawdą. Przedzierał się przez ruch uliczny, trzymając się celu jak zdalnie sterowany pocisk, a potężne nowe opony nie odrywały się od śliskiej nawierzchni. Był na tyle blisko, że widział, jak większy z mężczyzn, zgarbiony na siedzeniu pasażera, odwrócił się.

- Zgadza się, idę po ciebie, ty sukinsynu - mruknął Jack. - Masz moje zapasowe kajdanki.

- Krew kapie na siedzenie. - MJ usłyszała swój głos, jakby to mówił ktoś inny, a nie ona.

- Nie martw się, jeszcze dużo zostało.

Z pistoletem na kolanach skręcił kierownicą, przesunął się o parę centymetrów z boku furgonetki. Wyliczył sobie, że ich odetnie, zepchnie na pobocze. Większy facet był w kajdankach, z drugim mógł sobie poradzić.

A potem się zobaczy.

Oczy mu się zwężyły, kiedy dostrzegł, że kierowca furgonetki odwraca głowę, usłyszał, jak zapiszczały koła. Furgonetka zatańczyła na szosie, zadrżała, po czym skręciła gwałtownie w kierunku zbliżającego się zjazdu z obwodnicy.

- Nie uda mu się. - Jack przyduśił hamulce, cofnął się i przygotował na szybki, ostry skręt. - Nie pokona tego zakrętu. Nie ma mowy.

Zaklął, kiedy furgonetka zakołysała się, straciła kontrolę na śliskiej nawierzchni i uderzyła o barierkę przy szybkości stu dwudziestu. Zderzenie było tak silne, że pofrunęła w górę jak piłka. Obróciła się w powietrzu i wśród pisku hamulców innych samochodów wylądowała niemal cztery metry niżej, na skarpie.

Jack zdążył zjechać na bok i wyskoczyć z samochodu, zanim wybuch odrzucił go jak wielką gorącą dłoń. MJ chwyciła go za ramię, kiedy buchnęły płomienie. Powietrze było przesiąknięte, zapachem benzyny.

- Nie udało mi się - mruknął. - Straciłem ich.

- Wracaj do samochodu, Jack. - Zdziwiło ją, jak chłodno, jak spokojnie brzmi jej głos. Z samochodów wysiadali przerażeni kierowcy i pasażerowie. Wszyscy biegli w kierunku wraku. - Usiądź po stronie pasażera. Teraz ja poprowadzę.

- Po tym wszystkim... - Urwał, oszołomiony dymem i bólem. - I tak ich nie dopadłem.

- Do samochodu. - Okrążyła maskę, ignorując wysokie podniecono głosy. Ktoś z pewnością zadzwonił już na policję. Nie zostało nic do zrobienia. - Musimy się stąd wydostać.

Skierowała się do swego mieszkania. Bezpieczne czy nie, w końcu był to dom, a Jack potrzebował opieki. Prowadzenie jego samochodu przypomina sterowanie łodzią, pomyślała. Bardzo starą, bardzo dużą łodzią. Zwłaszcza że usiłowała jechać w miarę szybko i nie zmylić drogi, podczas gdy deszcz przeszedł w mżawkę. Z dziwnym poczuciem zaskoczenia zaparkowała przy swoim MG.

Nic się nie zmieniło. Samochód wciąż tu był, budynek stał na swoim miejscu. Para dzieciaków, które nie miały nic przeciwko zmoknięciu, rzucała do siebie na podwórku plastikowy krążek, tak jakby to był najzwyczajniejszy dzień w zwyczajnym życiu.

- Poczekaj, aż do ciebie podejde. - Podniosła torbę z podłogi, odnalazła klucze. Oczywiście nie posłuchał i kiedy obeszła maskę, już stał na chodniku. - Możesz się na mnie oprzeć - szepnęła, obejmując ramieniem jego plecy. - Po prostu się o mnie oprzyj, Jack.

- Możemy tu pobyć - zgodził się. - Przynajmniej przez jakiś czas. Chyba wkrótce znów będziemy musieli ruszyć w drogę. - Uświadomił sobie, że utyka z powodu bólu w prawej nodze, którego przedtem nie czuł.

- Po prostu przemyję ci ranę.

- Tak. Napiłbym się piwa.

- Załatwione - obiecała, prowadząc go do środka. Choć z przyzwyczajenia skierowała się na schody, cofnęła się do windy. - Jak tylko wejdziemy do mieszkania. - A potem zawiozę cię do szpitala, dodała w duchu. Najpierw musi zobaczyć, jak wygląda rana. Jak tylko to zrobi, zacznie działać. Gliny, lekarze, FBI, co tylko będzie trzeba.

Szybko zmówiła dziękczynną modlitwę, kiedy zobaczyła, że na korytarzu jest pusto. Żadnych wścibskich sąsiadów, pomyślała, zrywając taśmę policyjną i otwierając drzwi. Żadnych kłopotliwych pytań. Usunęła kopnięciem stłuczoną lampę i zaprowadziła go, wymijając po drodze przewróconą kanapę, prosto do łazienki.

- Siadaj - poleciła i zapaliła światło. - Popatrzmy. - Jej drżące dłonie przeczyły spokojnemu głosowi, gdy delikatnie zdejmowała mu przez głowę zakrwawiony podkoszulek.

- O Boże, Jack, ten facet nieźle ci dołożył.

- Ja zostawiłem go z twarzą przy asfalcie i rękami skutymi za plecami.

- Tak, jasne. - Oderwała wzrok od szkarłatnych zadrapań na jego torsie i zmoczyła szmatkę. - Postrzelono cię już kiedyś?

- Raz, w Abilene. Dostałem w nogę. Później przez jakiś czas miałem kłopoty.

Zabawne, ale czuła ulgę, że to nie pierwszy raz. Przycisnęła szmatkę do jego boku nisko wzdłuż żeber. W oczach zapiekły ją łzy, których nie była w stanie powstrzymać.

- Wiem, że to boli.

- Miałaś mi dać piwo.

Czyż ona nie wygląda ładnie, pomyślał, w roli pielęgniarki, z tymi bladymi policzkami, zielonymi oczami i chłodnymi jak jedwab dłońmi?

- Za chwilę. Teraz po prostu się nie ruszaj. - Uklękła przy nim, nastawiając się na najgorsze. A potem przykucnęła na piętach i gwizdnęła. - Do licha, Jack, to tylko draśnięcie.

Uśmiechnął się do niej szeroko, mimo iż czuł każdy siniak i zadrapanie.

- To miała być moja kwestia.

- Naszykowałam się na jakąś wielką dziurę w twoim boku. Ta kula cię po prostu musnęła.

Spojrzał w dół, zastanowił się.

- Ale krwawiłem porządnie. - Teraz sam wziął szmatkę, przycisnął do długiej, płytkiej rany. - A co do tego piwa...

- Będzie i piwo. Powinnam ci nim dać po głowie.

- Porozmawiamy o tym, kto komu da po głowie, jak tylko zjem butelkę aspiryny. - Wstał, krzywiąc się z bólu, zajrzał do lustrzanej szafki nad umywalką. - Chyba powinnaś mi przynieść koszulę z samochodu, kotku. Nie wydaje mi się, by ta nadawała się jeszcze do noszenia.

- Przeraziłeś mnie. - Gniew, łzy i gwałtowna ulga zlały się w jedno. - Czy masz chociaż pojęcie, jak mnie przestraszyłeś?

Kiedy znalazł aspirynę, zamknął szafkę i napotkał w lustrze wzrok MJ.

- Chyba tak, skoro wiem, jak się czułem, kiedy zobaczyłem, że próbujesz ściągnąć na siebie atak tego przygłupa. Obiecałaś pobiec w stronę pasażu.

- Cóż, nie zrobiłam tego. Możesz mnie pozwać do sądu. - Straciwszy cierpliwość, znów go popchnęła na siedzenie, nie zwracając uwagi na zduszony jęk bólu. - Siedź lepiej cicho i pozwól mi skończyć. Gdzieś tu powinien być jakiś środek antyseptyczny.

- Może przynajmniej skórzany pasek, żebym mógł go przygryźć, kiedy będziesz mi sypała sól na rany.

- Nie kuś mnie. - Zwilżyła drugą szmatkę, po czym uklękła i zaczęła delikatnie przemywać mu twarz. - Masz podbite oko, spuchniętą wargę, a tutaj pięknego dużego siniaka. - Jęknął znów, kiedy przycisnęła szmatkę do jego skroni. - Zupełnie jak dziecko.

- Jeśli zamierzasz odgrywać siostrę Nancy, daj mi przynajmniej jakieś znieczulenie. - Ponieważ miał wrażenie, że MJ zapomniała o wodzie, połknął aspirynę na sucho.

Wciąż utyskiwał, kiedy smarowała go antyseptykiem i przewiązywała bandażem. Zniecierpliwiona przycisnęła wargi do jego ust, co okazało się równie bolesne jak przyjemne.

- Czy zamierzasz całować wszędzie, gdzie boli? - spytał.

- Chciałbyś. - Potem położyła mu głowę na kolanach i wydała z siebie długie, długie westchnienie. - Nie dbam o to, jaki jesteś wściekły. Nie wiedziałam, co robić. Był coraz bliżej.

Wiedziała tylko jedno, że za wszelką cenę muszę go od ciebie odciągnąć.

Ułagodzony, pogłaskał ją po głowie.

- Dobrze, później do tego wrócimy. - Dopiero teraz zauważył otarty naskórek na jej łokciach. - Hej, ty też się podrapałaś.

- Trochę piecze - szepnęła.

- Au. Chodź, kotku. Teraz ja będę panem doktorem. - Zamienił się z nią miejscami i uśmiechnął od ucha do ucha. - To może trochę boleć.

- Podobałoby ci się, prawda? Au! Do diabła, Jack!

- Zachowujesz się jak dziecko. - Ale ucałował startą skórę, po czym delikatnie ją zabandażował. - Jeśli jeszcze kiedykolwiek przestraszysz mnie tak jak dziś, przykuję cię na miesiąc kajdankami do łóżka.

- Obiecanki cacanki. - Pochyliła się do przodu. - Oni nie żyją, prawda? Nie mogliby przecież wyjść z tego cało.

- Szanse są właściwie żadne. Przykro mi, MJ, nie udało mi się z nich niczego wydobyć. Nic a nic.

- Nie udało nam się nic z nich wydobyć - poprawiła. - Ale zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. - Z trudem odpędziła od siebie smutek, wyprostowała ramiona. - Pozostają padalcy - zaczęła, po czym znów zbladła, na myśl o tym, co się stało w siedzibie firmy Salvinich. Wszystko wskazywało na to, że przynajmniej jeden z braci nie żyje.

Ale nie było tam Bailey, uprzytomniła sobie z niewymowną ulgą.

- Cóż, przynajmniej teraz mogę przebrać się w czyste ubranie i wziąć trochę gotówki. Zadzwoń też do pubu. - To było dość ryzykowne posunięcie. - Poczekam, aż znów

będziemy gotowi wyruszyć w drogę, ale dowiem się, co się dzieje, powiem im, że u mnie wszystko w porządku, wydam dyspozycje do końca tygodnia.

- Wspaniale być kobietą interesu. - Wstał, objął ją mocno. - Znajdziemy twoje przyjaciółki, MJ, obiecuję ci. I chociaż to wbrew moim zasadom, uważam, że najwyższy czas zadzwonić na policję.

- Tak. - Westchnęła z ulgą. - Trzy dni czegoś takiego to w zupełności wystarczy.

- Będą zadawać sporo pytań.

- A więc udzielimy im odpowiedzi.

- Powinienem cię uprzedzić, że mężczyzna z moim zawodem nie jest ulubieńcem policjantów. Mam trochę kontaktów, ale im są bardziej znaczące, tym niżej spada poziom tolerancji.

- Poradzimy sobie z tym. Zadzwonimy stąd czy po prostu pójdziemy na posterunek?

- Stąd. Posterunki sprawiają, że dostaję wysypki.

- Nie dam im kamienia. - Rozstawiła stopy, przygotowana na kłótnię. - Należy do Bailey, a w każdym razie to powinna być jej decyzja. Nie oddam go nikomu poza nią.

- W porządku - zgodził się bez dyskusji Jack, czym ją zadziwił.

- Popracujemy nad tym. Ona i Grace są teraz najważniejsze.

Jej uśmiech zrobił się jaśniejszy. Brzęczący dźwięk sprawił, że obydwójce drgnęli.

- Co to? - MJ wpatrywała się w leżącą na podłodze torebkę, zupełnie jakby nagle ożyła. - To mój telefon. Mój telefon dzwoni.

Dotknął ręką kieszeni, uspokoił się, kiedy wyczuł kształt pistoletu.

- Odbierz.

Wstrzymując oddech, wsadziła rękę do torebki, nacisnęła przycisk.

- O'Leary. - Łzy po prostu popłynęły jej strumieniem po policzkach. Osunęła się na podłogę. - Bailey. O mój Boże, Bailey. Nic ci nie jest? Gdzie jesteś? Nie jesteś ranna? Co? Co? Tak, tak, wszystko w porządku. W moim mieszkaniu, ale gdzie...

Uniosła dłoń, złapała Jacka za rękę.

- Bailey, przestań mnie o to pytać i powiedz gdzie, u diabła, jesteś. Tak. Mam go. Za dziesięć minut będziemy. Nie ruszaj się stamtąd.

Rozłączyła się.

- Przepraszam - powiedziała. - Muszę. - Po czym wybuchnęła płaczem. - Nic jej nie jest - udało jej się wykrztusić, kiedy westchnął i podniósł ją z podłogi. - U niej wszystko w porządku.

To była spokojna, solidna dzielnica z pięknymi starymi drzewami. MJ zacisnęła ręce na kolanach i pilnie przyglądała się numerom mijanych domów.

- 22, 24, 26. Mamy! To ten. - Kiedy Jack skręcał na podjazd stylowego domu, już łapała za klamkę drzwiczek. Wsadził dłoń w kieszeń jej dżinsów i pociągnął ją z powrotem na siedzenie.

- Spokojnie, poczekaj, aż się zatrzymam.

W momencie gdy to uczynił, zobaczył kobietę, kruchą, ładną blondynkę, która wybiegła przez frontowe drzwi i przecięła mokry trawnik. MJ wyskoczyła z samochodu i rzuciła się jej w ramiona.

Ładny obrazek, uznał Jack, ostrożnie wysiadając z auta. Stały w blasku słońca, w ciasnym uścisku, zupełnie jakby chciały siebie wzajemnie wchłonąć. Kotływały się, szlochając, mówiąc jedna przez drugą i po prostu tuląc się do siebie.

I chociaż była to wzruszająca i miła scena, od niczego nie chciał być bardziej z dala niż od dwóch wzruszonych kobiet. Zobaczył mężczyznę stojącego tuż przy frontowych drzwiach, zauważył uśmiech w jego oczach, świeży opatrunek na ramieniu. Bez wahania ominął kobiety szerokim łukiem i skierował się do domu.

- Cade Parris.

. Jack ujął wyciągniętą rękę, oszacował mężczyznę. Około metra osiemdziesięciu pięciu, starannie ubrany, brązowe włosy, oczy koloru bardziej rozmarzonej zieleni niż oczy MJ. Mocny uścisk dłoni równoważył zbyt gładką powierzchność.

- Jack Dakota.

Cade zerknął na zadrapania, potrząsnął głową.

- Sprawiasz wrażenie faceta, który ma ochotę się napić. Mimo zranionej wargi usta Jacka rozciągnęły się w pełnym wdzięczności uśmiechu.

- Bracie, właśnie stałeś się moim najlepszym przyjacielem.

- Wejź do środka - zaprosił Cade, rzucając ostatnie spojrzenie w kierunku MJ i Bailey. - One muszą się sobą nacieszyć, a my tymczasem wymienimy informacje.

Zajął im to trochę czasu, ale Jack poczuł się znacznie lepiej z nogami opartymi o stół do kawy i z puszką piwa w ręku.

- Amnezja - mruknął. — To musiało być dla niej trudne.

- Przeżyła parę ciężkich dni. Na własne oczy widziała, jak jeden, pozał się Boże, przyrodni brat zabija drugiego, po czym przychodzi po nią.

- Wstąpiliśmy do firmy Salvinich. Widziałem rezultat. Cade skinął głową.

- Skoro tak, nie muszę ci mówić, jak paskudnie to wyglądało. Gdyby nie uciekła... Cóż, zrobiła to. Wciąż nie pamięta wszystkiego, ale wcześniej przesłała jeden z brylantów do MJ, a drugi do Grace. Pracuję nad tą sprawą od piątku, kiedy Bailey zjawiła się w moim biurze. A ty?

- Od sobotniego popołudnia - powiedział Jack i przeplukał gardło zimnym piwem.

- Tu wszystko działo się błyskawicznie. - Cade zmarszczył brwi, spoglądając w kierunku okna. - Bailey była przestraszona, zdezorientowana, ale chciała znaleźć odpowiedzi i uznała, że prywatny detektyw jej ich dostarczy. Dziś osiągnęliśmy znaczny postęp.

Jack uniósł brwi, wskazał na opatrunek.

- Czy to jest z tym związane?

- Drugi Salvini - odparł Cade, z chłodem w oczach - nie żyje.

- Myślisz, że oni to wszystko uknuli?

- Nie. Mieli klienta. Jeszcze go nie namierzyłem. - Cade wstał, podszedł do okna. MJ i Bailey wciąż stały przed domem, pograżone w rozmowie. - Gliny też nad tym pracują Mam przyjaciela, Micka Marshalla.

- Tak, znam go. Rzadki okaz. Gliniarz z głową i sercem.

- Cały Mick. Jednak nad nim jest Buchanan. On nie przepada za prywatnymi detektywami.

- Buchanan nie przepada za nikim. Ale jest w porządku.

- Na pewno będzie chciał porozmawiać z tobą i MJ. Jack westchnął.

- Chyba wypiłbym jeszcze jedno piwo.

Cade ze śmiechem odwrócił się od okna.

- Przyniosę nam obu jeszcze po jednym. A ty mi opowiesz, jak spędziłeś weekend. - Jego oczy prześliznęły się po twarzy Jacka. - I co z tamtym drugim facetem.

- Timothy - powiedziała MJ z zaskoczeniem. - Nigdy go nie lubiłam, ale nie sądziłam, że jest zdolny do morderstwa.

- Wyglądało to tak, jakby postradał zmysły. - Bailey wciąż trzymała MJ za rękę w obawie, że przyjaciółka zniknie bezpowrotnie. - Wymazałam to wszystko z pamięci, po prostu wyrzuciłam. Wszyściutko. Małe fragmenty zaczęły powracać, ale nie mogłam ich poskładać w całość. Nie przesłabym przez to bez Cade'a.

- Nie mogę się doczekać, kiedy go poznam. - Spojrzała Bailey w oczy. - Zdaje się, że szybko pracuje - dodała domyślnie.

- Czy to widać? - spytała Bailey i zarumieniła się.

- Zupełnie jak wielki neonowy napis.



- A poznałam go przed paru dniami - powiedziała Bailey, prawie do siebie. - Wszystko potoczyło się błyskawicznie. Nie wydaje się, że to dopiero kilka dni. Mam wrażenie, że znam go od zawsze. - Jej usta wygięły się w uśmiechu, w miodowobrazowych oczach zaświeciły iskierki. - On mnie kocha, MJ. Po prostu. Wiem, że to idiotycznie brzmi.

- Byłabyś zaskoczona tym, co nie brzmi idiotycznie dla mnie. Jesteś z nim szczęśliwa? Tylko to się liczy.

- Nie mogłam sobie ciebie przypomnieć. Ani Grace. - Spod zaciśniętych powiek Bailey wypłynęła samotna łza. - Wiem, że minęło zaledwie parę dni, ale czułam się bez was taka samotna. W końcu zaczęłam odzyskiwać pamięć, ale nie przypominałam sobie niczego konkretnego, raczej wrażenia. Strata czegoś ważnego. Kiedy pamięć mi wróciła, poszliśmy do twojego mieszkania, ale nie było cię tam. Włamano się do ciebie. Nie wiedziałam, gdzie cię szukać. Potem wszystko zaczęło się dziać bardzo szybko. To było zaledwie parę godzin temu. Wreszcie przypominałam sobie o tym telefonie, który stale nosisz w torebce. Przypomniałam sobie i zadzwoniłam. I przyjechałaś.

- To był najprzyjemniejszy telefon, jaki kiedykolwiek miałam.

- Najlepszy, jaki kiedykolwiek wykonałam. - Wargi jej zadrżały. - MJ, nie mogę odnaleźć Grace.

- Wiem. - MJ przerzuciła rękę przez ramiona Bailey i przytuliła ją do siebie. - Musimy wierzyć, że z nią wszystko dobrze. Jack i ja tego ranka byliśmy w jej domu na wsi. Była tam przed nami, Bailey. Jeszcze czułam zapach jej perfum. I odnalazłyśmy siebie. Ją też znajdziemy.

- Tak, znajdziemy ją. - Poszły razem w kierunku domu. - A ten Jack? Czy jesteś z nim szczęśliwa?

- Tak. Kiedy mnie nie beszta. Bailey z uśmiechem otworzyła drzwi.

- A więc ja też muszę go poznać jak najszybciej.

- Podoba mi się ta twoja przyjaciółka. - Jack stał w patiu domu Cade'a, zapatrzony w przedmieścia Waszyngtonu.

- Ty też jej się podobasz.

- Ma klasę. I przeszła ciężkie chwile, nie poddając się. Ten Parris wydaje się dość inteligentny.

- Pomógł jej to przetrwać, więc według mnie jest super.

- Wypełniliśmy razem większość białych plam. Ma chłodną głowę, bystry umysł. I wariuje na punkcie twojej przyjaciółki.

- Chyba to zauważyłam.

Jack wziął MJ za rękę, przyjrzał się jej. Nie jest tak delikatna jak dłoń Bailey, ale wąska, zręczna, mocna.

- On ma wiele do zaoferowania. Pochodzi ze znanej i bogatej rodziny, ma pieniądze i piękny dom. Chyba może dać kobiecie poczucie bezpieczeństwa.

Zaintrygowana przyglądała się jego twarzy.

- Chyba tak.

Zdał sobie sprawę, że nie zamierzał zaczynać takiej rozmowy. Uznał, że niezależnie od tego, jak szybko pewne rzeczy mogą się dziać, życie jest za krótkie, by tracić czas.

Mój stary był włóczęgą, próżniakiem - powiedział szorstko. - Moja matka serwowała drinki pijakom, kiedy była w nastroju do pracy. W college'u zarabiałem na życie, nosząc cegły i mieszając zaprawę dla pewnego murarza. Tak doszedłem do bezużytecznego stopnia naukowego z angielskiego i na okrasę dodatkowego z antropologii. Nie pytaj dlaczego. Wówczas wydawało mi się, że właśnie to powinienem zrobić. Mam parę tysięcy odłożone na czarną godzinę. W mojej pracy zdarzają się posuchy. Wynajmuję dwa pokoje. - Odczekał chwilę, ale MJ milczała. - Nie mam niczego, co można by nazwać pewnym.

- Faktycznie.

- Czy tego chcesz? Poczucia bezpieczeństwa? Zastanowiła się.

- Nie.

Przejechał dłonią po włosach.

- Wiesz, jak wyglądały te dwa kamienie, kiedy ty i Bailey położyłyście je obok siebie? Wyglądały efektownie, jasne, cały ten ogień i siła naraz. Ale przede wszystkim wyglądały tak jak powinny, na swoim miejscu. - Spojrzał jej w oczy, próbując zajrzeć w głąb duszy. - Czasami tak właśnie jest.

- A kiedy tak jest, nie trzeba szukać powodów.

- Może i nie. Nie wiem, co tutaj robię. Nie wiem, dlaczego tak jest. Przez całe życie byłem sam i taki stan rzeczy mi odpowiadał. Rozumiesz to?

Bawiła ją irytacja w jego głosie. Uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Tak, rozumiem. Samotny wilk. Chcesz dziś w nocy wyć do księżyca czy co?

- Nie bądź taka przemądrzała, kiedy próbuję ci wyjaśnić, co się ze mną dzieje.

Okrzyżł wielkimi krokami patio. Między dwoma drzewami powieszono hamak. Gdzieś w ociekających wodą zielonych liściach śpiewał ptak.

Jego życie, zadumał się Jack, nigdy nie było tak proste, spokojne i miłe. Nie miał nic do zaoferowania poza sobą samym i swoimi uczuciami.

Będzie musiała zdecydować, czy to wystarczająca podstawa, by na niej budować.

- Chodzi o to, że nie chcę dłużej być sam. - Gwałtownie uniósł głowę i podbite oko spojrzało wściekle spod uniesionej, przeciętej blizną brwi. - Rozumiesz to?

- Czemu miałabym nie rozumieć? - Jej uśmiech się nie zmienił. - Jesteś ckliwie we mnie zakochany, kolego.

- Trzymaj tak dalej, po prostu trzymaj tak dalej. - Wypuścił z sykiem oddech, dotknął dłonią bolącego boku. - Nie chodzi o moje uczucia, a może o twoje również nie. W szczególnych okolicznościach z ludzkimi uczuciami dzieją się dziwne rzeczy.

- Teraz znów zaczyna filozofować. To chyba ta dodatkowa specjalizacja z antropologii.

Zamknął oczy, modlił się o cierpliwość.

- Próbuję wyłożyć karty na stół. Pochodzisz z innego środowiska niż ja, być może nie zechcesz iść tam, gdzie ja. Może teraz planujesz trochę zwolnić, podejść do tego ostrożniej. Bardziej tradycyjnie.

Teraz parsknęła.

- To tak mnie widzisz? Jako tradycjonalistkę? Jego zmarszczka tylko się pogłębiła.

- Może nie, ale to nie zmienia faktu, że przed tygodniem . chodziłaś swoimi własnymi ścieżkami i było ci z tym dobrze. Masz prawo zadawać pytania, szukać uzasadnień. Parę dni w moim towarzystwie...

- Nie zadaję pytań i nie szukam uzasadnień, Jack - przerwała mu. - Przestałam chodzić własnymi ścieżkami w dniu, w którym cię spotkałam, i cieszę się z tego. - Co tam, do diabła, pomyślała i zebrała się w sobie. - Te inicjały oznaczają Magdalen Juliette.

Parsknął niedowierzającym śmiechem. Była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał.

- Nabierasz mnie.

- To inicjały Magdalen Juliette - powtórzyła przez zęby. A jedyne osoby, które o tym wiedzą, to moja rodzina, Bailey i Grace. Innymi słowy, tylko ludzie, których kocham i którym ufam. co teraz odnosi się również do ciebie.

- Magdalen Juliette - powtórzył, rozkoszując się brzmieniem tych słów. - Nieźle, kotku.

- Mam na imię MJ. Zgodnie z przepisami MJ, ponieważ właśnie tego chciałam. A jeśli kiedykolwiek nazwiesz mnie Magdalen Juliette, obedrę cię żywcem ze skóry. Osobiście i z wielką przyjemnością.

Zrobiłaby to, pomyślał z krzywym uśmiechem.

- Skoro nie chcesz, żebym tak do ciebie mówił, to dlaczego mi powiedziałaś?

Podeszła bliżej.

- Powiedziałam ci tamto i mówię ci to, ponieważ nazywam się O'Leary i wiem, czego chcę.

Jego oczy zapłonęły.

- Jesteś tego pewna?

- Drugi kamień to wiedza. I ja wiem. A ty?

- Tak. - Zabrakło mu tchu. - To poważny krok.

- Najważniejszy.

- Dobrze. - Dłonie spocły mu się w kieszeniach, więc je wyjął. - Ty pierwsza.

Zaśmiała się szeroko.

- Nie, ty.

- Nie ma mowy. Ostatnio ja powiedziałem to pierwszy. Sprawiedliwość to sprawiedliwość.

Wierzyła, że tak jest. Przechyliła głowę i popatrzyła na niego bacznie. Tak, pomyślała. Wiem.

- Dobrze. Pobierzmy się.

Rozkoszując się nagłym dreszczem radości, zatknął kciuki za kieszenie spodni.

- Czy nie powinnaś spytać? No, wiesz, oświadczyć się? Mężczyzna ma prawo do odrobiny romantyzmu w ważnych chwilach.

- Przeciągasz strunę - powiedziała, ale roześmiała się i zaniknęła ramiona wokół jego szyi. - Co tam, u diabła. Ożenisz się ze mną, Jack?

- Pewnie, dlaczego nie?

A kiedy znów się roześmiała, przytulił ją do swego zboląłego ciała.

Idealna para.